ROK XXII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXVI.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec.

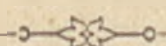
WARSZAWA,

1897.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

Dublet Biblioteki im. Zielinskich
Tow. Naukowego Płockiego

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy $12^{1}/_{2}$.

Druk ukończono d. 9 czerwca 1897 r.

Z MOTYWÓW IZAJASZOWYCH.

I.

Czyż ulęknę się mocarzów i zadławię w piersi głos?
Któż ludowi memu powié, że już warczą głuchym grzmotem
Nad Syonem czarne chmury, łyskające ogniem złotym;
Któż odwróci wymierzony przeciw ziemi mojéj cios?

Czyż nie Pan to mówił do mnie: Otom dotknął twoich warg;
Będziesz wieścił gniéw mój pysznym, mdłym ukażesz cień méj dłoni!
Jaż ulęknę się mocarzów, zedrę wieniec z własnéj skroni?
Jaż zadławię głos w méj piersi, Pańskie brzemię zrzucę z bark?

Nie, nie zadrżę i nie ścichnę! Póki ludu mego krew
Zarumienia bicze wraże, póki w sercach wrących żalem,
Nie rozebrzmi pieśń wesela przed murami Jeruzalem,
Nie umilknie dla Syonu bolejącéj piersi śpiew.

II.

Rozmiotana wichrem, biédna, opuszczona, pójdź, pójdź już
W me objęcia, na mém łonie zatroskaną głowę złóż!
Pójdź, Syońska córko moja, weselszymi patrz oczyma,
Z maluczkiego na cię gniewu dziś w mém sercu nic już nié ma.

Jarzmo-m włożył na twą szyję, u rąk palce bólem splótł...
Zdepce-ż matka niemowlątko swe, żywota swego płód?
Oto tobie, jak Noemu, na obłoki tęczę rzucę:
Ni cię kiedy gromić będę, ni od ciebie twarz odwrócę.

I ku gwiazdom tron twój wzniosę, z ofirskiego złota tron,
Przedeń ludy znosić będą pól i winnic swoich plon;
Po wszéj ziemi zabrzmi chwała twéj korony, twéj purpury...
Na maluczko-m cię zapomniał, nie zapomnę po raz wtóry!

III.

A ty, córo babilońska, precz z przed oczu moich, precz!
Bosą nogą brnij przez rzekę, ciśnij wiadrem harde ciemię,
Wrośnij w żarna białą dłonią, kop w winnicy czarną ziemię,
Do biesiady panom twoim chléb pszeniczny, nędzna, piecz!

Precz, chaldejska dumna córo, z wysokiego tronu precz!
Ja-m ci jutrznią dał na lica, włosy-m ubrał z gwiazd koroną,
Na kolumnach z żywych ludów wsparłem stopnie twego tronu
I zwycięski nad mym ludem w twoje-m ręce podał miecz.

A ty, córo babilońska, precz z przed oczu moich, precz!
Nie orężem, ale nożem bojowałaś ty zbójeckim,
I nie miałaś miłosierdzia ni nad starcem, ni nad dzieckiem...
Pójdź tu, Medzie, weź bicz w rękę, niewolnicę twoją siecz!

IV.

Biada tobie, rozkosznico! Jako suchéj osi zgrzyt
Mierzi ucho harfiarzowe, tak mi śmiech twój pyszny zbrzydł!
Zmierzła mi twa pierś krzemienna z sercem wilczém, z duszą [twardą,
Kiedym ujrzał, iż w twarz biednéj poniewierką plwasz i wzgardą.

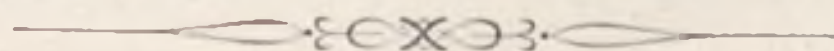
Byłaś w ręku mém siekierą, gdym ja, dłonie zdjąwszy z gwiazd,
Rąbał ciernie w moim ludzie, gdym wycinał wszelki chwast.
Byłaś strzałą na mym łuku, byłaś rózgą mego gniewu:
Ma-ż być glina nad garncarza, ma-ż się piła poddać drzewu?

Ma-ż się chełpić toporzysko, iż jest drewnem?... Zmarszczę brew
I me wichry padną na cię i rozrzucą, jak garść plew,
I rozniosą twoje wozy, twoje jezdne, jako pierze...
Spojrzę—oczu mych płomienie tak cię zetlą, jak paździerze.

Tron mój — niebo złotem tkane, ziemia — wsparcie dla mych [nóg;
Sznurem swoim rozmierzyłem ją dla dzieci mych i sług:
Jako włodarz o zaraniu między czeladź trud rozdawa,
Tak od wschodu do zachodu po niéj pełni się ma sprawa.

Pójdź tu, Medzie, zmocnij ramię! Tobie daję, jako łup,
Tę jutrzenkę, tę królewnę, niech się wije u twych stóp!
Nie przenikły moje prawa do zmartwiałéj w pysze duszy,
Niechaj rozpacz zajrzy do niéj, niechaj serce w niéj poruszy!

Adam Maszewski.



MILITARYZM WSPÓŁCZESNY.



Korzystamy obecnie z dobrodziejstw pokoju, który nazywają zbrojnym dlatego, że poręcza go tylko nieustające zbrojenie się mocarstw. Cała prawie Europa jest podzielona na dwa obozy, z których każdy stara się nie pozwolić przeciwnikowi na zyskanie cokolwiek znaczniejszéj przewagi nad nim, w przekonaniu, że okoliczność ta mogłaby go zachęcić do wojny.

Gdyby nas kto zapytał, czemu przypisać należy niezwykły wzrost militaryzmu w ostatnich czasach, wymienilibyśmy dwie przyczyny: postępy cywilizacyi i wyniki wojen.

Militaryzm określić można jako całokształt środków, służących do przygotowania i prowadzenia wojny. To ostatnie objawia się w dwu głównych czynnościach: w maszerowaniu i walczeniu. Ponieważ w miarę postępów ludzkości doskonaliły się zarówno narzędzia walki, jak i środki komunikacyi, w postępach przeto cywilizacyi należy upatrywać pierwszą przyczynę współczesnego rozrostu militaryzmu. Wyniki wojen są przyczyną tegoż zjawiska w podwójnèm znaczeniu: jako pouczające wskazówki w dziedzinie sztuki wojennéj i jako czynniki współczesnego ukształtowania się stosunków międzypaństwowych w Europie. Rzućmy okiem poza siebie z wyżyn teraźniejszości, zajrzyjmy do historyi wojen, drugiéj zwłaszcza połowy bieżącego stulecia, a znajdziemy w niéj potwierdzenie słuszności wyłuszczonego poglądu.

Wstrząśnięta głęboko przez wojny napoleońskie, zażywała Europa od 1815 przez lat blizko czerdzieści względnego spokoju, gdyż wojny w tym okresie prowadzone miały charakter wewnętrzny, lokalny. Ten względny spokój silnie dźwignął przemysł w Europie i zrodził wynalazki, które miały zmienić gruntownie warunki życia narodów. Do takich wynalazków zaliczyć najprzód wypada parostatki, drogi żelazne i telegraf elektryczny. Armie europejskie nie omieszkały wyzyskać tych zdobyczy cywilizacyi; co więcéj, zaczęły poszukiwać w dziedzinie techniki nowych rękojmi powodzenia, gdyż wojny poprzedniego okresu dowiodły, że liczba przy mniéj więcéj jednakowéj z obu stron organizacyi, uzbrojeniu i taktyce, nie jest dostateczną rękojmią zwycięstwa.

Większość ludzi, jak nam się zdaje, upatruje przyczynę rozrostu militaryzmu w Europie zbyt jednostronnie w polityce wybitniejszych mężów stanu, innemi słowy, w wynikach wojen, i, ciesząc się z postępów techniki, zapomina o niewygodnych następstwach tychże. Powtarzają wszyscy, że w przyszłéj wojnie potykać się będą całe miliony, a przecież wyżywienie tych milionów, a zatém i zużytkowanie ich do celów wojny, byłoby niemożliwe, gdyby nie istniały drogi żelazne, gdyby nie wynaleziono lekkich wązkotorowych kolejek polowych. Tylko postępy techniki pozwoliły zaopatrzyć armie dzisiejsze w broń udoskonaloną, proch bezdymny, bomby napełnione melinitem, balony wojskowe i setki innych narzędzi wojny.

Mówiąc o wynikach wojen, jako o przyczynie obecnego rozwoju militaryzmu, mamy tu na myśli przedewszystkiém wojny drugiéj połowy bieżącego stulecia, które szybko jedna po drugiéj następowały i były bardzo wymownym rzecznikiem wszystkich udoskonaleń w dziedzinie wojskowości, wymownym rzecznikiem przygotowań wojennych, czynionych zawczasu, podczas pokoju.

Ostatnie wielkie wojny europejskie wykazały przedewszystkiém doniosłość przewagi liczebnéj i przewagi uzbrojenia. Znaczenia liczby dowiodły najdobitniéj wojna francusko-niemiecka i rosyjsko-turecka. Dopiéro po wojnie francusko-niemieckiéj państwa europejskie zaprowadziły u siebie system poboru, oparty na powszechnym i osobistym obowiązku służby wojskowéj, który do tego czasu istniał tylko w Prusiech i Austro-Węgrzech [1]). W ostatniéj wojnie wschodniéj armia ro-

---

[1]) Obawiano się powszechnie krótkiego czasokresu służby czynnéj, ściśle związanego z tym systemem: gdy wszakże Prusy dwukrotnie wyszły zwycięsko z walki z poważnym przeciwnikiem, nie wahano się już dłużéj. Austro-Węgry zaprowadziły system powszechnéj i osobistéj służby wojskowéj jeszcze przed wojną francusko-niemiecką, w 1868, po doznanéj porażce. Za ich przykładem poszła Francya (w 1872), Rosya (w 1874) i Włochy (w 1876).

syjska wystąpiła początkowo w sile sześciu korpusów, które po pierwszém ważniejszém starciu musiały rozrzucić się na wszystkie strony i tylko przy pomocy Rumunów zdołały się utrzymać na prawym brzegu Dunaju, aż w dwa miesiące późniéj nowa armia na teatr wojny przybyła i wypadkom inny obrót dała. Znaczenie przewagi na punkcie uzbrojenia wykazały wszystkie wojny, wydając chlubne świadectwa ulepszonym typom broni i pociągając za sobą zmianę uzbrojenia już to w jedném państwie, już to w kilku naraz. Kampania krymska była polem popisów karabinów gwintowanych, kampania włoska — armat tegoż systemu. Tryumf swój w 1866 zawdzięczają Prusacy w znacznéj bardzo części iglicówkom: ogień z téj broni działał przygnębiająco na ducha wojska austryackiego, obracał w niwecz ataki kawaleryi i paraliżował działanie artyleryi, wybijając obsługę. W 1870 odtylcowa artylerya pruska, przewyższając ilościowo i jakościowo artyleryę francuską, wywiérała ogromny wpływ na rezultaty bitew i neutralizowała przewagę *chassepot*'ów nad iglicówkami. Doskonałe karabiny angielskie, w które była uzbrojona piechota turecka, ułatwiły w znacznym stopniu Osmanowi paszy obronę Plewny.

Ostatnie wojny wykazały również doniosłość udoskonalonych środków komunikacyi: dróg żelaznych, parostatków i telegrafu. Brak tych środków dał się ciężko uczuć Rosyi w czasie wojny krymskiéj. W 1859 koleje służą nie tylko do zwożenia wojska nad granicę, ale i do wykonywania operacyi na teatrze wojny: dzięki kolejom, armia francuska mogła wykonać ruch oskrzydlający pomiędzy Aleksandryą a Vercelli, którego następstwem była zwycięzka dla niéj bitwa pod Magentą. W 1866 telegraf umożebnił wykonanie śmiałego planu kampanii, obmyślonego przez sztab pruski, pozwolił bowiem dwu głównym armiom pruskim, pierwszéj i drugiej, z dwu różnych stron do Czech wkraczającym, znajdować się w ciągłéj komunikacyi pomiędzy sobą za pośrednictwem Berlina i działać zgodnie. Taż kampania wykazała znaczenie dobrze uorganizowanéj sieci dróg żelaznych, umożebniającéj szybką ofensywę. Następna kampania podkréśliła jeszcze silniéj tę wskazówkę i dała impuls do budowania kolei żelaznych specyalnie dla celów strategii. Najważniejszym atoli wnioskiem, który podyktowały państwom ostatnie wojny, był ten, że dlatego ażeby módz wyzyskać ofensywę, należy zawczasu przedsięwziąć środki, któreby umożebniły szybkie postawienie armii na stopie wojennéj, czyli zawczasu przygotować mobilizacyę.

Lecz, jak rzekliśmy wyżéj, wojny drugiéj połowy bieżącego stulecia nie były wyłącznie rzecznikami ofensywy i udoskonaleń, które w sztuce wojennéj zaprowadzał postęp. Nie zapominajmy, że dzisiej-

sza Europa ukonstytuowała się przez oręż i że każda wojna nosi w sobie zaród nowéj wojny. Z pod tego prawa nie można chyba wyjąć dwu ostatnich wojen, które, jak się zdaje, muszą prędzéj lub późniéj wywołać pożar w Europie. A będzie to pożar straszny, jakiego dotąd nie było, będzie to walka kilku milionów na śmierć i życie. Wobec ogromu klęski, grożącéj zwyciężonemu, wszystkie państwa wytężają swoje siły, ażeby być możliwie przygotowanemi do téj walki. Lecz im większe siły użyte będą do działania, im większe ofiary złożone będą na ołtarzu pokoju, tém sroższą będzie walka, tém cięższe będą następstwa przegranéj. Powstaje tym sposobem zaczarowane koło: natężanie sił czyni walkę nader niebezpieczną, obawa walki zmusza do tém większego natężania sił...

O téj pracy mocarstw nad zabezpieczeniem pokoju słyszy się w ostatnich czasach bardzo często, tak często, że można się obawiać, ażeby ustawiczne zbrojenie się mocarstw nie stało się czczym frazesem, nie wywołującym wrażenia faktem. Warto byłoby niejako z cyrklem i wagą w ręku wykazać szybkość i rozmiary wzrostu sił wojennych głównych państw europejskich za czas pewien.

Jednym z wykładników potęgi wojennéj każdego państwa jest liczebność jego siły zbrojnéj. Wykładnik ten właśnie stanowić będzie przedmiot niniejszego studyum. Pozostaje wybrać okres, w którego ramach zamknęlibyśmy nasze badania. W tym celu uprzytomnijmy sobie kilka ważniejszych wypadków politycznych z ósmego i dziewiątego lat dziesiątka wieku bieżącego.

W niespełna rok po konferencyi berlińskiéj, w dniu 7 październikа 1879, zawarły Niemcy sojusz zaczepno-odporny z Austro-Węgrami, skierowany głównie przeciwko Rosyi, aczkolwiek ks. Bismark był tak życzliwie względem niéj usposobiony, a Wilhelm I tak ściśle zaprzyjaźniony z cesarzem Aleksandrem [1]). W trzy lata potém Włochy, oburzone na Francyę za zajęcie Tunetanii w 1882, przystąpiły do dwuprzymierza, i 13 marca 1883 stwierdził Mancini w parlamencie włoskim, że podwójne przymierze przekształciło się w potrójne. W 1884 odbył się zjazd trzech cesarzy w Skierniewicach (15 — 17 września), w następnym—zjazd cesarza rosyjskiego i austryackiego w Kromieryżu (25 i 26 sierpnia). Wkrótce potém *entente cordiale*, która łączyła trzech cesarzy, rozwiała się, w drugiéj bowiem połowie 1886 zaszły w Europie wypadki, które pogorszyły znacznie ogólną sytuacyę polityczną.

---

[1]) W traktacie tym, ogłoszonym 3 lutego 1888 roku, Rosya wymieniona jest trzykrotnie, Francya ani razu.

W Sofii 21 sierpnia oddział wojskowych dokonał zamachu stanu: książę Aleksander wywieziony został zagranicę, w Bulgaryi uformował się rząd, na którego czele stanęli: metropolita Klemens, Cankow i major Grujew. W trzy dni potém pułki wierne księciu obaliły ten rząd uzurpatorski, prezes sobrania Stambułow, pułkownik Mutkurow, tudzież Karawełow i Nikiforow, ogłosiwszy regencyę, zaaresztowali metropolitę Klemensa, Cankowa i Grujewa i wezwali ks. Aleksandra do powrotu. Książę usłuchał wezwania i przez naród owacyjnie przyjęty został, lecz wobec nieprzyjaznéj postawy Rosyi postanowił abdykować, i mianowawszy regencyę w osobie Stambułowa, Mutkurowa i Karawełowa, opuścił 7 września Bułgaryę. W Rosyi w owym czasie przekonano się po spełznięciu na niczém misyi dyplomatycznéj generała Kaulbarsa, który opuścił Bulgaryę 20 listopada po czterotygodniowych prawie pertraktacyach, że sympatye narodu bulgarskiego były nie po stronie jego oswobodzicielki, rząd zaś rosyjski nie chciał użyć przemocy, jak o tém świadczy deklaracya „Gońca Urzędowego" z 23 lutego 1888 r., opiewająca, że rząd rosyjski nie użyje siły do uregulowania stosunków wewnętrznych Bulgaryi według swoich życzeń. Jeszcze podczas pobytu generała Kaulbarsa w Sofii, 13 listopada, Kalnoky wygłosił wielką mowę przed komisyą budżetową delegacyi węgierskiéj o polityce zagranicznéj Austro-Węgier, w któréj zaznaczył jak najsilniéj sprzeczność interesów tych ostatnich i Rosyi na półwyspie bałkańskim, oświadczywszy, że Austro-Węgry nie pozwolą na wzmożenie się wpływu Rosyi na nim. Bulgarya wysłała 2 grudnia deputacyę do Wiednia, Berlina, Londynu i Paryża, celem wybadania zamiarów mocarstw względem niéj, a ostatecznym rezultatem téj misyi było powołanie księcia Ferdynanda na tron bulgarski.

Sądzimy, że wraz z rozwianiem się trójcesarskiego przymierza rozpoczął się w Europie właściwy pokój zbrojny, czyli pokój, oparty wyłącznie na pewnym stosunku sił wojennych dwu obozów, na które podzielone są obecnie główne państwa europejskie, że zatém można i należy przyjąć rok 1886 za początek okresu, w którego ramach mieliśmy zamknąć nasze badania.

Ażeby ocenić dorobek, należy wiedzieć, ile się początkowo miało. Przyjrzyjmy się więc przedewszystkiém głównym zasadom ustaw poborowych, które obowiązywały w pięciu głównych państwach europejskich na początku 1886 r. i postarajmy się określić liczbę wyćwiczonych żołnierzy, którą państwa te podówczas rozporządzały.

Lądowa siła zbrojna składać się może bądź tylko z w o j s k a, bądź nadto i z p o s p o l i t e g o r u s z e n i a.

Podczas pokoju siłę zbrojną lądową wyobraża armia stała, złożona z młodzieńców, odsługujących przepisany prawem okres służby czynnéj i przenoszonych po odsłużeniu go na jakiś czas do rezerwy. Armia stała i rezerwa, razem wzięte, stanowią wojsko.

Do pospolitego ruszenia należą w pewnych granicach wieku wszyscy zdatni do dźwigania oręża mężczyźni, nie należący ani do wojska, ani do marynarki. Składa się ono z dwu różnych pod względem wartości bojowéj żywiołów: z byłych żołnierzy, przeniesionych do pospolitego ruszenia na czas jakiś z rezerwy, i z ludzi bez żadnego wykształcenia wojskowego, wprost przy poborze do pospolitego ruszenia zaliczonych.

Przed dziesięciu laty pospolite ruszenie istniało w Rosyi, w Niemczech i we Włoszech. W innych dwu państwach lądową siłę zbrojną stanowiło tylko wojsko.

Siła zbrojna odnawia co rok swoje składniki. W tym celu odbywa się co rok pobór do wojska.

W Rosyi i we Francyi stawali do poboru młodzieńcy, którzy w roku poprzedzającym skończyli lat 20, w innych zaś państwach tacy, którzy w roku poprzedzającym skończyli lat 19, włoska wszakże ustawa pozwalała powołać w razie potrzeby i młodszą generacyę.

Popisowi, którzy znajdowali się w wieku poborowym, stanowili najmłodszą klasę. Oprócz nich, stawali do poboru we wszystkich państwach ci, którzy przy poprzednim poborze otrzymali odroczenie. W Austro-Węgrzech obowiązek ten ciążył na wszystkich nie wziętych do wojska popisowych dwu poprzednich klas wieku; nadto, w okręgach rekrutacyjnych, w których trzy klasy wieku nie mogły wystawić potrzebnéj ilości rekrutów, wzywano do poboru nie wziętych do wojska popisowych czwartéj klasy wieku.

Ogólny okres służby wojskowéj był ustanowiony: we Francyi na lat 20, w Rosyi na lat 15, w Niemczech na lat $12\frac{1}{2}$, w Austro-Węgrzech na lat $12\frac{1}{4}$, we Włoszech na lat 12. Okres ten biegł: we Francyi od 1 lipca, w Niemczech i w Austro-Węgrzech od 1 października roku poborowego; we Włoszech od 1 stycznia, w Rosyi od 13 stycznia pierwszego roku po poborze.

W Niemczech, we Francyi i we Włoszech roczniki rezerwy dzieliły się na grupy, których było we Francyi trzy, w innych zaś państwach dwie. Pierwsza grupa nosiła wszędzie nazwę rezerwy; gwoli ścisłości będziemy ją nazywali rezerwą armii czynnéj; druga w Niemczech nosiła nazwę landwery, we Francyi nazwę armii terytoryalnéj, we Włoszech nazwę milicyi ruchoméj. Trzecią grupę stanowiła we Francyi rezerwa armii terytoryalnéj,

którą przyrównać można do wyćwiczonych roczników pospolitego ruszenia. Podział powyższy był w ścisłym związku z podziałem wojska na armię czynną, czyli wojsko pierwszéj linii, i wojsko rezerwowe, czyli wojsko drugiéj linii. We wszystkich trzech państwach armia czynna miała być utworzona z roczników czynnych, czyli z armii stałéj, i z roczników rezerwy, którą dlatego właśnie nazwaliśmy rezerwą armii czynnéj, wojsko zaś rezerwowe miało być zmobilizowane: w Niemczech z roczników landwery, we Francyi z roczników armii terytoryalnéj, we Włoszech z roczników milicyi ruchoméj. Wojsko drugiéj linii w państwach tych nosiło nazwę landwery, względnie armii terytoryalnéj, względnie milicyi ruchoméj, i stąd to wzięły swoją nazwę w państwach tych starsze roczniki rezerwowe.

W Rosyi wojsko rezerwowe posiadało własne kadry, t. j. istniało już podczas pokoju; kadry te wszakże były znacznie szczuplejsze od kadrów armii czynnéj. Tak jedno, jak i drugie wojsko miano mobilizować za pomocą rezerwistów wszystkich klas wieku i niezależnie od tego, czy służyli w armii czynnéj, czy też w wojsku rezerwowém, i dlatego w Rosyi wszystkie roczniki rezerwy stanowiły jedną grupę.

W Austro-Węgrzech armia czynna była wspólną, wojsko zaś rezerwowe dzieliło się na austryackie i węgierskie, to jest było wystawiane przez każdą z połów monarchii oddzielnie i nosiło nazwę landwery [1]. Każda z tych trzech składowych części armii austryacko-węgierskiéj posiadała własne kadry i własną rezerwę; nadto do landwery należały dwa najstarsze roczniki rezerwowe armii wspólnéj.

W Rosyi obowiązywał w zasadzie 6-letni, we Francyi 5-letni, w innych państwach 3-letni okres służby czynnéj, wszędzie atoli były ustanowione liczne wyjątki.

W Rosyi, począwszy od r. 1881, żołnierze piechoty i całéj artyleryi, z wyjątkiem konnéj, stanowiący ogromną większość armii, służyli pod chorągwią 5 lat. W tymże roku, celem powiększenia kontyngensu rocznego rekrutów, postanowiono, że część piechoty i artyleryi pieszéj będzie służyła tylko rok. Żołnierze tacy stanowili t. zw. kontyngens dodatkowy i zwali się jednoroczniakami, faktycznie wszakże służyli 9 miesięcy, w całém bowiem wojsku pieszém dla względów finansowych rozpuszczano najstarszy rocznik na trzy miesiące przed przybyciem rekrutów. Rekrutom, którzy posiadali wykształcenie szkolne, ustawa z r. 1874 zapewniła ulgi pod postacią skróconych czasokresów służby czynnéj. Tacy rekruci, zależnie od rodzaju posiadanego świadectwa szkolnego, służyli pod chorągwią jużto ½ ro-

---

1) Landwerę węgierską nazywają również z węgierska honwedami.

ku, jużto $1\frac{1}{2}$ roku, jużto 3, jużto 4 lata; lecz było ich nie wiele: stanowili trochę więcéj, niż 4% ogólnéj liczby rekrutów. Ulgi te zapewniła ustawa z r. 1874 celem podniesienia oświaty, i cel ten został do pewnego stopnia osiągnięty.

W Niemczech celem powiększenia zasobu wyćwiczonych żołnierzy, udzielano urlopu bezterminowego $\frac{1}{3}$ żołnierzy piechoty i artyleryi fortecznéj już po przesłużeniu 2 lat pod chorągwią. Z drugiéj strony, w widokach oszczędności, dokonywano zamiany roczników jednocześnie tylko w kawaleryi: w innych rodzajach broni rozpuszczano najstarszy rocznik na miesiąc przed przybyciem nowozaciężnych.

Ten ostatni zwyczaj był praktykowany i w Austro-Węgrzech, w armii wspólnéj. Co się tyczy popisowych, wprost do landwery zaliczanych, służyli oni pod chorągwią nominalnie: w Austryi 12, na Węgrzech $20\frac{1}{2}$ miesięcy. Faktycznie, z powodu szczupłości stopy pokojowéj, landwerzyści służyli pod bronią jeszcze krócéj: w Austryi $\frac{1}{5}$ rekrutów rozpuszczano: w piechocie po 8 tygodniach, w kawaleryi po 3 miesiącach; na Węgrzech służba czynna trwała 1 rok lub $1\frac{1}{2}$ roku.

We Francyi długi okres służby czynnéj narzuciła prawodawcom z r. 1872-go tradycya, podówczas bardzo jeszcze silna; faktycznie wszakże we wszystkich rodzajach broni, z wyjątkiem kawaleryi, $\frac{3}{4}$ żołnierzy służyło 4 lata, a $\frac{1}{4}$ rok. Ci ostatni stanowili t. zw. *deuxième portion du contigent* i pozostawali pod chorągwią faktycznie 10 miesięcy. Inni żołnierze służyli również niecałe cztery lata, ponieważ zamiana roczników odbywała się nie jednocześnie, a początek służby rachowano, jak wiemy, od 1 lipca.

We Włoszech zaliczeni do kawaleryi obowiązani byli przesłużyć pod chorągwią 4 lata, natomiast przechodzili do pospolitego ruszenia już po 9 latach. Stanowiło to wszakże niedostateczną kompensatę, i dlatego do kawaleryi zaliczano nie najzdatniejszych rekrutów, lecz tych, którzy wylosowali najniższe numera. Daléj, część żołnierzy innych rodzajów broni służyła tylko 2 lata. Liczbę takich żołnierzy określano co rok w drodze prawodawczéj, kierując się względami finansowemi. Najstarszy rozpuszczano zwykle: w kawaleryi we wrześniu, w innych rodzajach broni w sierpniu, lecz urlopowany należał do armii stałéj do 31 grudnia, ponieważ, jak wiemy, początek służby rachowano od 1 stycznia. Rekruci przybywali zwykle w listopadzie, czasami jednak w grudniu lub styczniu. Skutkiem wczesnego urlopowania starych żołnierzy i późnéj dostawy rekrutów, żołnierz pieszy służył we Włoszech pod chorągwią przeciętnie 32, względnie 20-cia miesięcy.

Żołnierz, który odsłużył swój czas pod chorągwią, należał jeszcze: w Rosyi—przez 9 lat do rezerwy; w Niemczech — przez 4 lata do rezerwy armii czynnéj i przez 5 lat do landwery; w Austro-Węgrzech— przez 7 lat do rezerwy armii czynnéj i przez 2 do rezerwy landwery, względnie przez 10 (na Węgrzech) lub 11 lat (w Austryi) do rezerwy landwery; we Francyi—przez 4 lata do rezerwy armii czynnéj, przez 5 do armii terytoryalnéj i przez 6 do rezerwy armii terytoryalnéj; we Włoszech wreszcie, przez 5 lat do rezerwy armii czynnéj i przez 4 do milicyi ruchoméj, minister wojny wszakże mógł wcielić najmłodszy rocznik milicyi do rezerwy armii czynnéj. Wskazane okresy czasu były minimalne, to znaczy, że żołnierze, którzy nie przesłużyli pod chorągwią normalnéj liczby lat, o ile nie przestawali należéć do armii stałéj w charakterze urlopowanych lub pozostawionych do dyspozycyi swych oddziałów, przechodzili do rezerwy na czas dłuższy od wskazanego.

Wszystkie ustawy wkładały na rezerwistów pewne obowiązki, z których najuciążliwszy stanowiły ćwiczenia, w Rosyi wszakże rezerwiści nie byli powoływani na ćwiczenia.

Widzieliśmy wyżéj, że dla powiększenia zasobu rezerwistów, Rosya i Francya przenosiły do rezerwy pewną część żołnierzy już po 9—10 miesiącach służby czynnéj [1]. Zarówno rosyjski kontyngens dodatkowy, jak i francuska *deuxième portion* były przeznaczone przedewszystkiém dla oddziałów zapasowych, uzupełniających szczerby w oddziałach walczących. Téj kategoryi żołnierzy odpowiadała w Niemczech i Austro-Węgrzech rezerwa zapasowa, we Włoszech — druga kategorya zaliczonych do siły zbrojnéj.

W Niemczech do rezerwy zapasowéj zaliczano, z zachowaniem niżéj wskazanego porządku: nadliczbowych popisowych, którzy aż do 1 lutego czwartego roku ich powinności wojskowéj nie zostali do wojska wzięci; zdatnych do służby wojskowéj popisowych, którym wypadałoby udzielić po raz trzeci odroczenia z powodu stosunków domowych, jeżeli komisya właściwa nie uznała za potrzebne udzielić im większéj ulgi; popisowych, którzy z powodu drobnych wad ciała za mniéj zdatnych uznani i skutkiem tego od służby czynnéj zwolnieni zostali; wreszcie popisowych, którym z powodu czasowéj niezdatności wypadłoby udzielić odroczenia służby czynnéj po raz trzeci, a co do których jednak można było mieć nadzieję, że się za rok zdatnymi do służby wojskowéj okażą.

[1] Nadto we Francyi zaliczano pewną część popisowych, najbardziéj zasługujących na względy z powodu stosunków rodzinnych, wprost do rezerwy. Stanowili oni kategoryę t. zw. *dispensés*, znajdowali się do dyspozycyi ministra wojny i mogli być powoływani na ćwiczenia narówni z innymi rezerwistami.

Niemiecka rezerwa zapasowa była podzielona na dwie klasy. Popisowy, zaliczony do pierwszéj klasy, należał do niéj przez 5 lat, począwszy od 1 października tego roku, w którym do rezerwy zapasowéj zaliczony został, poczém przechodził do drugiéj klasy, w któréj pozostawał wraz z zaliczonymi wprost do téj klasy do końca 31 roku życia. Pierwsza klasa rezerwy zapasowéj miała ułatwić mobilizacyę armii czynnéj i wystawić oddziały zapasowe. Zaliczano do niéj tylu popisowych, ażeby pięć roczników mogło pokryć zapotrzebowanie armii przy mobilizacyi.

Rezerwa zapasowa wyobrażała początkowo zupełnie surowy materyał. Dopiéro od r. 1881, wskutek prawa z 6 maja 1880 r., zaczęto powoływać na ćwiczenia rezerwistów zapasowych pierwszéj klasy, zaliczonych do niéj z powodu wylosowania wysokiego numeru lub z powodu drobnych wad ciała. Tacy rezerwiści mogli być powoływani na ćwiczenia czterokrotnie: pierwszym razem na 10 tygodni, drugim razem na 4 tygodnie, trzecim i czwartym razem na 2 tygodnie. Toż prawo orzekło, że rezerwiści zapasowi, którzy byli powoływani na ćwiczenia, należą do pierwszéj klasy aż do końca, t. j. do 31 roku życia włącznie. Tak więc, rezerwista zapasowy, który odbył wszystkie cztery ćwiczenia, mógł być przyrównany do żołnierza, który przesłużył 4 miesiące pod chorągwią.

W Austro-Węgrzech rezerwę zapasową uzupełniano w ten sam sposób, co i armię czynną. Kontyngens jéj stanowił $^1/_{10}$ rocznego kontyngensu armii wspólnéj. Zaliczony do rezerwy zapasowéj należał do niéj przez lat 10, poczém przechodził na dwa pozostałe lata do landwery, która zatém składała się z 12 własnych roczników, 2 roczników armii czynnéj i 2 roczników rezerwy zapasowéj. Rezerwa zapasowa aż do 1882 włącznie nie otrzymywała żadnego wykształcenia wojskowego, i dopiéro prawo z 2 października 1882 pozwoliło przynajmniéj zgrubsza ociosywać ten materyał: rezerwistów zapasowych przetrzymywano odtąd pod chorągwią 8 tygodni, poczém dopiéro rozpuszczano do domów.

Włoska wreszcie rezerwa zapasowa, czyli t. zw. druga kategorya zaliczona do siły zbrojnéj [1]), składała się z byłych popisowych, którzy z powodu wylosowania wysokiego numeru nie poszli pod chorągiew. Część ich powoływano na ćwiczenia paromiesięczne, reszta nie otrzymywała żadnego wyćwiczenia.

---

[1]) We Włoszech popisowi zaliczeni do siły zbrojnéj składali trzy kategorye: pierwszą stanowili rekruci armii stałéj, drugą—rezerwiści zapasowi, trzecią—uprzywilejowani popisowi, wprost do pospolitego ruszenia zaliczeni.

Oprócz rekrutów, we wszystkich rozpatrywanych tutaj państwach wstępowała do wojska pewna liczba młodzieńców, dobrowolnie zaciągających się pod chorągiew. Młodzieńcy tacy nosili miano ochotników i dzielili się na zwyczajnych i uprzywilejowanych.

Według przepisów, które obowiązywały przed dziesięciu laty, ochotnicy zwyczajni pod względem obowiązków, nie różnili się niczém od rekrutów i dlatego włączani byli w ogólny kontyngens nowozaciężnych. Kategorya ta w Rosyi prawie nie istniała. W samėj rzeczy, w Rosyi od ochotników zwyczajnych wymagano skończonych lat 21. Do wojska na prostego żołnierza idzie się zwykle z musu, a nie z własnėj ochoty. Ponieważ w Rosyi do poboru stawali młodzieńcy, którzy skończyli lat 20, w charakterze przeto ochotnika zwyczajnego mógł zaciągnąć się do wojska tylko taki poddany, który do wojska nie był obowiązany należéć, a więc: popisowy, zaliczony do pospolitego ruszenia; popisowy, uznany za niezdatnego, który potém przyszedł do zdrowia i sił; wreszcie, poddany, zwolniony wogóle od obowiązku należenia do siły zbrojnėj. Przeciwnie, w Niemczech i w Austro-Węgrzech, gdzie można było zaciągać się już po skończeniu lat 17, we Francyi i we Włoszech, gdzie od zaciągających się dobrowolnie na warunkach rekrutów wymagano skończonych lat 18, kategorya ochotników zwyczajnych była bardzo liczna, możność bowiem wcześniejszego odsłużenia czasu obowiązkowego pod chorągwią nęciła nie jednego. We wszystkich armiach ochotnicy zwyczajni mogli wybierać sobie rodzaj broni i pułk, byle tylko odpowiadali warunkom, wymaganym od rekrutów wybranego rodzaju broni, i niektórym innym.

Instytucya ochotników uprzywilejowanych miała na celu: z jednėj strony — ułatwić wykształconėj młodzieży wypełnienie obowiązku służby wojskowėj, z drugiéj—wytworzyć dostateczny zasób niższych oficerów, lekarzy, weterynarzy i farmaceutów, niezbędny dla postawienia armii na stopie wojny. W Rosyi w charakterze ochotników uprzywilejowanych mogli się zaciągać młodzieńcy, którzy przynajmniéj zdali egzamin według programu, odpowiadającego mniéj więcéj kursowi czterech klas gimnazyum. Młodzieńcy tacy stanowili trzecią kategoryę ochotników: do pierwszéj zaliczano tych, którzy posiadali dyplom uniwersytecki, do drugiéj tych, którzy skończyli gimnazyum lub szóstą klasę gimnazyum. W Niemczech wymagano conajmniéj skończenia obersekundy, czyli siódméj klasy gimnazyum. W Austro-Węgrzech trzeba było skończyć gimnazyum lub zakład równoznaczny; we Francyi—skończyć gimnazyum lub zdać egzamin podług programu, ułożonego przez ministra wojny, liczbę wszakże

tych ostatnich ustanawiano co rok, przyczém stopniowo zmniejszano; wreszcie we Włoszech — udowodnić na egzaminie przed komisyą specyalną posiadanie kursu gimnazyalnego [1]). Główna ulga, z któréj korzystali ochotnicy uprzywilejowani, polegała na skróconym okresie służby czynnéj. W Rosyi pierwsza kategorya ochotników służyła pod chorągwią 3 miesiące, druga 6 miesięcy, trzecia 2 lata. We wszystkich innych państwach ochotnicy uprzywilejowani obowiązani byli przesłużyć 1 rok pod chorągwią i dlatego nosili nazwę jednorocznych. Następnie, w Rosyi wszyscy ochotnicy uprzywilejowani należeli do rezerwy przez 9 lat; w innych państwach ochotników uprzywilejowanych obowiązywał zwykły ogólny okres służby wojskowéj.

Jak rzekliśmy na wstępie, w Rosyi, w Niemczech i we Włoszech siłę zbrojną wyobrażało nietylko wojsko, ale i pospolite ruszenie.

Pospolite ruszenie rosyjskie składało się z mężczyzn w wieku od lat 20 do 40 włącznie. Ponieważ do losowania stawali młodzieńcy, którzy w roku poprzedzającym skończyli lat 20, wysłużeni przeto żołnierze należeli do pospolitego ruszenia w zasadzie przez lat 4. Bezpośrednio do pospolitego ruszenia zaliczano popisowych, którzy posiadali prawo do ulgi z powodów familijnych, oraz takich, którzy wylosowali wysoki numer. Obie te kategorye stanowiły przeszło połowę popisowych. Pospolite ruszenie było podzielone na 2 kategorye: pierwszą stanowiły cztery najmłodsze, drugą — pozostałe roczniki. Ta ostatnia kategorya była przeznaczona wyłącznie do formowania specyalnych oddziałów pospolitego ruszenia, pierwsza — oprócz tego — do wzmocnienia rezerwy, gdyby ta okazała się niewystarczającą przy mobilizacyi lub wyczerpała się podczas wojny.

W Niemczech pospolite ruszenie obejmowało ludność męską zdolną do dźwigania oręża, a nie należącą ani do wojska, ani do marynarki, w wieku od lat 17 do 42-ch [2]). Wprost do pospolitego ruszenia zaliczano przy poborze: popisowych, którzy jedynie z powodu stałych, acz drobnych wad fizycznych nie zostali zaliczeni nawet do rezerwy zapasowéj; popisowych, którym wypadłoby udzielić po raz trzeci odroczenia z powodu niezdatności tymczasowéj, jeżeli można było przypuścić, że nawet za rok nie kwalifikowaliby się do rezerwy zapasowéj; popisowych uprzywilejowanych, którym komisya właściwa

---

[1]) Wszędzie wyżéj przez wyraz gimnazyum należy, oczywiście, rozumieć zakład naukowy, odpowiadający naszemu gimnazyum.

[2]) W Prusiech od r. 1815 do 1866 do pospolitego ruszenia należała ludność męska w wieku od lat 17 do 49.

uznała za stosowne udzielić większéj ulgi, niż zaliczenie do rezerwy zapasowéj; wreszcie, nadwyżkę popisowych, kwalifikujących się do rezerwy zapasowéj.

Włoski, wreszcie, poddany należał do pospolitego ruszenia, które we Włoszech nosiło nazwę milicyi terytoryalnéj, od daty zaliczenia aż do 31 grudnia tego roku kalendarzowego, w którym kończył lat 39, czyli w zasadzie przez lat 19. Wprost do pospolitego ruszenia zaliczano, jak wiemy, popisowych, którzy posiadali prawo do ulgi z powodu stosunków rodzinnych. Włoskie pospolite ruszenie—wbrew zasadzie przyjętéj w dwu poprzednich państwach—mogło być powoływane co cztery lata na ćwiczenia 30-dniowe, faktycznie wszakże powoływano tylko nieznaczną część popisowych, wprost do pospolitego ruszenia zaliczonych, na ćwiczenia 2-tygodniowe.

Wyłożone wyżéj zasady ustawy rosyjskiéj z r. 1874 nie obowiązywały dość znacznéj części ludności Rosyi: ludność Finlandyi, stanowiącą 2%, i ludność kozacką, stanowiącą 2.1% ogólnéj ludności państwa, obowiązywały inne ustawy, 11.5% ludności było zupełnie zwolnionych od obowiązku należenia do siły zbrojnéj, tak iż właściwie ustawie z r. 1874 podlegało tylko 84.4% ludności państwa. Podobnież rozpatrzone wyżéj ustawy poborowe monarchii austryacko-węgierskiéj nie obowiązywały w Bośni i Hercogowinie. Powiédzmy więc i o tych ustawach specyalnych—słów kilka.

Finlandya od chwili przyłączenia jéj do Rosyi, czyli od 1809, utrzymywała wojsko osiedlone według typu wojska szwedzkiego *indelta*. W r. 1867 system ten został zniesiony, i aż do wprowadzenia powszechnego obowiązku należenia do siły zbrojnéj, Finlandya utrzymywała jeden batalion strzelców, uzupełniany za pomocą werbunku.

W myśl ustawy z 20 marca 1879 r., która zaprowadziła w Finlandyi powszechny obowiązek służby wojskowéj z d. 1 stycznia 1881 roku, Finlandczyk należy do wojska przez lat 5: przez 3 lata do armii stałéj, przez 2 do rezerwy. Zaliczeni wprost do rezerwy pozostają w niéj przez lat 5 i w ciągu pierwszych trzech powoływani są na ćwiczenia 30-dniowe raz na rok. Do poboru staje Finlandczyk późniéj, niż gdziekolwiek indziéj w Europie, w tym bowiem roku kalendarzowym, w którym kończy lat 22. Po pięciu latach, wzięci do wojska przechodzą do pospolitego ruszenia, w którém pozostają do 40-go roku życia, t. j. w zasadzie przez lat 13. Pospolite ruszenie może być powołane tylko w razie wtargnięcia nieprzyjaciela do kraju, lecz wojsko fińskie może być użyte po za granicami Finlandyi. Kto skończył szkółkę ludową, służy pod chorągwią 2 lata, kto skończył średni zakład naukowy — $1^1/_2$ roku, kto skończył uniwersytet — 1 rok. Dwu

ostatnim kategoryom dozwolony jest zaciąg dobrowolny w charakterze ochotników jednorocznych. Przepisy powyższe obowiązują dotychczas i dlatego, streszczając je, użyliśmy czasu teraźniejszego.

Co się tyczy kozaków, rozpatrzymy bliżéj jedynie ustawę, która obowiązywała kozaków dońskich, na niéj bowiem wzorowały się ustawy reszty kozaków, drobne zaś różnice, tu i owdzie spotykane, nie zasługują na wymienienie. Jedyny wyjątek stanowiło wojsko uralskie: jego oddziały składały się z ochotników, którzy od innych kozaków pobiérali za to płacę.

W myśl ustawy z 29 kwietnia 1875 r., któréj przepisy, podane niżéj, również nie uległy zmianie w ciągu ubiegłego dziesięciolecia, siła zbrojna wojska dońskiego składa się z dwu odrębnych części: z klasy wojskowéj i z pospolitego ruszenia. Klasa wojskowa dzieli się na trzy kategorye: przygotowawczą, czynną i zapasową. Kozacy pierwszéj kategoryi przygotowują się do służby wojskowéj; druga wystawia przepisaną liczbę pułków i setni kawaleryi, batalionów piechoty i bateryi konnych; trzecia zapełnia luki, powstające w tych jednostkach organizacyjnych podczas wojny. Kozackie pospolite ruszenie składa się ze wszystkich, bez względu na wiek, kozaków stanu wojskowego, zdolnych do dźwigania oręża i nie należących do klasy wojskowéj, a jest przeznaczone wyłącznie do formowania własnych oddziałów.

Kozak wstępuje do kategoryi przygotowawczéj zaraz po skończeniu lat 18 i służy przez lat 20: kategorya przygotowawcza składa się z 3 roczników, czynna z 12, zapasowa z 5. W ciągu pierwszego roku kozak obowiązany jest sprawić sobie rynsztunek, po skończeniu zaś lat 21 wieku przechodzi do kategoryi czynnéj: najprzód pod chorągiew na lat 4, potém do rezerwy na lat 8. Roczniki czynne noszą nazwę pierwszego powołania, roczniki rezerwy składają po cztery powołanie drugie i trzecie. Wstępując do służby czynnéj, każdy kozak winien miéć własne umundurowanie i własny rynsztunek według przepisanéj formy, tudzież konia wierzchowego. Kozacy II powołania, aczkolwiek należą do rezerwy, powinni miéć zawsze na pogotowiu umundurowanie, rynsztunek i konie. Kozacy III powołania obowiązani są trzymać w porządku umundurowanie i rynsztunek, w konie zaś zaopatrują się dopiéro przy mobilizacyi. Kozacy II powołania co rok w maju odbywają ćwiczenia 3 tygodniowe, kozacy III powołania—tylko jedno takie ćwiczenie, w trzecim roku.

Wreszcie, w myśl ustawy z 24 października 1881 r., ludność Bośni i Hercogowiny była obowiązana do 3-letniéj służby czynnéj. Rezerwa składała się z 9 roczniaków. Do poboru stawały co rok 4 klasy

wieku; pierwszą stanowili młodzieńcy, którzy w roku poprzedzającym skończyli lat 19.

Pozostaje zbadać, jaką liczbą wyćwiczonych żołnierzy rozporządzało każde z rozpatrywanych państw przed dziesięciu laty.

Jest to niewątpliwie jedna z najciekawszych cyfr z dziedziny statystyki wojskowéj; niestety, dla braku danych urzędowych, nie można wskazać jéj dokładnie i trzeba poprzestać na rachunku przybliżonym.

Zwykle liczbę wyćwiczonych żołnierzy określają w ten sposób, że biorą za podstawę rachunku ostatni kontyngens nowozaciężnych, i mnożą go przez czasokres służby wojskowéj; co się zaś tycze strat naturalnych, dzielą roczniki na kilka grup i przyjmują dla każdéj z nich pewien procent, jednakowy dla wszystkich składających ją roczników. Metoda ta jest wadliwa, raz dlatego, że rezultat otrzymany nie odpowiada ani teraźniejszości, ani przyszłości, ponieważ liczba nowozaciężnych jest co rok inna, powtóre zaś dlatego, że nawet gdyby kontyngens był stały, powyższy sposób obliczania strat grzeszyłby zbytnią dowolnością i byłby za mało ścisły. Jeden jest tylko sposób obliczenia zasobu wyćwiczonych żołnierzy, posiadanego przez dane państwo, gdy się liczby urzędowéj nie ma: należy zsumować wszystkie roczniki wojska, potrąciwszy uprzednio z każdego z nich pewien procent na straty za czas odpowiedni, t. j., naprzykład, z piątego rocznika za cztery lata, z szóstego za pięć lat i t. d.

Wysokość kontyngesu rocznego rekrutów i ochotników zwyczajnych jest w stosunku prostym do rozmiarów stopy pokojowéj armii i odwrotnym do liczby lat służby czynnéj. Wszystkie państwa starają się powiększać stopę pokojową armii, ponieważ tą drogą powiększa się zasób wyćwiczonych żołnierzy, nie obniżając jego wartości; zanim więc przystąpimy do obliczania zasobu wyćwiczonych żołnierzy każdego z rozpatrywanych państw, zobaczmy, jaką też armią stałą każde z nich rozporządzało przed dziesięciu laty i ilu młodzieńców do niéj w r. 1885 wcieliło.

Porównywując liczebność różnych armii podczas pokoju, należy odróżniać budżetową stopę pokojową od etatowéj. Ta jest zwykle większa od tamtéj, nie uwzględnia bowiem normalnego rocznego ubytku i wcześniejszego przenoszenia żołnierzy czynnych bądź do rezerwy, bądź do dyspozycyi właściwych oddziałów; może być jednak i odwrotnie, wtedy mianowicie, gdy pewne oddziały utrzymywane są tajemnie na wzmocnionéj stopie pokojowéj. Następnie trzeba pamiętać, że nie wszędzie przez stopę pokojową armii rozumieją jedno i to samo.

W Niemczech, naprzykład, przez *Friedens-Praesenzstaercke*, którą w myśl ustawy z 2 maja 1874 miał ustanawiać parlament co lat siedm i która miała wynosić 1% ludności państwa, rozumiano tylko podoficerów i szeregowców, bez żandarmeryi, oficerów, lekarzy, weterynarzy, płatników, rusznikarzy i siodlarzy, tudzież bez ochotników jednorocznych, jako utrzymujących się własnym kosztem. We Francyi i we Włoszech żandarmerya stanowiła część składową armii, przyczém w jedném i drugiém państwie liczyła przeszło 20 tysięcy ludzi. W Austro-Węgrzech do armii stałéj zaliczano, oprócz żandarmeryi, personel stadnin rządowych. Nie mając pod ręką cyfr wiarogodnych, nie możemy wskazać dokładnie stopy pokojowéj głównych armii europejskich przed dziesięciu laty; możemy wszakże wskazać, a są to cyfry najważniejsze, ilu żołnierzy liczyła w każdém państwie piechota, kawalerya, artylerya i inżenierya. We wszystkich czterech rodzajach broni było w 1886: w Rosyi Europejskiéj i na Kaukazie, bez piechoty miejscowéj, pozbawionéj wartości bojowéj, 642,000, w Niemczech 417,000, w Austro-Węgrzech 249,000, we Francyi 434,000, we Włoszech 211,000 [1]).

Od rozmiarów stopy pokojowéj armii zależy, jak rzekliśmy, wysokość kontyngensu rocznego rekrutów i ochotników zwyczajnych. Ogólnie mówiąc, kontyngens roczny rekrutów równa się ilorazowi z podzielenia stopy pokojowéj przez normalny czasokres służby czynnéj; to znaczy, że przy służbie trzyletniéj, do armii stałéj, złożonéj z 300 tysięcy żołnierzy, można wcielać co rok 100 tysięcy rekrutów. Lecz kontyngens roczny rekrutów jest zwykle większy od otrzymanéj w powyższy sposób cyfry. Przedewszystkiém zważyć trzeba, że z każdego rocznika ubywa przez rok 3 do 4% z przyczyn naturalnych; następnie, rozpuszcza się przed czasem nadmiar żołnierzy, którego nie byłoby z czego żywić. Ta ostatnia manipulacya nie pozwala określić dokładnie rzeczywistéj wysokości kontyngensu rocznego rekrutów i ochotników zwyczajnych. Co się tycze ochotników uprzywilejowanych, liczbę ich, wobec zupełnego niemal braku danych urzędowych, można określić tylko w sposób przybliżony. Wogóle można powiedzieć (o czém się zresztą sam czytelnik poniżéj przekona), że trzeba wprzód dobrze głowę sobie nałamać, trzeba dobrze naszukać się i narachować, zanim się z jakiém takiém prawdopodobieństwem liczebność danéj armii wskaże.

---

[1]) Dla Rosyi wskazaliśmy siłę etatową, dla innych siłę budżetową; pierwszą cyfrę sami wyliczyliśmy na podstawie danych urzędowych, inne zaczerpnęliśmy z kalendarzyka Gotajskiego.

W 1885, w Rosyi, według Ukazu Najwyższego do senatu rządzącego, miano pobrać 230 tysięcy rekrutów, wcielono zaś faktycznie do armii stałéj 227,906. Potrąciwszy z tego trzechtysięczny kontyngens marynarki [1]), dodawszy zaś kontyngens kozacki (czwartą część stopy pokojowéj, czyli około 11,500), kontyngens finlandzki w sile 1,600 rekrutów i 5-tysięczny kontyngens ochotników [2]), otrzymamy w rezultacie 243,000 nowozaciężnych.

W Niemczech pobrano w tymże roku 142,776 rekrutów [3]), wstąpiło zaś dobrowolnie do wojska około 18,000 ochotników, ogółem więc wcielono 161.000 ludzi.

W Austro-Węgrzech, według ustawy poborowéj, armia wspólna i marynarka mogły otrzymać 95,424 rekrutów i ochotników zwyczajnych, obie zaś landwery 15,225, co daje razem 110,649. Faktycznie, z powodu szczupłości kadrów, wcielono znacznie mniéj. W saméj rzeczy, armia wspólna liczyła w owym czasie 257,000 żołnierzy, w téj liczbie 13,000 nadterminowych [4]), landwera zaś 11,000. Po dwu latach służby czynnéj uwalniano co rok 7,500 żołnierzy [5]). Odjąwszy od powyższych 257 tysięcy podoficerów nadterminowych i 15,300 ludzi, jako ekwiwalent dwuroczniaków, i podzieliwszy rezultat przez trzy otrzymamy 76,200. Do cyfry téj dodać trzeba 7,500 dwuroczniaków, 11,000 landwerzystów i 3,100 ochotników jednorocznych [6]), a otrzymamy w sumie ogólnéj 98,000 ludzi.

We Francyi, w 1885, pierwsza część kontyngensu wyniosła 100,510 rekrutów i ochotników zwyczajnych, druga—40,485 rekrutów; do piechoty i artyleryi marynarki, przeznaczonych do działań na lądzie, wcielono 5,639 ludzi; ochotników jednorocznych wstąpiło 4,380; ogółem więc przyjęto we Francyi europejskiéj 151,014 ludzi [7]). W Algierze ludność francuska dostarczyła około 3,000 młodzieńców (obowiązanych tylko do służby jednorocznéj), ochotników zaś z pośród krajowców i cudzoziemców wstąpiło około 4,000, tak iż ogółem armia francuska otrzymała w pomienionym roku około 158,000 nowozaciężnych.

---

[1]) W 1891 do marynarki wcielono $3^1/_2$ tysiąca rekrutów (Rediger, *Komplektowanje i ustrojstwo wooružonnoj siły* I, pag. 109).

[2]) *Die Russische Armee in Krieg und Frieden.* Berlin, 1890, pag. 4.

[3]) Loebell, *Jahresberichte ueber die Veraenderungen und Fortschritte im Militaerwesen*, 1892, pag. 5.

[4]) Rediger, I, pag. 187.

[5]) Rediger, I, pag. 57.

[6]) W 1885 zaliczono do wojska 3,789 ochotników jednorocznych, z téj liczby wszakże wstąpiło do armii stałéj 3,118,

[7]) Loebell, *Jahresberichte*, 1886, pag. 78, 79 i 117.

We Włoszech, wreszcie, miano pobrać w 1885 w charakterze nowozaciężnych I-éj kategoryi 82,000 ludzi.

Przechodzimy do określenia liczby wyćwiczonych żołnierzy, jaką rozporządzało każde z głównych państw europejskich przed dziesięciu laty.

W Rosyi na wiosnę 1886 należały do wojska roczniki od 1871 do 1885 włącznie. Według danych urzędowych, pomieszczonych w dziełku generała Puzyrewskiego o armii rosyjskiéj przed ostatnią wojną turecką [1]), roczniki 1871 — 75 liczyły w styczniu 1877 roku 666,440 ludzi. Potrąciwszy conajmniéj 26% na straty wojenne [2]), otrzymamy liczbę okrągłą 493,000. Co się tycze następnych roczników, wiemy tylko, ilu rekrutów pobrać miano co rok według Ukazu Najwyższego do senatu rządzącego [3]). Doświadczenie poucza, że liczba faktycznie wcielonych do szeregów jest niższa od liczby ukazowéj [4]). Następnie, pewna liczba popisowych jest zaliczana przy poborze wprost do rezerwy i wyobraża zatém zupełnie surowy materyał [5]). Wreszcie, z doświadczenia wiemy że z każdego rocznika ubywa co rok z powodów najrozmaitszych 4% [6]). Z dwu pierwszych powodów potrąćmy z każdego rocznika po 2,500 ludzi; następnie, skompensujmy kategoryę ochotników, dłużéj niż rok służących, z kontyngensem marynarki i 0.2% rekrutów, obowiązanych do służby półroczněj; potrąćmy, wreszcie, z każdego rocznika za każdy rok 4%, a otrzymamy w 15 rocznikach 2,153,000 ludzi. W tymże czasie Finlandya mogła wystawić 5 roczników, które liczyły 7,400, roczny bowiem kontyngens rekrutów wynosił 1,600 ludzi, kozacy zaś reprezentowali 17 roczników, które li-

---

[1]) *Russkaja armia pieređ wojnoju 1877 — 78 godow.* Petersburg, 1889, aneks II.

[2]) Według Glueckmann'a: *Das Heerwesen der Oesterreichisch-Ungarischen Monarchie,* Wien, 1890, pag. 63, „straty armii ruskiej w samych tylko zabitych wyniosły 118,000 ludzi, czyli około 13% stopy wojennéj", na wojnie zaś daleko więcéj ludzi ginie od trudów, niż od oręża nieprzyjacielskiego.

[3]) Mianowicie: 196,000 w 1876, 218,000 w każdém z trzech następnych lat, 235,000 w 1880, 212,000 w 1881 i następnym, 218,000 w 1883, 224,000 w 1884 i 230,000 w 1885.

[4]) Tak np. w 1884 pobrano 221,562, w następnym 227,906 rekrutów.

[5]) Należą do nich naprzykład lekarze. Według danych urzędowych zaliczono wprost do rezerwy: w 1889 roku 1,612 popisowych, w następnym 1,582, w 1893 roku 1,552, w następnym 1,415.

[6]) Procent ten, bardzo zresztą duży, przyjmuje profesor Rediger dla Rosyi (*opus citatum*, I, pag. 109) i Glueckmann dla Austro-Węgier (*opus citatum*, 1890, pag. 61. 1893, pag. 65).

czyły razem około 300,000 ludzi [1]). Wypada więc, że ogółem przed dziesięciu laty posiadała Rosya podług spisów, w liczbie okrągłéj, *2,500,000* wyćwiczonych żołnierzy.

Do określenia liczby żołnierzy, którą rozporządzały Niemcy w 1886 r., wielce pomocną jest tablica statystyczna, pomieszczona w sprawozdaniu Loebell'a za rok 1892. Wskazuje ona, ilu rekrutów brano co rok w Niemczech począwszy od 1874 [2]). Co się tycze sposobu obliczania strat, nie zaakceptowaliśmy metody, obranéj przez autora tablicy omawianéj, gdyż jéj umotywować nie potrafilibyśmy [3]), i zastosowaliśmy do Niemiec przyjętą przez nas odnośnie do Rosyi metodę, z tą wszakże różnicą, że na straty potrącaliśmy nie 4%, lecz tylko 3%, a to dla trzech powodów: po-pierwsze, w Niemczech aż do ostatnich czasów stawiano rekrutom pod względem fizycznym znacznie większe wymagania, niż gdzieindziéj, po-drugie istniał tam *Nach-Ersatz*, nieznany innym państwom, po-trzecie w Niemczech ten właśnie procent przyjmują zwykle przy obliczaniu ubytku naturalnego. Co się tycze ochotników, liczbę ich musimy określić za pomocą przybliżonego rachunku, a na straty potrącić 4%. Przypuśćmy, że od 1883 wstępowało co rok 20,000 ochotników, przedtém zaś 15,000 [4]). Po dokonaniu stosownych obliczeń przekonamy się, że przed dziesięciu laty trzy roczniki armii stałéj i cztery rezerwowe liczyły 899,200 rekrutów, pięć zaś roczników landwery 807,800. Po dodaniu ochotników i potrąceniu kontyngensu marynarki [5]) otrzymamy w 12 rocznikach wojska w cyfrze okrągłéj *1,600,000* wyćwiczonych żołnierzy [6]).

W Austro-Węgrzech, wysokość kontyngensu rocznego rekrutów ustanawiano co lat dziesięć, ograniczenie to wszakże, wobec niezada-

---

[1]) W dniu 13 stycznia 1888, podług spisów, we wszystkich 17 rocznikach klasy wojskowéj znajdowało się 301,184 kozaków, w téj liczbie w kategoryi czynnéj 185,924, czyli około 61% (Patrz artykuł Krasnowa p. t. „Dońskie wojsko, jako główny członek rodziny kozaczéj" w miesięczniku *Wojennyj Sbornik* z 1888).

[2]) Oto są odnośne cyfry: do 1877 po 133,366, w 1878 r. 133,808, w 1879 r. 131,588, w 1880 r. 140.541, w 1881 r. 140,988, w 1882 r. 141,965, w 1883 r. 141,917, w 1884 r. 142,521, w 1885 r. 142,776.

[3]) Autor jéj potrąca: 3% z pierwszych trzech roczników, 5% z roczników rezerwy armii czynnéj, 10% z roczników 8 — 12, 15% z roczników 13—16, 20% z roczników 17—19.

[4]) Przypuszczenie to nie jest całkiem dowolne, nie możemy wszakże usprawiedliwiać się z każdéj cyfry.

[5]) Trzy kontyngensy po 2,000, sześć po 3,000 i trzy po 4,000.

[6]) Mianowicie 1,407,024 rekrutów i 166,848 ochotników, czyli razem 1,573,872. Potrącić należy kontyngens marynarki w sile 31,314 ludzi, dodać zaś tak zwany kadr stały (podoficerów nadterminowych) w sile 36,000.

walającego stanu finansowego monarchii, który nie pozwalał powiększać stopy pokojowéj armii, nie miało wartości praktycznéj, tak iż ideałem wspólnego ministra wojny i obu ministrów obrony krajowéj było: dozwolone przez prawo *maximum* osięgnąć.

Według ustawy z 1868, armia wspólna i marynarka miały liczyć na stopie wojny 800,000 ludzi. Ażeby liczbę tę otrzymać, pobierano co rok dla armii wspólnéj i marynarki 95,474 rekrutów i ochotników zwyczajnych [1]). Kontyngens ten, ustanowiony w 1868, w 1879 nie został powiększony. Na schyłku 1885 armia wspólna liczyła według spisów 872,579 żołnierzy [2]), w liczbie téj wszakże mieści się rezerwa zapasowa, która, jak wiemy z poprzedniego, dopiéro od 1883 zaczęła otrzymywać elementarne wykształcenie wojskowe, a zatém wyobrażała surowy materyał. Ponieważ wcielano do niéj, jak rzekliśmy, 10% rocznego kontyngensu rekrutów czyli 9,547 ludzi, stanowiła ona przeto 10% liczby 872,579, i dlatego w armii wspólnéj było tylko 785,300 wyćwiczonych żołnierzy.

Do landwery zaliczano wtedy wszystkich zdatnych popisowych, którzy pozostali po wystawieniu kontyngensu rocznego armii wspólnéj i rezerwy zapasowej przez ludność. Ponieważ kadry obu landwer, a zwłaszcza austryackiéj, były bardzo szczupłe [3]), większość przeto rekrutów otrzymywała tylko bardzo powierzchowne wykształcenie wojskowe. Na schyłku 1885, podług zacytowanego wyżéj źródła, landwera austryacka liczyła 217,000, landwera węgierska 192,759 żołnierzy. Celem obliczenia zasobu wyćwiczonych żołnierzy obu landwer, przypuśćmy, że dostateczne wyćwiczenie odbierało od 1883 — do tego bowiem czasu landwera austryacka nie posiadała kadrów—10,000 landwerzystów [4]), przedtém zaś 5,000. Przekonamy się wówczas, że wraz z dwoma rocznikami byłych żołnierzy armii wspólnéj (których liczebność określiliśmy według przyjętéj przez nas metody) landwera austryacka i landwera węgierska rozporządzały ogółem 189,000 wyćwiczonych żołnierzy. Doliczywszy do tych dwu zastępów kontyngens bośnijsko-hercegowiński [5]) i ochotników jednorocznych [6]), otrzymamy

---

[1]) Istotnie, potrąciwszy z tego kontyngensu według wskazanéj wyżéj metody 4%, otrzymamy w 10 rocznikach 799,989 ludzi.

[2]) Loebell, *Jahresberichte*, 1886, pag. 201.

[3]) W 1886 landwera austryacka liczyła na stopie pokoju 3,500 żołnierzy, landwera węgierska 7,500.

[4]) Jest to stopa pokojowa landwery austryackiéj, połowa kawaleryi i cała piechota honwedów.

[5]) Na początku 1886, czyli po czterech latach stosowania prawa z 1881, Bośnia i Hercegowina mogły wystawić tylko 1,500 wyćwiczonych żołnierzy.

[6]) Rachując ich po 3,000 rocznie, otrzymamy w 12 rocznikach 30,600.

w sumie ogólnéj, odpowiednio zaokrąglonéj, *1,000,000* wyćwiczonych żołnierzy.

We Francyi od 1872 wcielano do armii co rok około 150,000 rekrutów i ochotników. Przyjąwszy liczbę tę za podstawę rachunku i potrąciwszy za każdy rok 4%, otrzymamy w 5 najmłodszych rocznikach 692,400 ludzi, w 4 rocznikach rezerwy armii czynnéj 460,600, w 5 rocznikach armii terytoryalnéj 479,500, razem 1,632,500 ludzi. Jeżeli do liczby téj dodamy kontyngens afrykański i starszych podoficerów nadterminowych, których było kilkanaście tysięcy, to otrzymamy w 14 rocznikach wojska *1,700,000* wyćwiczonych żołnierzy. Rezerwy armii terytoryalnéj nie bierzemy pod uwagę, uważamy ją bowiem za pospolite ruszenie [1]).

Wreszcie we Włoszech, według sprawozdania dorocznego generała Torre [2]), 30 czerwca 1886 w 12 rocznikach wojska znajdowało się 1,167,436 żołnierzy, mianowicie: w armii czynnéj 884,754, w milicyi ruchoméj 282,682; z téj masy wszakże należyte wyćwiczenie posiadała tylko połowa, czyli łącznie z rocznikiem nowozaciężnych najwyżéj *700,000*: resztę stanowiła rezerwa zapasowa.

(*D. n.*). *Piotr Malinowski.*

---

[1]) Cyfrę zasadniczą 150,000 zaczerpnęliśmy z dodatku do *Militaer-Wochenblatt*'u za r. 1872 (zeszyt 9, pag. 311), poświęconego ustawie francuskiéj z 1872. Wobec nic nie znaczącego przyrostu ludności we Francyi, uznaliśmy za możliwe nie podwyższać tego kontyngensu dla lat późniejszych. Przy sposobności zaznaczmy, że autor powyższego studyum o ustawie z 1872, posiłkując się metodą, uznaną wyżéj przez nas za wadliwą, potrąca na straty zwykłe: dla armii stałéj 10%, dla rezerwy armii czynnéj 15%, dla armii terytoryalnéj 20%, dla jéj rezerwy 33$^1/_3$%. Jeżeli przyjęta przez nas metoda jest może za surowa, to powyższy sposób obliczania strat jest zanadto względny.

[2]) Loebell, *Jahresberichte*, 1886, pag. 157 i 167.



KATO.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.[1]

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Pani Marychna jeszcze nigdy nie była tak niespokojna, jak dzisiaj. Mąż spóźnił się na obiad, a że mu się to zdarzało bardzo rzadko, więc jéj się przypomniała zeszłoroczna choroba i nękała ją wspomnieniami, jak zły sen.

Cierpiał przed rokiem na zawroty głowy i raz przywieziono go z biura zupełnie nieprzytomnego. Pani Marychna nie może tego zapomnieć, a samo przypuszczenie, że zła chwila mogłaby powrócić, tamuje jéj oddech w piersi.

Dziś jest wyjątkowo rozdrażniona. Biega niespokojnie od okna saloniku, wychodzącego na podwórze, do jadalnego pokoju, gdzie jest zégar, zagląda to do kuchni, to do gabinetu męża, gdzie siedzą dzieci pochylone nad książkami, poprawia nakrycia na stole, a to wszystko

---

[1]) Patrz zeszyt majowy „Ateneum" r. b., str. 255.

robi bezwiednie, cała zmieniona w myśl — Jaś się spóźnił! Zégar wybił melancholijnie czwartą godzinę, napełnił poważnym dźwiękiem cichy pokój i odbił się w jéj sercu jakby źle wróżącém echem.

Niespokojne wyczekiwanie sprawia czasami, że głos zégara nabiéra dziwnéj wymowy, i ma wtedy coś z nieugiętości, a raczéj z nieubłagania czasu, który bezustannie zapada w przeszłość, ale którego ponurą istotę dopiéro wtedy rozumiemy, gdy ten ciągły bieg godzin i minut, chcielibyśmy zatrzymać wszystkiemi siłami duszy.

Pani Marychna stała zapatrzona w nielitościwie bezmyślną twarz zégara, słuchała jego niewzruszenie jednostajnego szeptu i drżała, a w téj saméj chwili rozległ się w przedpokoju ostry dźwięk dzwonka.

Jednym skokiem była przy drzwiach.

— Jaś ma klucz od zatrzasku—nigdy nie dzwoni, więc to może być tylko ktoś, co przynosi o nim złe wieści—myślała i z niepokoju nie mogła odsunąć błyszczącego guzika.

Lecz gdy drzwi otworzyła, odetchnęła swobodniéj, bo przed nią stała Krępicowa z małym Zygmusiem.

Siostry się uścisnęły, poczém starsza zapomniawszy nawet drzwi zamknąć, zaczęła zaraz opowiadać o swojém zmartwieniu i urwała dopiéro wtedy, gdy zobaczyła na twarzy pani Emilii wesoły uśmiéch.

A pani Emilia nie mogła się od tego powstrzymać, bo we drzwiach już od chwili stał Bodziewicz, trzymał palec na ustach, patrzył na nią porozumiewawczo i z rozpromienioną twarzą słuchał słów żony.

Gdy się zatrzymała żdziwiona wyrazem twarzy siostry, zasłonił jéj oczy rękami, poczém przechylił w tył ciemną główkę i całując włosy oświadczył, że dopiéro pierwszy raz od lat trzynastu przekonał się, jak go żona kocha.

Z zadowolenia ucałował jeszcze obie ręce pani Krępicowéj, wywinął kozła z Zygmusiem, przy któréj to manipulacyi malcowi spadł z główki beret, a włosy zasypały mu całą twarzyczkę, w końcu obydwaj jednakowo rozpromienieni poszli do Janka i Marysi.

Pani Marychna odprowadziła ich jasnym wzrokiem i patrząc na malca, który miał włosy spadające na ramionka w lnianych pierścieniach, oczy ciemne i wyglądał jak pięcioletni lord, rzekła:

— Coraz bardziéj do ciebie podobny, wiész?

A matka uśmiéchając się szła do jadalnego pokoju i mówiła:

— Andrzéj dowodzi to samo i jest przytém dumny, jak Cezar, kiedy tymczasem jabym wolała, żeby był we wszystkiém podobny do niego.

Urwała i już bez uśmiechu, zwracając się do siostry, rzekła:

— Ani wiesz, jakie mamy zmartwienie. Wuj Znamieniecki został sparaliżowany i Andrzéj wyjechał wczoraj w nocy do Karolówki.

Z twarzy pani Marychny znikł także uśmiéch.

— Bój się Boga—zawołała—i dopiéro teraz mi mówisz? A Zygmunt?

— Andrzéj już nie miał czasu, ale ja wysłałam do niego depeszę, choć właściwie nic nie wiem, jaki jest stan choroby. Widocznie przytomność i mowa zostały, bo ojciec telegrafował, że chory chce koniecznie widzieć Andrzeja...

— A syna nie. Co się to teraz robi z rodzinnemi węzłami!

Pani Marychna chodziła po pokoju bardzo prędko i mówiła daléj:

— Jeżeli Zygmunt nie zastanie go przy życiu, będzie miał wieczysty wyrzut. Tyle lat — tyle lat! Zagranicę wyjeżdżał, a tu ani zajrzał! Nie jestem w stanie zrozumiéć takiéj zawziętości przeciwko najbliższym.

— Phii... nie wiadomo, czy to z zawziętości — zauważyła Krępicowa.

— A z czegóż-by? Jak on dawno wyjechał?

— Nie wiem dokładnie, ale chyba z półtora roku przed naszym ślubem, co znaczy, że siedm lat temu.

Zamyśliły się obie, a po chwili Krępicowa mówiła daléj:

— To jednak dziwny człowiek — przynajmniéj ja taki wniosek wyciągnęłam z jego listów do Andrzeja. Czasami widać z nich, że może on i naprawdę nie był stworzony na aferzystę. Z każdego słowa wieje tęsknota do przyjaznego serca, do rodzinnego ciepła i do wszystkiego, co pozostawił za sobą i czuć żal, tylko nie wiadomo właściwie do kogo, do siebie samego, do losu, czy do ojca. Ja wtenczas myślę tak jak ty, że on nie przyjeżdża skutkiem zawziętości. Ale znów inne listy są tak przepełnione cyframi, i tak po nich znać prawie namiętność do robienia interesów, że trudno w nich się doszukać człowieka, któremu cyfry skrzywiły życie. Nie przyjeżdża, bo — jak sam powiada — tutejsze powietrze mogłoby osłabić energię i odebrać siły do powrotu, a on powrócić chce i—ręczę, że jeśli wuj umrze, albo uczuje się trochę zdrowszym, on powróci i będzie w dalszym ciągu robił pieniądze. To jest może smutne, ale zdaje mi się, prawdziwe i Andrzéj go przecenia.

Znowu się zamyśliła i patrząc przed siebie zadumanemi oczyma, dodała:

— Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? On już jutro może być w Warszawie, a właśnie jutro ślub Maniusi Sławskiéj.

Na to pytanie Marychna aż klasnęła w ręce.

— A prawda! Żeby się była jeszcze chociaż ten jeden rok wstrzymała!

— Alboż ty myślisz, że ona naprawdę czekała na niego?—wzruszyła ramionami Krępicowa.—Wmawiała w siebie tę miłość, bo to wyglądało romantycznie, a teraz wychodzi za mąż, bo już staropanieństwo nie bardzo daleko, a Porzycki dobra partya. Kobiétom od dzieciaka pakują w głowy, że ich świat to serce, a nie nauczą żadnéj, że po za mężczyzną i dziećmi, są jeszcze na świecie inne cele i inne rzeczy do kochania. Ograniczone uczucia zamieniły się w sport do zabicia czasu, kobiéty zaś w lalki takie same, jak na wystawie u fryzyerów. Nie martw się, Maniusia pójdzie za Porzyckiego, będzie go kochała tak samo, jak poprzednio kochała Zygmunta, będzie się bawiła po ślubie, tak jak się bawiła przed ślubem i na serce nie umrze. To się może trafiało dawniéj, ale co teraz, to chyba nie.

Ale w téj kwestyi pani Marychna nigdy się nie zgadzała z siostrą. Jéj zdaniem, miłość mężczyzny i kobiéty zawsze była i zawsze będzie ważnym czynnikiem w życiu ludzkiém.

Rzeczywiście, bardzo dużo kobiét robi sobie z niéj zabawkę do uprzyjemnienia życia, albo używa jako sposobu na złapanie męża, ale te z pewnością mają bardzo mało rozwinięte i serca i umysły i takim z każdym mężczyzną będzie dobrze. Inne umieją kochać, czuć i często cierpiéć, a Krępicowa nie może o tém sądzić bezstronnie, bo ma z natury temperament spokojny i prócz tego posiada męża, który zadowolniłby każdą kobiétę z umysłem trochę wyższym.

— Gdybyś zamiast Andrzeja — mówiła — miała za towarzysza człowieka zamożnego, światowego i takiego, który myślałby tylko, jakby sobie i tobie uprzyjemnić życie, albo gdybyś wyszła za Jasia i musiała się zamknąć w ciasném kółku kłopotów, kto wié, czy umiałabyś pierwszego przez miłość podnieść do siebie, lub dla drugiego zapomniéć o własném *ja* i — czuć się szczęśliwą.

— Andrzéj — kończyła — nie dość, że cię ubóstwia, ale prócz tego uważa cię za sobie równą, czego ogół mężczyzn nie robi. Wtajemnicza cię w swoje wszystkie zamiary i w każdą myśl, pozwalała żyć nietylko domem, ale własném życiem, które jest właśnie takiém, o jakiém marzyłaś i jeśli oboje czujecie się szczęśliwymi, to, wierzaj mi, zasługa leży w nim i w jego miłości, nie w tobie.

Na to Krępicowa zaczęła wołać:

— Wiem, wiem! nie potrzebujesz mi tego tak często powtarzać. Ja posiadam tylko tę jedną zaletę, że umiem oddać sprawiedliwość sobie i jemu. Z twoim Jasiem po roku zastrzeliłabym się, a Andrzeja kocham, bo nie mogę w nim dopatrzyć ani wady, ani śmieszności.

— Właśnie téż w tém jego zasługa — odparła pani Marychna — bo on cię kocha z twojemi wszystkiemi wadami i tém samém daje ci dowód, że miłość jest wielką i często ślepą potęgą. Ale co zrobisz ze ślubem Maniusi?

— Już napisałam, że nie będę i nawet odebrałam suknią z magazynu. Szkoda kilku rubli.

— A jeśli Andrzéj jutro wróci?

— Bardzo wątpię, będzie czekał na przyjazd Zygmunta, a przytém i w takim razie nie poszlibyśmy, bo jest tym wypadkiem ogromnie zmartwiony. Tego Zygmunta tak kocha, że inna na mojém miejscu byłaby zazdrosna.

Tu klasnęła w dłonie.

— Patrz! wynalazłam w sobie jeszcze jedną zaletę — nie jestem zazdrosna!

A pani Marychna pogładziła ją pieszczotliwie po jasnéj główce i rzekła:

— To niewielka zasługa, siostrzyczko, gdy się ma takiego męża. Ale ja żartowałam mówiąc, że nie przyczyniasz się niczém do waszego szczęścia, bo rozumieć się wzajemnie, to już jest bardzo wiele. Dobrze zrobiłaś, że uprzedziłaś Łamkowskich.

Teraz Krępicowa popatrzyła na nią uważnie i nagle parsknęła śmiechem.

— Nie! ty i Andrzéj jesteście wyborni w przypisywaniu mi różnych subtelności uczuć!—wołała. — Ależ przypomnij sobie, że ja nigdy nie lubiłam się bawić, bo mnie zawsze oburzały wystawy z nagiego ciała, a towarzystwa zbiérającego się u Łamkowskich, wyjątkowo nie znoszę. Mam z tamtemi kobiétami tyle wspólnego, co Andrzéj ze wszystkimi hrabiami i baronami, jacy tam kiedykolwiek byli i będą. Gdy napisałam dzisiaj list do Maniusi, najwyraźniéj uczułam, że mi spadły kajdany, więc nawet tu nie mam żadnéj zasługi, siostrzyczko — naprawdę nie mam!

Zerwała się i ucałowawszy siostrę, poczęła przed lustrem nakładać kapelusz, a potém utkwiła oczy w szybę, na któréj mróz poczynał rysować fantazyjne arabeski i dodała z widocznym niepokojem.

— Tak go prosiłam, żeby wziął futro i uparł się. Miałam prze-

czucie, że będzie mróz, choć to dopiéro połowa listopada i chyba napiszę do ojca, żeby mu pożyczył swojego.

Teraz obie przeszły do gabinetu, gdzie siedział Bodziewicz z Jankiem i Marysią na kolanach, a Zygmusiem na zgarbionych plecach. Janek był już w bluzce szkolnéj, Marysia w pensyonarskim mundurku, ale oboje z dawnym zapałem darli za wąsy ojca, który je za to całował po rękach, kiedy Zygmuś z nóżkami na głowach tamtych, ciągnął go za włosy i zarumieniony z uciechy wołał—wio!

— Wspaniały i widać najnowszy system pedagogiczny, bo jeszcze o nim nie słyszałam — rzekła Krępicowa i z wyraźném niezadowoleniem zdjęła syna z ramion szwagra, poczém ubrawszy go, wyszła.

— Cud Boży, że te dzieci mają przynajmniéj szacunek dla matki, boją się jéj i dobrze się uczą—myślała, idąc do domu. — Marychna jest rzeczywiście uosobioną cierpliwością, miłością i taktem. Ona na jéj miejscu, albo-by się urwała, albo miałaby w domu piekło. Tak, w dzień i w nocy powinna dziękować Bogu, że Andrzéj jest taki, jaki jest. Żeby się tylko nie zaziębił—musi koniecznie o tém futrze napisać do ojca.

Silniéj ścisnęła rączkę dziecka i przyśpieszyła kroku.

— Ciepło ci?—pytała teraz syna co chwila.

— Ciepło! — odpowiadał malec, podskakując i przyciskając jéj rękę do zarumienionéj buzi.

A ktokolwiek ich mijał, jeszcze raz odwracał głowę, by spojrzéć na jasnowłosą kobiétę, podobną do giętkiéj brzozy i na jéj dziecko z twarzą cherubina. Ale oni tego nie widzieli i tylko co chwila uśmiéchali się do siebie tak, jak gdyby z nich dwojga, nietylko Zygmuś był szczęśliwém dzieckiem.

— Czy nie było depeszy? — zapytała w chwilę potém młoda kobiéta, gdy służąca, otworzywszy drzwi, poczęła z niéj zdejmować okrycie.

— Jest—i panna Sławska jest. Czeka w salonie.

— To dobrze. Sama rozbiorę Zygmusia, a ty mi przynieś depeszę.

Służąca wybiegła i po chwili wróciła z zapieczętowanym papiérem, mówiąc:

— Był tu jeszcze jakiś pan. Pytał się o państwa i powiedział, że jeszcze raz przyjdzie.

A tymczasem Krępicowa dowiedziała się z depeszy, że Znamieniecki ma sparaliżowany prawy bok, że mowa została tylko trochę dotknięta, że chwilami ma zupełną przytomność i że jest nadzieja

utrzymania go przy życiu, tylko to życie może być teraz bardzo smutne.

Wolno złożyła papiér i zwróciła się do drzwi, lecz gdy ujęła za klamkę, przypomniała sobie słowa służącéj i zatrzymała się.

— Co to był za pan?—zapytała.

— Nie wiem, nie był tu nigdy.

— Więc trzeba ci było powiedzieć, że nie ma w domu nikogo.

— Powiedziałam, ale on się zaraz spytał dokąd pan wyjechał, czy na wieś? i zapowiedział, że jeszcze raz przyjdzie, bo musi się zobaczyć z panią.

Krępicowa się zamyśliła.

— Któżby to mógł być? — dumała i weszła do saloniku, gdzie uściskawszy pannę Sławską, zaraz zaczęła jéj opowiadać o wypadku i o nieobecności męża.

— Andrzéj wyjechał bardzo zmartwiony—kończyła. — Łączy go ze Znamienieckim, nie tyle moje dalekie powinowactwo, ile przyjaźń dla pana Zygmunta, a wobec tego ja nie mogę myśléć o wzięciu udziału w jutrzejszéj uroczystości, Maniusiu! Byłoby to dla niego zanadto przykre—musisz mi wybaczyć!

Panna Sławska słuchała ze spuszczoną głową, a po ostatnich słowach podniosła oczy i zapytała:

— Kiedy się spodziéwasz pana Zygmunta?

— Wcale się go nie spodziéwam — odparła na to Krępicowa i miała na twarzy ździwienie. — Jeżeli nie odebrał innéj depeszy prócz mojéj, to dopiéro jutro może być w Warszawie, ale nie przypuszczam, żeby się miał zatrzymywać. Pojedzie wprost do Karolówki.

Panna Sławska westchnęła.

— Taki smutny zbieg okoliczności, że aż mnie to zdenerwowało. Gdybym mogła, odłożyłabym ślub, chociaż o parę dni.

— W takim razie, może powinnaś go odłożyć...

Krępicowa patrzyła na nią z taką uwagą, że aż pod tym wzrokiem tamta się zarumieniła i zawołała żywo:

— Nie zrozumiałaś mnie, Milciu! Odłożyłabym ślub tylko dlatego, że jestem trochę przesądna i że ten cały wypadek wygląda na jakiś zły *omen*. Rozumiem wszakże, że to jest dzieciństwo. Już wszystko przygotowane, nawet paszporty na wyjazd za granicę, zaproszenia rozesłane i nie może być mowy o zwłoce, która nawet mogłaby dać powód do niczém nieusprawiedliwionych gawęd.

— Jeżeli tylko dlatego i jeżeli cię gawędy obchodzą, to może masz racyą — zaczęła znów pierwsza i urwała, bo w przedpokoju roz-

legł się głos dzwonka, po chwili zaś służąca oznajmiła wizytę pana, o którym już opowiadała.

A gdy wyszła, we drzwiach stanął Zygmunt Znamieniecki. Nosił brodę krótko przystrzyżoną, rozrósł się trochę i zmężniał i dawnego Zygmunta przypominały tylko oczy, oraz rysy zawsze delikatne, jak rzeźba. Ten poetycznie piękny i niedbale wytworny mężczyzna, teraz wyrazem twarzy prawie więcéj przypominał ojca, niż matkę.

Krępicowa, może dlatego, że się go nie spodziéwała, nie domyśliła się, kogo ma przed sobą, ale panna Sławska go poznała.

Z mimowolnym okrzykiem podniosła się szybko, poczém zmieszana jeszcze prędzéj siadła z powrotem.

A on obrzucił wzrokiem obie kobiéty, skłonił się i ze spokojem właściwym ludziom bardzo obytym, zwrócił się do Krępicowéj:

— Tylko się domyślam, że stoję przed dawną panną Emilią. Jestem Zygmunt Znamieniecki.

Poczém gdy podbiegła do niego, uścisnął jéj rękę i ciągnął daléj:

— Z powodu niedogodnego rozkładu pociągów musiałem zatrzymać się w Warszawie parę godzin i przypuszczając, że od pani dowiem się czegoś pewniejszego o ojcu, przychodzę tu już poraz drugi. Czy pani nie miała jeszcze wiadomości od Andrzeja?

— I owszem, miałam przed chwilą. Ojcu pana już nie grozi niebezpieczeństwo życia, ma przytomność, nawet mówi...

— Tylko go czeka kalectwo — rzekł, widząc, że się zawahała i patrzył na nią badawczo.

Krępicowa uczuła pod tym wzrokiem, że jéj się serce ściska. Nigdy nie przypuszczała, żeby oczy człowieka mogły wyrazić aż tyle smutku.

— Nie myślałam o tém i nie przypuszczam ani na chwilę — rzekła szybko, a równocześnie wyrzucała sobie, że go sądziła niesprawiedliwie, bo pomimo wszelkich pozorów, ten nieczuły syn musi jednak kochać ojca. To widoczne.

Gdy ją poprosił o pokazanie depeszy, zmieszała się.

— Może Andrzéj dobrze nie wié?... może lekarze się mylą?... przecież tyle ludzi wychodzi z paraliżu... po co go naprzód martwić?— myślała, ciągle jeszcze pod wrażeniem jego oczu.

Ale on powtórzył prośbę.

— Niech się pani nie obawia—mówił—nie przywykłem chodzić po kwiatach i nerwy mam stalowe, choć może na to nie wyglądam.

Poczém przeczytał podaną depeszę, położył ją na stoliku i ze spokojną swobodą zwrócił się do panny Sławskiéj.

— Przepraszam, że dopiéro teraz przypominam się pani pamięci. Witamy się w smutniejszych okolicznościach, niż się żegnaliśmy, przynajmniej ja i to mnie tłómaczy.

Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę, ale już nie miała na twarzy zmieszania, tylko współczucie, takie same, jakie wyglądało z oczu Krępicowéj.

„Ostatni z romantyków" nie zatracił swego daru zjednywania sobie ludzkich sympatyi i ludzkich serc.

Rozmawiali potém o rzeczach potocznych, starannie unikając wzmianki o długiéj nieobecności Zygmunta w kraju, przyczém obie kobiéty były trochę jakby skrępowane. Lecz po nim nie było znać żadnego przymusu. Bawił je rozmową tak, jak gdyby po nic innego tu nie przyszedł, wszakże gdy Krępicowa mimowoli wspomniała o jutrzejszym ślubie panny Sławskiéj, zdawało się, że ta wiadomość, na krótką chwilę wytrąciła go z równowagi.

Zwrócił oczy na twarz dziewczyny, patrzył na nią z wyrazem, który był mieszaniną zdziwienia, żalu, ciekawości i smutku, a potém złożywszy jéj trochę szablonowe życzenia szczęścia, rzekł jakby z przymusem:

— Tutejsza atmosfera jest widocznie cieplejsza, kiedy jeszcze ludzie posiadają zdolności do szukania tego rodzaju osobistego szczęścia. Ja nawet zapomniałem, że na świecie istnieje takie uczucie, jak miłość i taka instytucya, jak małżeństwo.

— Jakto?—zdziwiła się Krępicowa — alboż w tamtych stronach ludzie się nie żenią?

— I owszem. Tam się robią najróżnorodniejsze tranzakcye. Nasz wspólny kolega, Dembosz, zrobił także interes w tym guście.

A gdy patrzyła na niego pytającym wzrokiem, dodał z dziwnym uśmiechem:

— Ożenił się przed rokiem z córką swego dyrektora i zaraz potém zrobiono go także dyrektorem. Na mnie takie małżeństwa nie robią wrażenia właściwych małżeństw i muszą być w takim stosunku do szczęścia, w jakim jest blask dyamentu do promienia słonecznego O reszcie już nie mówię, bo to kwestya tylko przekonań.

Umilkł, ciągle miał na ustach swój dziwny uśmiech, młode kobiéty zadumały się smutnie i po chwili panna Sławska, pożegnawszy się, wyszła.

Znamieniecki chciał uczynić to samo, ale Krępicowa zrobiła uwagę, że kuryer wychodzi dopiéro o jedenastéj wieczorem, że teraz siódma i że jéj byłoby bardzo miło, gdyby przyjaciel Andrzeja zechciał pierwszą herbatę wypić w jego domu.

Przyznał się wtedy, że rzeczywiście nie ma co robić z czasem i z wdzięcznością podziękowawszy jéj za uprzejme zaproszenie, został.

Ten ciepły i kwiatami napełniony salonik, otwarte pianino, jasny gabinecik, rozjaśniony staroświecką lampą i widzialny przez drzwi otwarte, szczebiot dziecka dolatujący od czasu do czasu z dalszych pokoi i ta jasnowłosa kobiéta w czarnéj sukni — żona Katona, robiły na nim wrażenie trochę podobne do tego, jakiego kiedyś doznał Krępic, podczas swéj pierwszéj bytności w Kamionce.

Atmosfera była nawskroś przesiąknięta spokojem i zadowoleniem, on ją w siebie wchłaniał z nieopisaną przyjemnością i czuł to, co czuje człowiek, który skostniawszy do szpiku na mrozie i wietrze, naraz znajdzie się przed kominkiem, pełnym jasnych płomieni.

— Niech mi pani pokaże swego syna? — poprosił nagle wśród rozmowy.

A gdy ona się podniosła i szła do drzwi, prowadził za nią wzrokiem i dziwił się, jakim sposobem z téj wiecznie nabrzękłéj i nachmurzonéj Emilki, wyrosła taka wdzięczna kobiéta. Był w niéj jakiś nieokreślony urok. Z temi spadzistemi ramionami i wątłą kibicią, przypominała giętkością trzcinę i miała czoło tak dziwnie czyste, jak gdyby jeszcze nigdy nie rumienił go, nietylko wstyd namiętności, ale bodaj silniejszego wzruszenia. A teraz, gdy oto idzie i prowadzi za rączkę dziecko—przypomina mu znów... kogo mu ona przypomina?...

Zmrużył oczy i równocześnie przesunął mu się przed oczami obraz Palmy Starszego, widziany w galeryi wiedeńskiéj. Odetchnął, jak gdyby pewność, do kogo jest podobna żona Krępica, zrobiła mu ulgę.

— Violanta! tylko jéj rozrzucić włosy i ująć w taką samą opaskę! — pomyślał.

A tymczasem ona, nie zmieszana jego wzrokiem zwróconym nie na dziecko, lecz na nią, rzekła:

— Przez pamięć na pana, nazwaliśmy go Zygmuntem.

— Wiem o tém—odparł i miał w głosie słodycz iście kobiécą.

Poczém wziął dziecko na kolana i przesuwając przez swoje cienkie palce pierścienie jego jasnych włosów, patrzył rozmarzonemi oczami w białą twarzyczkę.

— Zadziwiające podobieństwo z panią... Nigdy jeszcze nie widziałem tak pięknego dziecka—wyrwało mu się bezwiednie.

A gdy Krępicowa się uśmiéchnęła i zauważyła żartobliwie, że jeśli to ma być komplement, to musi się zmarnować, bo ona nie jest do

takich rzeczy przyzwyczajona i nie umié za nie dziękować—trochę się zmieszał i rzekł krótko:

— Przepraszam panią.

Potém rozmawiali o dziecku, trochę o dawnych czasach, najwięcéj zaś o teraźniejszém życiu Krępiców.

Z mowy pani Emilii, Zygmunt wyciągnął wniosek, że to życie było pracowite, bardzo ciche i niezbyt obfite w plony. Nie miał na myśli plonów materyalnych, bo o nie nigdy nie chodziło Katonowi, a widocznie teraz nie chodzi i jego żonie. Był zawsze szefem biura, brał teraz trzy tysiące rubli i jeśli trafem nie zostanie dyrektorem, będzie je brał do śmierci. Ale to ich nie wiele obchodziło.

— Gdy Zygmuś dorośnie, będzie pracował, bo tylko w pracy można znaléść skarb—zadowolenie z siebie. Na świecie jest tyle innych rzeczy smutnych. Osobiście można działać tylko na bardzo ograniczoném polu—ludzi dobréj woli jest niewielu, a przytém — nawet w tak szczupłém kółku nie ma porozumienia.

Pani Emilia mówiła tak bardzo długo i może nie bez ukrytego celu, ale ani słówkiem się nie zdradziła, czy i o ile ją zaciekawiają obecne przekonania i zamiary na przyszłość tego wykwintnego człowieka, który jéj słuchał z wielką uwagą i który zdaniem jéj męża, miał w piersiach zamiast zwyczajnego serca, perłę czystéj wody.

Niezupełnie dowierzała téj perle. Zanadto był wykwintny, a choć ta niedbała wykwintność nie zdawała się być wyrobioną, płynęła jakby sama z siebie i cechowała każdy ruch, nawet najprostszy, niemniéj był podobny do tych ludzi, którzy, zamiast serca, mają nie perłę, lecz kawałek różowéj waty, skropionéj różanemi kroplami.

A on trzymał na kolanach jéj syna, wyglądał jak gdyby zstąpił z obrazu Reni'ego i od czasu do czasu rzucając pytanie, słuchał i równocześnie myślał, że z cudacznych dziewcząt czasami wyrastają niezwykłe kobiéty.

Miała usta jakby stworzone do całowania i do słów pieściwych, a mówiła niemi o rzeczach, o których kobiéty z jéj sfery zazwyczaj nic mają pojęcia. Była wiotką jak łodyga kwiatu, która się gnie pod ciężarem własnéj korony, a bez zmrużenia powiek i ze spokojem dotykała kwestyi, przed któremi ze drżeniem cofnie się mężczyzna małego serca.

— Złożyłaby na ołtarzu siebie, męża i — kto wié — może nawet dziecko—myślał, ale co do tego ostatniego miał wątpliwość.

Gdy mówiła, że dzisiejsi ludzie muszą być przygotowani na każdą ostateczność, jéj wzrok padł na główkę syna, spoczywał na niéj nie-

zwykle długo, poczém—Zygmunt to dostrzegł wyraźnie—przeszedł po niéj jakby dreszcz i twarz jéj trochę zbielała.

Mówili jeszcze o Kubackim i o Demboszu, a gdy przeszli do jadalnego pokoju, gdy Zygmunt zasiadł przy stole, pod wielką, jasną lampą, nawprost młodéj żony Katona, z jego dzieckiem obok siebie, miał takie wrażenie, jakby na nim tajał pancerz z lodu, o którym nie wiedział, że jest.

To go rozmarzało, jak ciepło rozmarza ludzi zziębniętych. Sam nie wiedząc dlaczego, poprostu ulegając potrzebie serca, zaczął teraz mówić o sobie:

— Pojechał robić pieniądze, ta myśl pochłaniała go całego, przez wszystkie lata tam przeżyte, ale z początku tęsknił bardzo. Nikt nie ma pojęcia, czém jest taka tęsknota, kto jéj nie doznał. Dusza albo się zwija jak deptany robak, albo śpi tym snem, podczas którego zmora siada na piersiach i odbiéra im powietrze. Był wielkim marzycielem i to mu długo utrudniało pracę. Z pod nieba szarego, jak dola tych, którzy w przygniatających mgłach upornie szukają gwiazdy i wierzą w jéj istnienie, za dużo wywozi się iskier.

— Za dużo?—zdziwiła się Krępicowa.

On się uśmiechnął smutno.

— Tak, ale w warunkach, w jakich ja żyłem, to ma tylko jedną złą stronę—bardzo się wtedy cierpi. Po za tém ognia nigdy za wiele. Gdyby nie listy Katona, które poruszały we mnie popioły, kto wié, czy nie wróciłbym z pustką w duszy. Widziałem tylu umarłych... zresztą, nie żałuję lat pracy. Poznałem własne siły, nauczyłem się ciągnąć z nich korzyści i trzeźwiéj teraz patrzę na życie. Nie staje się bezkarnie pod stopami piramidy. Jéj wielkość zbliska przeraża, potém zmusza do głębszego wejrzenia w siebie i do porównania własnéj mocy z mocą olbrzyma.

Krępicowa patrzyła na niego szeroko otwartemi oczami i szepnęła jakby z żalem.

— To szkoda.

A on pomyślał: — Cudowne ma oczy! — głośno zaś powtórzył:

— Szkoda? Ja myślę, że my wszyscy jesteśmy zanadto marzycielami i że nam potrzeba ludzi umiejących, patrzeć trzeźwo i—pracować. Taka praca jest użyteczniejsza.

— Praca, w którą się nie wierzy?

— Jakto? Pani mnie nie zrozumiała...

Zmieszał się na chwilę pod jéj wzrokiem, poczém westchnął i po chwili znowu mówił.

— Złudzenia dają dużo szczęścia, ale mnie szczęście nie przeznaczone. Zawsze było mi w życiu zimno, może dlatego, że za wiele pragnąłem ciepła, a teraz tylko zadowolenie ze spełnionego obowiązku, pobudza mnie do dalszéj pracy. Gdy wrócę na stałe, postaram się być użytecznym i wierzę, że mi się to uda. Wtedy, kto wié, może nawet będę szczęśliwy...

— Więc pan jeszcze tam wraca?

— Chciałbym, bo zawsze chcę zrobić to, co postanowiłem. Jestem uparty. Przed siedmiu laty powiedziałem sobie, że sam własnemi siłami kupię Karolówkę ojca i Leszczyny matki. Niedługo mam nadzieję zamknąć rachunki, a potém powiem — dość trudu dla siebie.

Krępicowa patrzyła teraz na niego jakoś cieplej i myślała, że ten delikatny człowiek jest rzeczywiście wykuty ze stali i ma w piersi nie perłę lecz krzemień, z którego umiejętna ręka, albo sprzyjające okoliczności, byłyby w stanie wykrzesać iskry i od nich zapalić może nie jedną pochodnię. I myślała jeszcze, że byłoby lepiéj, aby już nie wracał i że Andrzéj pewno go do tego nakłoni.

Tymczasem zégar wydzwonił godzinę dziesiątą, Znamieniecki wstał i zaczął się żegnać. Poczém, opatrzony przez Krępicową w futro dla męża, wyszedł z takiém wrażeniem, jak gdyby opuścił dom najbliższéj rodziny. A w godzinę potém siedział samotnie w wagonie i myślał, że owa prosta, jedyna droga Katona, nie jest najtrudniejszą z dróg życiowych.

Oto sobie stworzył ognisko domowe, jakie tylko można w snach wymarzyć i ogrzéwa się przy niém, ilekroć serce mu zziębnie.

Choćby go cały świat nie rozumiał, nie poczuje się samotnym, bo tu go rozumieją; — choćby go wszystko zawiodło, żona-przyjaciel doda mu odwagi do nowych wysiłków i nie opuści go w żadnym razie. A z taką, można iść wszędzie!

Że też oni pomimo wszystko mają jeszcze złudzenia — ale czemu nie mają ich mieć, kiedy im z niemi tak dobrze! Czasami jest nieźle mieć bielmo na oczach.

I taki Kato pewno wierzy, że nigdy nie umrze. Węzłem zadzierżgniętym o przyszłość jest mu jego dziecko, które w takich rękach stanie się człowiekiem i jego śladami będzie znowu szło naprzód, a zawsze prostą drogą.

On — Zygmunt, przez ten czas zgromadził pieniądze i teraz ma prawo powiedzieć: uratowałem ziemię po praojcach. Ale czy nie mógł jéj ratować w inny sposób? Czy nie byłoby lepiéj, gdyby był zrzucił z siebie pychę, przemówił do serca ojca, tak jak mu radził Krępic, osiadł przy nim i stworzywszy sobie taką rodzinę, jaką ma Kato, pra-

cował dłużéj i mozolniéj, ale pod kawałkiem własnego nieba, ale z bielmem na oczach?

Gdyby się był ożenił z Maniusią, miałby także ciepłe, własne ognisko. Przecież go kochała i starała się zrozumieć! Uczyniłby z niéj taką samą kobiétę, jaka teraz stoi u boku Katona. Ona wiedziałaby, że ją wziął nie dla jéj posagu. Zdanie ojca i całego świata, nie powinno go było obchodzić. Kato zawsze się liczył tylko z własném sumieniem i jest szczęśliwy, jego zaślepiała nie duma, lecz pycha — żona z posagiem, to przecie nie zbrodnia... I oto jest teraz sam, jak samotna sosna, pozostała po wyciętym lesie, na piaszczystém wzgórzu.

Przyjaźń Katona... zapewne, ale czy ona będzie teraz taką jak dawniéj? Ma przecie bliższych i droższych, a w ich domu teraz, on— Zygmunt, będzie może mile widzianym, ale zawsze tylko obcym — intruzem.

Ojciec... prawda, zapomniał o ojcu, który może w téj chwili umiéra. Do niego przyjechał, a od chwili, gdy się znalazł w jasnym domu przyjaciela, żadna z jego myśli nie poszła do Karolówki i nie zatrzymała się przy łóżku ojca. Był mu przecież najbliższym. W jego paru listach było wyraźnie czuć tęsknotę do syna — potém pisywał rzadziéj, a od czasu, gdy ten syn wyjechał na Zachód i do kraju nie wstąpił, nie wspomniał ani razu, że pragnie jego widoku. Ale pragnął go. Zygmunt wiedział o tém od przyjaciela i teraz zdjęło go nie rozrzewnienie, lecz jakby wdzięczność. Pomimo wszystko, ten człowiek był mu najbliższym i pewno najżyczliwszym na świecie. Mogli się nie rozumieć, ale jedna krew w nich płynęła, a tych węzłów nic, nigdy nie przetnie zupełnie. Kto wié zresztą, czy w tych nieporozumieniach nie było trochę winy jego—Zygmunta? Zawziął się, miał żal za ten wieczny chłód i brak serca, ale naprawdę nigdy nie próbował się dowiedzieć, co jest pod tą powłoką z lodu. Nie widzieli się przeszło siedm lat. Może teraz się łatwiéj zrozumieją, może u progu śmierci, czy niemocy, powiedzą sobie więcéj, niż powiedzieli przez całe życie? A potém, on go wydrze chorobie i nie pozwoli mu odczuwać kaléctwa, jeśli kaléctwo nie da się usunąć. Chce miéć chociaż ojca. Teraz czuje, że może będzie umiał być lepszym synem.

Świtało, gdy w marmurowym przedsionku obaj przyjaciele uścisnęli się długo i w milczeniu.

— Jest lepiéj —szepnął zaraz Krępic.

Poczém jeszcze raz zamienili uścisk, Zygmunt zaś popatrzył z uwagą na twarz przyjaciela i rzekł:

— Dwie noce już nie śpisz, prawda?

A Krępic odparł:

— Gdy chorowałem w instytucie, ty przy mnie nie spałeś cały tydzień. Kiedy wyjechałeś z Odesy?

— W godzinę po odebraniu depeszy z Karolówki. Wiadomość od twojéj żony już mnie nie zastała w domu. Ale pójdźmy do ojca.

Weszli do gabinetu, gdzie paliła się lampa i gdzie drzémali, Bonia w fotelu, służący na krześle pod piecem, a potém przeszli do sąsiedniego pokoju, w którym na łóżku wysuniętém na środek, leżał chory. Miał oczy zamknięte i w słabém świetle lampy, przysłoniętéj zieloną zasłoną, wyglądał tak, jakby już nie żył.

Zygmunt uczuł ze ździwieniem, że serce wezbrało mu łzami i że te łzy go duszą. Szybko zbliżył się i wziął w dłonie trupią rękę ojca. Była to ręka bezwładna i zupełnie sztywna, chory nie czuł dotknięcia, ale może dosłyszał szmer, bo ciężko podniósł powieki i utkwił wzrok w twarzy Krępica, opartego o poręcz łóżka.

Wtedy Zygmunt nachylił się nad ojcem i oczy ich się spotkały.

— Zygmunt...—wyszło niewyraźnie z ust chorego, poczém jego lewa ręka podniosła się i otoczyła szyję syna.

Nie pamiętał, żeby ojciec kiedykolwiek tak go witał. Nowa fala łez popłynęła mu od serca do zaciskającego się gardła, znowu coś w nim poczęło tająć, wreszcie zalało mu oczy, a on ukrył głowę na piersi chorego.

Krępic na palcach wyszedł z pokoju i gdy w półgodziny potém wrócił odmierzyć lekarstwo, Znamieniecki trzymał rękę syna i miał twarz bardzo jasną, Zygmunt zaś siedział na krześle tuż przy łóżku i mówił zmienionym głosem:

— Jeśli, ojcze, tak bardzo pragniesz tego, pozostanę z tobą na zawsze.

A gdy po wzięciu mikstury chory usnął, młodzi się usunęli w róg pokoju i Krępic zaczął opowiadać, że doktorzy już ręczą za życie i że należy mieć nadzieję, iż z czasem nawet władza w ręku i w nodze może powrócić.

— Jak tylko będzie silniejszy—dodał—musisz z nim przyjechać do Warszawy i leczyć go u specyalistów. Ani przypuszczam, żeby tu nauka i wiedza nic nie znaczyły. Tyle jest wypadków zupełnego wyleczenia.

Opowiedział mu jeszcze szczegóły zasłabnięcia, które, jak zwykle, przyszło nagle i niespodziewanie, a potém widząc, że Zygmunt jest już spokojniejszy, począł go wypytywać o niego samego.

Słońce już dawno zajrzało przez okno i jasnemi plamami posunęło się ku kanapce, na której siedzieli obok siebie, chory spał cicho, z gabinetu dolatywał ciężki oddech Boni, a oni wciąż rozmawiali półgłosem i ani myśleli o spoczynku.

— A o Wakowiczu wiész -- pytał Zygmunt.

Gdy zaś tamten odparł, że od dwóch lat nie miał od niego żadnéj wiadomości, tak daléj mówił.

— Gdy był na waszym ślubie, zgodził sobie w Kamionce jakąś kobietę do gospodarstwa i zabrał ją ze sobą.

— Wiem, — wtrącił Krępic — nawet z tego powodu Kubacki mu nie dawał spokoju, bo to była dosyć młoda dziewczyna, wnuczka staréj Celmerki, niańki mojéj żony.

— Otóż to. Dwa lata temu ożenił się z nią i siedzi zagrzebany na swojéj stacyi. W tym roku został inżynierem dystansowym, ma już czworo dzieci i podobno jest zadowolony i z siebie i z losu.

— Życie to rzeźbiarz, Kubacki miał racyą — szepnął Krępic i przesunął ręką po oczach. — Z Dembosza zdawało się, że będzie człowiek; Wakowicz był zawsze ciężki, ale na właściwéj roli byłby z niego dobry i użyteczny pracownik, miał serce jak kryształ; Naftal poprostu zidyociał ze swoją sztuką, włóczy się za artystami po całéj Europie i z żadnym jéj kątem nic go nie łączy, a Kubacki... Pamiętasz, ostatni wieczór „pod Planetą"?... Przepowiadali sobie przyszłość, ale gdyby jaka cudowna siła była im wtedy odsłoniła bodaj rąbek niewiadoméj, iluż z nich byłoby się cofnęło przed nią, jak przed upiorem?

— Nie Kubacki, — rzekł na to Zygmunt — na jego miejscu postaw mnie.

— Ciebie? Ależ ty jeszcze możesz wszystko zrobić, co kiedykolwiek zrobić chciałeś! Nie zawiodłeś ani siebie, ani nikogo, sam zdobyłeś sobie pole do pracy, a teraz, wierzę, że będziesz umiał pracować.

— Będę chciał, — odparł tamten — ale straciłem najpiękniejsze lata życia na kopaniu groszy, nie mam pojęcia o szczęściu i tego mi żal.

Położył rękę na ramieniu przyjaciela i mówił daléj:

— Byłem w twoim domu, widziałem twoją żonę i twoje dziecko, tylko raz odetchnąłem prawdziwie ciepłą atmosferą szczęśliwéj rodziny i zrozumiałem, żem przemarnował życie.

— Co ty mówisz? — oburzył się Krępic. — Ty dopiéro zaczniesz żyć! Spotkasz tę, która ci jest przeznaczoną,—ja wierzę w takie przeznaczenie, bo sam nie szukałem żony i znalazłem—a gdy spotkasz, za-

łożysz sobie takie same ciepłe ognisko i dopiéro wtedy zrozumiész jakie to niewyczerpane źródło siły, odwagi i—szczęścia.

Na ustach Zygmunta siadł smutny uśmiéch.

— Takiéj jak twoja nie znajdę — rzekł.

A Krępicowi błysnęły oczy.

— Takiéj jak Mila?

— Tak, byłem u was cały wieczór i rozmawialiśmy z sobą tak samo, jak teraz rozmawiam z tobą. Ona jest dla ciebie nie tylko żoną. Ja, przyznam ci się, słuchając jéj, byłem chwilami zazdrosny, bo przychodziło mi na myśl, że już jestem niczém w twojem życiu. Masz przyjaciela i powiernika w żonie.

— To co innego i to co innego — odparł Krępic serdecznie. — Ty będziesz dla mnie zawsze tém czém byłeś, miłość dla żony, nie usuwa miłości dla brata, przytém, to są dwa, zupełnie różne uczucia.

A potém zapytał:

— Czy poznaliście się?

— Nie, ona mię nie poznała zupełnie, a ja tylko się domyśliłem. Wyrosła na bardzo ładną kobietę.

— Tak, zgodził się mąż — przytém, może być, że tylko w moich oczach, ale ona prawie z każdym dniem ładnieje i, co jest najzabawniejsze, nie znosi gdy jéj o tém mówić. Mnie to zostało surowo zabronione intercyzą przedślubną.

Mógłby na ten temat mówić teraz bez końca, ale przyjechali doktorzy, więc wyszedł do nich. Chory tymczasem się zbudził i głosem znacznie już wyraźniejszym zawołał:

— Zygmuncie!

A gdy syn się zbliżył i ucałował jego rękę, przytrzymał go, patrzył nań z wyraźną radością i z trudem wymawiając wyraz po wyrazie, rzekł:

— Nie masz — pojęcia — jaki — jestem — rad. — Nie masz— pojęcia.

Doktorzy uznali, że dziś choremu o wiele lepiéj.

II.

— Trochę mi to wygląda na słomiany ogień...

Krępicowa która zwykle spędzała szare godziny na rozmowie z mężem w jego gabinecie, powiedziała te słowa raczéj do siebie niż do niego. Krępic zaś przestał całować swego malca, siedzącego mu na kolanach i zapytał:

— O kim mówisz Milciu?

A ona wtedy spojrzała na niego z takim wyrazem, z jakim zwykle patrzą ludzie wyrwani raptownie z zamyślenia. Poczém potrząsnęła głową i rzekła:

— Widocznie myślałam głośno i myślałam o Zygmuncie. Zabrał się do roboty z takim ferworem i tak prędko, że mimowoli przyszedł mi na myśl słomiany ogień. Nie ma więcéj nad dwa tygodnie, jak wuj wstał z łóżka, a on już nie tylko ma mnóstwo planów w głowie, lecz nawet niektóre wprowadza w życie.

— A ja znów uważam, że ty mu zawsze nie dowierzasz i że on stanowczo nie ma u ciebie łaski — zauważył Krępic.

— Nie, nie to, tylko mię zastanawia jako typ i jako charakter. Nie mogę o nim powiedzieć nic stanowczego, bo naturalnie znam go za mało i on prócz tego musi miéć naturę dość złożoną, ale właśnie to mię zajmuje. Zazwyczaj ludzie których poznaję, wywierają na mnie odrazu, albo dodatnie, albo ujemne wrażenie i to już pozostaje. On mi się wydał raz taki, raz taki, to marzyciel, to zanadto trzeźwy i właśnie tém mię niecierpliwi.

Krępic popatrzył na żonę, która w zapadającym zmroku, w swym białym flanelowym szlafroczku i z zamyśleniem w oczach, wyglądała zupełnie dziewiczo, a przytém ponętnie. Przesunął dłonią po jéj jasnych włosach, poczém wziął jéj rękę i parę razy pocałował.

Wyraz jego oczu zupełnie nie licował z tą pieszczotą po trochu braterską, ale ona dawniéj bała się jego uczuciowych wybuchów, późniéj im się poddawała, lecz biernie, a nawet czasami z widoczną przykrością i jakby upokorzeniem, więc on próbował nagiąć swoją naturę do jéj spokojnego usposobienia i często gdy miał ochotę wprost ją pożerać pocałunkami, hamował się i poprzestawał na takim wylewie uczuć jak dzisiaj.

Sądził, że jego obowiązkiem było szanować indywidualność żony, czasami bywał rad ze swego zwycięstwa nad sobą, czasami myślał, że może właśnie dla tego kocha ją tak bardzo, bo jest inna od tych kobiet które znał, a było ich nie wiele, i od tych, o których słyszał, tych zaś było daleko więcéj, ale niekiedy, zwłaszcza w tych chwilach, w których walka z sobą była trudniejsza, czuł, że chociaż od czasu do czasu wolałby ją widzieć mniéj niedostępną, mniéj białą, a więcéj zbliżoną do tych zwyczajnych niewieścich istot, o których zawsze myślał z pewném lekceważeniem, ilekroć przyszło mu je porównać z własną żoną.

Teraz z westchnieniem przytrzymał jéj rękę w swoich dłoniach i w odpowiedzi na wypowiedziane przez nią słowa, rzekł:

— Przedewszystkiém Zygmunt ma naturę zupełnie prostą. Był zawsze człowiekiem z sercem, a teraz jest i z głową i poza tém miał jednę, poważną wadę, która mu prawdopodobnie pozostała, a o któréj i moja pani mogłaby coś powiedziéć. Oto lubił sądzić ludzi z pierwszego wejrzenia, mówił odrazu—porządny człowiek, — albo — idyota, jeśli nie szubrawiec — i był zły, ilekroć musiał zmienić zdanie. Tak! Zresztą zawsze był potrochu zapalczywy i tylko tém się różnił od przeciętnych entuzyastów, że jeśli coś postanowił pod wrażeniem, lubił tego postanowienia dotrzymać nawet wtedy gdy ochłódł. Teraz postanowił sobie być użytecznym w swojéj okolicy i przypuszczam, że im większe napotka trudności, tém zajadléj będzie je łamał. Nie potrafi siedziéć bezczynnie.

— Zdaje się, że mu tych trudności nie zbraknie—zauważyła pani Emilia. Jeśli się pracuje w pośród ciemnoty, zgóry trzeba sobie powiedziéć, że rezultaty nie prędko się osiągnie. Wtedy nie ma wyczekiwania, nie ma rozczarowań, pracuje się dla zasady, z wiarą, że w naturze żadna energia nie powinna zginąć i natychmiastową nagrodę ma się tylko w spokoju sumienia. Łatwo wybaczyć ślepotę tym, którzy nigdy nie widzieli światła, lecz ludzie mający pretensye do czegoś, a będący rzeczywiście niczém, są w stanie zniechęcić nawet silny charakter. Jeśli twój Zygmunt myśli poruszyć swoich sąsiadów, zęby na nich połamie. Zjadą się do niego, nawet mogą się zjeżdżać co tydzień, jeśli im postawi dużo stolików do kart; nie pożałują mu uznania i obiecają co zechce, ale na długi termin nic dotrzymają nic. Ściśle prowadzona statystyka zabitych kuropatw i zajęcy, będzie jedynym, trwałym objawem ich umysłowego wysiłku. Tak. Składkowy obiad w mieście powiatowém, pokaże mu, że umieją być solidarni, ale innego porozumienia niech się nie spodziewa. Do chłopów zbliżą się także, czemu nie? Przecież to polega na stoickiém wkładaniu łopatą w głowę Maćkową, że Maciek był chamem, jest chamem i chamem będzie i tylko wtenczas nie ukradnie, kiedy nie będzie mógł.

Mówiła z takiém ożywieniem, że nie usłyszała dzwonka w przedpokoju, ani téż zobaczyła Zygmunta, który we drzwiach stanął i słuchał.

Jéj mąż go zobaczył, ale że gość położył teraz palec na ustach, tylko z uśmiéchem kiwnęli sobie głowami i obadwaj czekali aż pani Emilia skończy. Poczém Krępic się zerwał i zawołał:

— No, jeśli nie znałeś twoich sąsiadów, to ci ich moja żona odfotografowała. Chodź niech cię uściskam.

I wycałował go z wielką serdecznością, a Zygmunt potém zbliżył się do pani Emilii i witając ją, rzekł:

— Jest w tém trochę racyi, ale chyba jest i trochę przesady. Zobaczy pani!

Krępic tymczasem zapalił lampę a gdy światło padło na otomanę i na siedzącą na niéj jego żonę, Znamieniecki zobaczył, że miała na twarzy widoczne zmieszanie, że teraz ustępowało z niéj zarumienienie i że z tém wszystkiém była bardzo ładna.

— Ten Krępic jest szczęśliwy jak król! — przeleciało mu przez głowę, a gdy ona zwróciła się do drzwi, jakby chciala wyjść, zawołał.

— Czy pani już nam nic więcéj nie powie? Ja właśnie przyjechałem z nadzieją, że tę kwestyę szeroko omówimy.

— Naturalnie, że omówimy! Zaczekaj Milciu, jeszcze czas na herbatę! — rzekł Krępic.

Lecz pani Emilia zaczęła się tłómaczyć, że była dziś niezdrowa i że się skutkiem tego nie ubrała, że pan Zygmunt zszedł ich niespodzianie i że chociaż ona sama nie wszystkim formom przyznaje racyę bytu, jednakże tak swobodne ubranie, może być tolerowane tylko w obecności samego męża.

Stała przy drzwiach i trzymała ręce złożone na piersiach, jakby chcąc przycisnąć suknią, która była zupełnie luźna, spływała w długich fałdach od ramion aż do ziemi i miała u piersi oszycie z grubéj koronki.

Te luźne fałdy i ta koronka ułożona jak dziecinne kryzy, przyczyniały się do tego, że stojąc tak, młoda kobiéta wydawała się wyższą niż zwykle, ale miała w sobie coś z dziecka. Znamieniecki chciał mówić i powstrzymał się, bo Krępic podbiegł do żony, ujął jéj ręce i łagodną przemocą pociągnął na sofę.

— Mężczyźni nie znają się na takich rzeczach — wołał,—a my mniéj niż reszta mężczyzn na świecie. Jesteś cała przykryta od stóp aż do brody, zatém przyzwoitość nie ma prawa się obrażać, a w dodatku w téj sukni jest ci najładniéj. Ja chcę, żeby Zygmunt ocenił całą wartość mojéj żony, nie pozwalam ci się przebierać i... niech raz będę panem mojego domu i mojéj woli!

Silił się na ton mowy stanowczy, a równocześnie całował jéj ręce i było widać, że jest z powodu téj swojéj Emilki nie tylko dumny, lecz przytém i szczęśliwy. A Zygmunt, który przez ten czas wziął na kolana swojego małego imiennika i witał się z nim, chciał żartem zwrócić uwagę przyjacielowi, żeby jego zazdrości, która i tak jest już kolosalną, nie doprowadzał do ostatecznych granic, ale sam nie wiedząc dlaczego, powstrzymał się i nie rzekł nic. Pani Emilia zaś, trochę zawstydzona wysunęła ręce z dłoni męża i poczęła wypytywać o Zygmuntowego ojca i o nowiny z Kamionki.

W Kamionce było wszystko po staremu, a pan Znamieniecki był prawie zdrów, o ile może być zdrowym człowiek, pozbawiony władzy w ręku i w nodze. Kalectwo skazało go na zupełną bezczynność i Zygmunt nie mógł na to patrzéć bez smutku, chociaż on sam nie zdawał się tém martwić i twierdził, że już widocznie przyszedł na niego czas wypoczynku. Zdał na Zygmunta wszystkie interesy, przyczém się okazało, że wcale nie były w złym stanie. Posiadał złożone w banku na imię syna, dość znaczne kapitały, osiągnięte powoli z parcelacyi owych dwóch folwarków, które niegdyś zagroziły Karolówce i spowodowały wyjazd Zygmunta. Karolówka i Leszczyny były także przepisane na imię syna. Sobie nie pozostawił nic, zdał się na łaskę i niełaskę i rozmowa o tém robi mu widoczną przyjemność. Nie wypytywał Zygmunta o żadne plany i zamiary na przyszłość, a jeśli ten, zwierzał mu się z własnéj ochoty, patrzył na niego jakby z wdzięcznością. Wyglądało to tak, jak gdyby działalność byłego reprezentanta firmy Rotte *et C-ie* imponowała mu. Czuł się małym wobec syna i Zygmuntowi to było przykro. Przywykł myśléć o ojcu jako o człowieku dumnym, zawsze pewnym siebie, zawsze przekonanym o swéj wyższości i zawsze chłodnym. Dzisiaj miał przed sobą starca kalekę, który patrzył na niego z jakimś pokornym podziwem i był w swém niedołęstwie dziwnie złamanym i cichym.

Każda siła, zła czy dobra, gdy jest zdruzgotana, robi takie wrażenie, jak powalony dąb, którego potężny wierzchołek leży w piasku i zamiast patrzéć z wyżyn, służy za schronienie ptastwu i zającom.

Przed trzema tygodniami podniesiono go z łóżka, ubrano i posadzono w fotelu na kółkach. Po całych dniach siedzi w nim i czyta, a gdy Zygmunt wchodzi, uśmiecha się z zadowoleniem. Jego jedyném życzeniem osobistém jest, żeby się syn ożenił. Mówi, że dom jest pusty i że będzie zupełnie inaczéj wyglądał, gdy po pokojach zaczną biegać dzieci. Chciałby, żeby to nastąpiło jak najprędzéj bo jest już stary i chory i Zygmunt go rozumie, ale wątpi, czy to nastąpi tak prędko, jak ojciec sobie życzy. Przedewszystkiém należy mu się dobrze rozejrzéć w interesach, poznać grunt, na którym ma pracować i ludzi, z którymi będzie żył. Już miał sposobność rozmawiać z niektórymi poważniéj. Ostatecznie czemuż nie próbować, czy się czego nie da zrobić, zwłaszcza téż, gdy nie ma nic lepszego do roboty? Liczy trochę na nazwisko, które jeszcze na wsiach imponuje. Prawie nic nie czytają, ale może przy pomocy kobiét uda się przełamać tę zawziętość przeciwko drukowi. Zdążył zauważyć, że na prowincyi kobiety są daleko mniéj zardzewiałe niż mężczyźni.

Krępic słuchał z uwagą i nie przerywał przyjacielowi, ale jego żona, rzekła teraz — że już mówiła o nim z Winią Rańkowską, że wszystko, czego sobie życzył, zostało załatwione i że prócz tego przyszło im na myśl, czy w Karolówce, albo w Leszczynach, nie można by urządzić letniéj kolonii? Na to Zygmunt odparł, że z góry zgadza się na jéj każde życzenie i że chętnie odda się pod jéj kierunek, poczém zapytał, co myślą robić ze świętami?

Boże Narodzenie przypadało za cztery dni i Krępicowa oświadczyła, że zwykle je spędzają u siebie w domu, w towarzystwie Bodziewiczów.

Wtedy Zygmunt zaczął mówić, że ma ochotę zanieść do nich wielką prośbą, że właściwie tylko po to przyjechał, ale że przedewszystkiém ustępuje prawa głosu ojcu.

To mówiąc wyjął z kieszeni list i podał go Krępicowéj. Na wielkim, listowym papierze, Znamieniecki napisał krzywo i niewyraźnie, co następuje:

— „Droga kuzynko. Nie odmów staremu i choremu i przyczyń się do tego, żeby mój Zygmunt miał takie święta, jakich pragnie. To jego pierwsza wigilia w domu od lat siedmiu i będzie niewesoła jeśli ją spędzimy tylko we dwóch. Prosiłem twoich rodziców i obiecali zjeść wigilijną wieczerzę z nami, a teraz o to samo proszę ciebie i twego męża.

Z wielkiem poważaniem

Znamieniecki."

Krępicowa patrzyła na drżące i krzywe litery, które biegły od góry ku dołowi, myślała o człowieku jeszcze niedawno tak silnym, przypomniała sobie chwilę, w której prosił o jéj rękę dla Andrzeja i uczuła, że jéj oczy zwilgotniały. Podała list mężowi, poczém zwróciła się do Zygmunta i zapytała:

— Czy lewą ręką pisał?

A Zygmunt, który na nią patrzył z niepokojem i miał w oczach wymowną prośbę, odparł krótko.

— Tak.

I znowu patrzył na nią wyczekująco.

— Ja i owszem — odparła w odpowiedzi na milczące pytanie.— Z radością zobaczyłabym rodziców, ojca pana, zimę na wsi, któréj już nie widziałam sześć lat i nawet Karolówkę, którą znam tylko z kościoła.

Wtedy Krępic rzucił list na biurko, zerwał się i ująwszy w obie ręce głowę żony całował jéj oczy.

— Otóż to najlepsza i najdomyślniejsza z żon! — wołał. — Ugadamy się za wszystkie czasy i będziemy mieli kapitalne święta!

A ona zaczęła się śmiać, że chociaż najlepszą z żon nie jest, zawsze jest lepszą od niektórych mężów, którzy nigdy nie chcieli jechać na święta do Kamionki, bo na trzy dni nie warto, a do Karolówki jadą, bo tam będą z przyjacielem gadali od rana do nocy i w rezultacie nic sobie nie powiedzą. Zygmunt zaś, któremu teraz oczy błyszczały, ucałował jéj ręce i rzekł:

— Umowa zawarta, już nie dam jéj zerwać i teraz brakuje nam tylko słodkiéj pani Marychny i Bodziewicza! Jutro do nich pójdę!

Tu wszakże pani Emilia zauważyła, że Bodziewiczowie pewno się nie zgodzą, bo on nie uznaje takich nagłych i nadzwyczajnych projektów, które znów jéj zdaniem głównie dla tego są przyjemne, że nie były pół roku naprzód omawiane. Ale szwagier lubi wszystko robić z rozwagą i namaszczeniem, prócz tego może wyjechać tylko na dwa dni i boi się dla dzieci podróży w zimie. A Zygmunt, który go nie bardzo lubił i zapraszając czynił zadość tylko prostéj formie grzeczności, nie zmartwił się przypuszczeniem pani Emilii, lecz pomimo to oświadczył, że będzie jutro próbował.

I próbował istotnie, choć na próżno. Wprawdzie pani Marychna aż się zarumieniła, taką widocznie miała ochotę jechać także, ale Bodziewicz odmówił, nawet się nie tłómacząc dlaczego i tylko bardzo serdecznie podziękował za zaproszenie. Zygmunt zaś powrócił do Karolówki uradowany jak student i zaraz zaczął robić wielkie przygotowania na przyjęcie gości.

Cała Karolowiecka cieplarnia została przetrzebiona. Pokój bawialny, jadalny, pokoje przeznaczone dla Krępiców, przedsionek i nawet wschody, literalnie tonęły w zieleni i w kwiatach.

Sam tego doglądał, ustawiał i poprawiał, Bonia dreptała za nim a gdy on z zadowolenia to pogwizdywał, to śpiewał półgłosem, ona z rozrzewnienia co chwila obcierała najpiérw oczy, potém nos.

Gdy zaś w dniu wigilii już wszystko było gotowe, nawet „niespodzianka" pod postacią olbrzymiéj choiny, umieszczonéj w bibliotece, Zygmunt poszedł do ojca i usunąwszy służącego, począł sam obwozić go w fotelu po wszystkich pokojach i co chwila pytał.

— Prawda, że tak dobrze? — A to się podoba ojczulkowi?

Znamieniecki kiwał głową, chwalił wszystko, raz po raz powtarzał, —że jest bardzo rad i że już dawno nie miał takich przyjemnych świąt, jak będą te—ale gdy się znalazł w bibliotece, która teraz służyła młodemu gospodarzowi za gabinet i zobaczył choinkę całą błyszczącą, westchnął.

— Czy też ja jeszcze doczekam drzewka, przybranego dla twego syna?

A Zygmunt spochmurniał i głosem, w którym nie było wiary we własne słowa odparł.

— Doczekasz, ojcze.

O czwartéj przyjechali rodzice pani Emilii, a w pół godziny potém, wsprost z kolei Krępicowie.

Zygmunt wyszedł na ich spotkanie, zbiegł ze wschodów aż do powozu i promieniejący, z odkrytą głową stał na śniegu.

— Niech no pan ucieka do pokoju, bo to dziś nie żarty, tylko czternaście stopni mrozu — odezwała się z okna karety pani Krępicowa.

Lecz on się tylko na to roześmiał. Sam otworzył drzwiczki, porwał na ręce malca, któremu z pod stosu chustek i pledów było tylko widać oczy i zawoławszy,—że radość rozgrzéwa!—poleciał.

W przedsionku oddał dziecko Boni, która też wzięła się do rozwijania tego żywego pakunku z taką ostrożnością, jak gdyby była artystą-amatorem, a mały Zygmuś co najmniéj Praksytelesowym Erosem, on zaś wprowadził teraz panią Krępicową i sam począł z niéj zdejmować futro.

Pani Emilia była zaróżowiona od mrozu, mówiła, że na polach jest prześlicznie, że już zapomniała w Warszawie, jak śnieg umié być białym na wsi i tak wyglądała jakby rzeczywiście cieszyła się z téj wycieczki. Krępic był także w nastroju wesołym, uściskał najpiérw Zygmunta, potém Bonię, któréj uroczyście przedstawił młodą żonę, a w końcu wszyscy przeszli do gabinetu powitać pana Znamienieckiego i gości z Kamionki.

Pan Znamieniecki siedział w swoim fotelu na kółkach i wydał się Krępicowi bardzo zmienionym. Był to teraz zupełny starzec i niemal żadnym szczegółem, ani rysem nie przypominał właściciela Karolówki z tych czasów, w których przyjaciele spędzali u niego wakacye. Z dumnie sztywnego mężczyzny pozostała zgarbiona, skulona i wątła ludzka ruina. Nawet wyraz twarzy się zmienił, a był tém, czém dla ruiny jest bluszcz i słoneczny promień. Zamiast dawnego chłodu, z oczu pana Znamienieckiego szło coś, co było zapewne smutkiem, lecz takim smutkiem, jaki w pogodną jesień ciągnie nad poczerniałemi rżyskami nicią babiego lata. Był wyobrażeniem rezygnacyi która mówi:— może być gorzéj, ale to mnie teraz mało obchodzi, bo już nic nie chcę i jest mi z tém dobrze.

Tymczasem w około niego drgało życie. Mały Zygmuś siedział na kolanach dziadka z Kamionki, u którego jako syn fachowca i człowicka nic od nikogo nie potrzebującego, miał większe łaski niż reszta

wnuków. Opowiadał nowiny o „Jantu i Malisi" i co chwila śmiał się jak dzwonek, Olchowicz zaś wtórował mu basem.

Pani Olchowiczowa miała także słabość do dziecka, które przypominało nie tylko matkę, lecz podobno i babkę, siedziała tuż obok męża i od czasu do czasu próbowała mu odebrać chłopaka. Ale to się kończyło tylko na tém, że przechyliwszy ku sobie jego główkę, całowała go we włosy, albo w oczy. Dziadek zawsze przewidział zamach, w porę przytrzymywał wnuka, mówił, że stanowczo dziecko woli jego niż babkę, poczém puszczał w ruch kolano i sapiąc wołał do taktu.

— Tak pan jedzie — po obiedzie...

A Krępicowa patrzyła na rodziców i na syna, śmiała się razem z nimi i było w pokoju tak głośno i wesoło, że aż Zygmunt i Krępic pytali parę razy chorego, czy go to nie drażni.

Lecz jego to nie drażniło. Mówił, że Karolówka już dość długo była grobem, że dla Zygmunta pragnie dużo ruchu i życia i, z widocznem zadowoleniem przysłuchiwał się gwarowi zmieszanych słów i śmiechu.

Potém zniżywszy głos powiedział o niespodziance przygotowanéj w bibliotece i wydawał się naprawdę zainteresowanym czy chłopak niczego się nie domyśla i czy się zadziwi?

Lecz teraz zadziwiła się przedewszystkiém pani Emilia. Spojrzała na Zygmunta z wdzięcznością, wyciągnęła do niego rękę z podziękowaniem, poczém zawoławszy: — muszę to zobaczyć!—zerwała się.

Zygmunt i Krępic podnieśli się także i poprowadzili ją do biblioteki, która teraz wyglądała inaczéj niż dawniéj.

Przedewszystkiém było w niéj czuć, że tu nie tylko zaglądają ludzie, ale nawet lubią w niéj przesiadywać. Na owalnym stole leżały porzucone gazety i otwarte książki, między oknami stało biurko zarzucone papierami, przed niem fotel zachęcający nie tyle do pracy, ile do wypoczynku, nad niem wisiał portret pani Znamienieckiéj. Drzewko błyszczące świecidłami i kolorowemi świeczkami, stało obok dębowego stołu, na kominku palił się ogień i cały pokój, pomimo wielkości i sztywnych, rzeźbionych szaf, robił przyjemne wrażenie.

— Uważam, że cała Karolówka wygląda teraz inaczéj — rzekł Krępic i rozejrzał się w około.

A pani Emilia nic nie mówiła, bo jéj wzrok padł na portret nad biurkiem i tkwił w nim, przyciągany magnetycznie.

— To moja matka — rzekł wtedy Zygmunt i patrzył na nią, jakby wyczekując odpowiedzi.

Lecz jéj nie otrzymał. Pani Emilia zbliżyła się do biurka, patrzyła na tę twarz tak uduchowioną, że niemal nie było w niéj nic

ziemskiego i myślała — że może niektóre ludzkie dusze są jak bardzo piękne idee. Życie i świat stają się dla nich tém, czém wcielenie w formę dla genialnéj myśli. Andrzéj ma racyą! Ta kobieta musiała być zanadto poezyą, zanadto marzeniem. Nie umiała chodzić zwyczajnemi drogami. Płatek warszawskiego śniegu nim doleci do ziemi, już jest zbrudzony ludzkim oddechem—a ona jest tak podobna do białego płatka,... jak świat podobny do dusznego miasta... Zbrudzili ją i zdeptali, ale pewno nie mogło być inaczéj. Dla takich chyba klasztor i modlitwa — więcéj nic!... Czyż na prawdę zawsze będą istniały kobiety, których ani zmienione wychowanie, ani rozszerzone horyzonty myśli i uczuć, nie zdołają zamienić w jednostki zdolne do walki i czynu? A jeśli tak, to jakiż cel tych istnień? Minęły czasy, gdy niewieścia piękność była kultem i gdy jéj było wolno wszystko. Życie teraz, to przecie szereg czynów—inne jest tylko parodyą życia.

Stała pogrążona w myślach i w zachwycie dla twarzy anioła-dziewczyny, Zygmunt nie przerywał milczenia i dopiéro Krępic zbliżywszy się do nich rzekł pierwszy.

— Dawniéj on był zadziwiająco do niéj podobny.

I wskazał ruchem głowy na przyjaciela, ona zaś odparła półgłosem.

— I teraz jest podobieństwo nadzwyczajne, chociaż — to jest twarz tak idealnie święta, że nawet nie mogłaby być modelem do świętéj Justyny. Niepodobna uwierzyć, aby mogła kochać ziemską miłością.

A Zygmunt jakby idąc szlakiem tylko własnych myśli, zapytał:

— Czy pani ją bardzo potępia?

— Nie. Co ją miało obronić? System wychowania kobiet i warunki w jakich żyją, muszą powodować nieszczęścia — odparła.

— To znaczy, że gdyby się zmieniły system i warunki, nie byłoby takich nieszczęść? Ja się na to nie godzę. Są namiętności które się nie dadzą ująć w karby ani tradycyi, ani wychowaniu, ani nawet wrodzonéj sile ducha. Przecie się zdarza, że one obezwładniają nawet ludzi czynu i wielkiego hartu i, mojem zdaniem, systemy wychowawcze mogą się zmieniać, lecz ta właściwość namiętności ostoi się póty, dopóki będą istnieli ludzie.

Tak mówił Krępic, a żona odpowiedziała mu dopiéro po chwili, lecz energicznie.

— A ja znów na to nie mogę się zgodzić. Ludzkość albo dąży do doskonałości, albo nie. Rozum nie powinien być narzędziem małych uczuć, tylko przeciwnie, uczucia powiny być narzędziami rozumnych myśli.

Ale Krępic rzekł na to, że w takich warunkach na świecie byłoby jeszcze zimniéj niż teraz, i że uczuciom tak wielkim jak małym powinno się wybaczać trochę zła które powodują, dla wielkiéj ilości dobra, które z nich idzie. Zygmunt zaś zapytał, dlaczego przywiązanie kobiety i mężczyzny ma się nazywać małém uczuciem, kiedy czasami bywa istotnie wielkiém?

I otrzymał bardzo stanowczą odpowiédź pani Emilii, że jest zawsze małem w porównaniu z uczuciami obejmującemi wielkie koła, że jest prócz tego egoistyczném, że ludzkość powinna dążyć do pozbycia się egoizmu i że tylko wielkie ukochania pchają świat naprzód.

Wywiązała się stąd żwawa sprzeczka, bo teraz Krępic zaczął dowodzić, że rodziny oparte na wzajemnéj miłości także pchają świat na przód, a pchałyby jeszcze skuteczniéj, gdyby się więcéj liczono ze skłonnościami serca i więcéj zakładano szczęśliwych rodzin.

Zygmunt stał po jego stronie, lecz młoda kobieta wzruszała ramionami i choć w części przyznała im racyę, niemniéj rzekła, że to jest warzenie wody, z któréj woda będzie i że teraźniejsze umysły stanowczo zawiele się zajmują solą życia, a za mało jego chlebem.

— Tyle się mówi i pisze o miłości — kończyła — że w rezultacie ci sami ludzie, którzy co prawda nawet nie umieją się zdobyć na wielkie uczucia i w praktyce utożsamili je z flirtem, gotowi uwierzyć, że flirt jest na świecie najważniejszy. Powinno się pracować i żyć obowiązkami, a gdy los da miłość, przyjąć ją jako kwiat, powiedzieć „bądź błogosławiona" i nie zatrzymywać się w drodze.

— A jeśli nie można powiedzieć — „bądź błogosławiona"?

Lecz ona już tych słów Zygmunta nie dosłyszała. Poszła do choinki, zaczęła prostować kolorowe świeczki, które on poprzyczepiał do gałązek trochę krzywo, i śmiała się z niezręczności mężczyzn wogóle, a Zygmuntowéj w szczególności.

Bronił się wspierany dzielnie przez Krępica, przyczém wszystko troje wpadli w bardzo dobry humor i poczęli dostrajać drzewko z takim zapałem, że mógłby im go pozazdrościć mały Zygmuś.

Ta zabawa omal się nie skończyła wypadkiem.

Pani Emilia zauważyła, że na najwyższéj gałązce brakowało świeczki, a że już ją ogarnął zapał i ogromna pustota, więc nie namyślając się wskoczyła na stół i próbowała schwycić wierzchołek drzewka. Z podniesionemi w górę ramionami, szła od środka stołu do jego brzegu, lecz gdy się zbliżyła do krawędzi, owalny stół wsparty tylko na jednéj nodze przeważył się. Byłaby spadła na drzewko, nawet nie zdążywszy krzyknąć, szczęściem jednakże, Zygmunt ją zobaczył wcze-

śniéj, a znając właściwość dębowego sprzętu podbiegł i już lecącą pochwycił.

Gdy ją postawił na ziemi, była trochę zestrachana, ale więcéj zmieszana. Padając zawisła mu ramionami na szyi, przyczém czołem musnęła jego wąsy i to ją teraz wstydziło. Czerwieniła się i z przestrachu trochę drżała, a Zygmunt pobladł, miał na czole krople potu i w odpowiedzi na pytania Krępica, którego zaniepokoił łoskot spadających orzechów, tylko wskazał ręką na stół i na panią Emilię.

To ją tak rozśmieszyło, że zapomniała o przykréj stronie wypadku i jęła go opisywać w sposób komiczny, ale Krępic wysłuchawszy opowiadania zmarszczył brwi.

— Jesteś zawsze dziecinna i w końcu narobisz nieszczęścia, zobaczysz! — rzekł prawie szorstko.

Pani Emilia zarumieniła się, że jednakże mąż zaczął ją teraz wypytywać, czy sobie czego nie zrobiła i z wdzięcznością dziękował Zygmuntowi, powrócił jéj dobry humor i jak poprzednio z niezręczności tak teraz się śmiała z tchórzostwa mężczyzn, którzy, jak mówiła, stanowczo się wyradzają.

Ten wesoły nastrój nie opuszczał jéj przez cały wieczór i udzielał się wszystkim.

W gładkiéj sukni z popielatego jedwabiu w który się przebrała do wieczerzy, z gałązką liliowego hyacyntu we włosach, z pociemniałemi oczami i ożywioną twarzą, uwijała się koło jarzącego drzewka na wyścigi z synem i była jednakowo z nim rozbawiona.

— Patrz, — mówił Krępic do przyjaciela — jak ona nic nie jest podobna do innych kobiet! Czasami zupełne dziecko.

— Rzeczywiście — rzekł Zygmunt, który także wodził oczami za młodą kobietą. Nigdy nie przypuszczałem, żeby była tak bardzo żywa i wesoła. Czy to zwykłe usposobienie twojéj żony?

Na to Krępic odparł — że nie, że ona tylko czasami miewa takie wybuchy dobrego humoru i że jéj się to najczęściéj zdarza, gdy jest w Kamionce.

— Nie mówi mi tego—kończył, — ale ja się domyślam, że tęskni do wsi i z resztą dobrze to rozumiem, bo i mnie w mieście duszno. Kto się urodził i wychował w pośród szerokich przestrzeni, ten ich nie może zapomnieć, a prócz tego — mnie czasem przychodzi na myśl, że każdy wiek, prędzéj czy późniéj musi swoje przeżyć. Ona była zanadto poważném dzieckiem i dlatego, od czasu do czasu staje się niém teraz. To jest widać potrzebą natury i ja, choć się czasami niecierpliwię, nie pragnę w niéj zmiany, bo tylko szczęśliwi ludzie umieją w chwilach wewnętrznego rozradowania stawać się dziećmi.

Patrzył na żonę z takim wyrazem, jakby mówił — to szczęście jest mojém dziełem!—a gdy się zbliżyła do nich, schwycił ją za ręce i posadził przy sobie pytając:

— Czemu mój jasny ptak taki dzisiaj wesoły?

Na to jasny ptak wzruszył ramionami i na znak zupełnéj nieświadomości, tak żywo potrząsnął głową, że aż z jasnych włosów wypadła gałązka liliowego hyacyntu i odbiwszy się od ramienia kobiety potoczyła po sukni na posadzkę.

Nie zauważyła tego. Krępicowi można było nawet belkę u nóg położyć i pewnoby jéj teraz nie dostrzegł, lecz Zygmunt podniósł kwiat i z twarzą wspartą na dłoni, ze swoim zwykłym smutkiem w oczach, począł go obracać w palcach i przyglądał mu się z taką uwagą, jak gdyby pierwszy raz widział hyacynty.

Pani Emilia zaś po chwili się zerwała i odbierając mężowi dłonie, mówiła.

— Wiész, pójdziemy z mamusią na pasterkę?

— Niepodobieństwo, zaziębisz się!

Ale ona tylko potrząsnęła głową.

— Nie ma obawy! Dawniéj co rok jeździłam do Karolówki na pasterkę i na rezurekcyę i nikt z tego powodu nie truchlał. Pogódź się, że twoja żona nie jest storczykiem i nie rosła w cieplarni, na pasterkę pójdzie i zobaczy dużo starych znajomych. Tak!

— Rzekłaś, o pani moja! Ale my pójdziemy także, prawda Zygmuncie?

Krępic jeszcze trzymał dłonie żony i teraz patrzył na nią z takim wyrazem, z jakim murzyn *Inidu* patrzył niegdyś na swego fetysza, lub sabejczyk na wybraną gwiazdę, a Zygmunt nie spuszczając wzroku ze swojéj liliowéj gałązki, rzekł.

— Pójdziemy.

I poszli we czworo, ale przedtém obydwaj panowie Znamienieccy stoczyli istną batalię z panią Olchowiczową, gdyż ta ostatnia chciała po nabożeństwie wracać do domu i zapowiedziała, że nazajutrz wszystkich z Karolówki zabierze do siebie.

Pani Emilia zauważyła, że to jest zupełnie naturalne życzenie, mama na to liczyła, bo napiekła moc strucli, takie strucle zaś nie mogą się zmarnować. Ale pan Znamieniecki nie mógł jechać, Zygmunt nie mógł go zostawić samego i nie chciał także rozstawać się z Krępicem, Krępic znów nie chciał się rozstawać z żoną i z synem, stąd wynikł spór który trwał dość długo i który starszy pan Znamieniecki chciał w następujący sposób zażegnać.

— Państwo Krępicowie — mówił — są moimi, a właściwie Zygmuntowymi gośćmi na całe święta. Jeżeli dziadkowie chcą się nacieszyć wnukiem, niech zrobią poświęcenie i niech te parę dni posiedzą w Karolówce. Że jednakże zupełne porozumienie może istnieć tylko przy wzajemnych ustępstwach, przeto zgadzam się dać jutro moim gościom urlop na parę godzin, lecz pod tym warunkiem, że państwo Olchowiczowie dzisiaj do domu nie wrócą i że jutro po obiedzie w Kamionce, znowu wszyscy przyjadą się nudzić przy fotelu chorego. Zygmunt musi także jechać i musi dopilnować, żeby nic w programie nie zmieniono.

— Ale strucle! — zawołała na to pani Emilia i z wesołym uśmiechem patrzyła na matkę. — Przecież strucle nie jedzą się na obiad!

Zygmunt wszakże poparł wniosek ojca tak gorącemi prośbami i tak proszącém spojrzeniem, że pani Olchowiczowa choć stara, nie wiedziała jak się opiérać. A gdy jeszcze rzucił genialny projekt — więc przywieziemy strucle do Karolówki i zjemy do ostotniéj okruszyny! — uległa i zwycięstwo, jak zwykle, zostało przy Zygmuncie.

Poczém starzy panowie poszli spać, panie zaś udały się w towarzystwie Krępica i Zygmunta do kościoła.

Karolowiecka świątynia była dość dużą, jak na kościół wiejski, a w zmroku, słabo rozjaśnionym światłem zapalonego świecznika i świec na ołtarzu, pomimo tłumu pobożnych, wydawała się jeszcze większą niż zwykle. Prócz tego był w niéj pewien tajemniczy urok, właściwy nabożeństwom nocnym.

Szczyt wielkiego ołtarza ginął w cieniu, gdyż blask świec tłumiony mgłą i parą ludzkich oddechów, padał tylko na bliższe szczegóły i na rzeźbioną postać Madonny z Lourdes, któréj kontury rozpływały się miękko, a ona sama jaśniała w swojéj grocie białością szronów i wyglądała jak zjawisko.

Tłum klęczał. Gdzieniegdzie, między pochylonemi głowami, jak rozsypane gwiazdy, jaśniały świéce, w które zaopatrzyli się wszyscy modlący się z książek, z ust wychodziły kłęby pary, otaczały rozrzucone płomyki i błyszczący świecznik, jakby promiennym nimbem i wsiąkały w cienie, a w kątach i pod sklepieniem leżały mroki przepełnione milczeniem i tajemnicą.

Panie siedziały w rzeźbionéj ławce kolatorskiéj i gdy im podano świéce, zagłębiły się w modlitwie. Krępic i Znamieniecki stanęli na wprost nich przy bocznych drzwiach, a pierwszy wsparłszy się o ścianę, oczami prowadził po tłumie, myślą zaś cofał się wstecz do czasów, w których jako mały wyrostek klęczał w kościele Daszowieckim, dla ciepła na

matczynéj spódnicy. Zawsze się dopominał, by go brała na pasterkę, więc go brała, a on potém bał się ciemności, które szły do niego z kątów kościelnych i dla nabrania otuchy, raz po raz spoglądał na jéj twarz, która była wtedy jeszcze spokojniejsza i słodsza niż zwykle.

Już mu zbladło i zszarzało nawet wspomnienie téj kochanéj twarzy matczynéj, ale jednak nie zatarło się zupełnie i czasami powracało tak, jak dziś.

Pod kawałkiem marmuru, który na Daszowieckim cmentarzu mówi ludziom o pamięci syna, leży tylko nieco prochu, ale w nim, w Kręplcu, pozostało coś z umarłéj, żyje i chyba nigdy nie umrze.

Wodził oczami po ciemnych i pstrych głowach tych, którzy się korzyli w modlitwie i mówił sobie, że z tego, co mu dała w spuściźnie ta prosta kobiéta, on nic nie roztrwonił. Wié teraz to, czego ona nie wiedziała i „co ją mordowało całe życie”, a choć nie może zaradzić, ukochania matki przekaże swojemu synowi. Ten od tego kapitału może wypracuje większe odsetki. Ciężka praca, bo owoców nie daje żadnych, albo gorzkie. Ale cóż byłby wart pracownik w „winnicy Pańskiéj”, jeśliby go zniechęcał nieurodzaj?

I oto ogarnęło go teraz nieokreślone poczucie, że między nim i zmarłą istnieje jakiś łącznik, bo te jego myśli były jakby spowiedzią przed nią. Bez wiedzy i woli tłómaczył się i zdawał sprawę z życia i doznawał wrażenia, że gdzieś w przestrzeni to słyszą. A potém, gdy jego wzrok padł na jasną głowę żony i gdy mu to przypomniało, że owa jedyna, prosta droga, zamiast cierni, dała mu wszystko, co tylko życie może dać dobrego, uczuł, że mu się serce przepełnia po brzegi wdzięcznością.

Był trzeźwym i człowiekiem pracy, nie chciał i nie miał czasu zgłębiać zagadnień, które niepokoją prawie każdą inteligentną jednostkę z sercem, miał własną etykę, któréj nie porównywał z żadną inną, bo od niéj nie byłby nigdy odstąpił, reszta mało go obchodziła, ale dziś tak go pochłonęły wspomnienia lat dziecinnych, że, nie zdając sobie sprawy z wrażeń, wprost sprzecznych z jego praktyczną trzeźwością, zwilgotniałe oczy przykrył dłonią, a z głębi duszy wyrwało mu się westchnienie, które mówiło—dzięki ci, matko!

„Bóg się rodzi, moc truchleje...” uleciało nagle z piersi tłumu i szło w górę, jakby chciało przebić ciemności i sklepienie, by konać aż na gwiazdach.

Pani Emilia modliła się w skupieniu, ale pomimo to, parę razy zwróciła oczy ku drzwiom, gdzie stał mąż i Zygmunt i czyniła to bezwiednie, jak gdyby zmuszona do tego innym wzrokiem. Istotnie Zy-

gmunt patrzył w ich stronę. Stał obok Krępica, a światło padając od ołtarza zapalało złotawe błyski w jego włosach i w bobrowym kołnierzu jego futra. Był niewiele niższy i niewiele szczuplejszy od przyjaciela, a jednak Krępic wydawał się przy nim jakby zanadto rozrosłym i trochę sztywnym.

Pani Emilja zauważyła to po raz pierwszy.

— Nie ma w twarzy téj świętości co matka, ale ma tę samą poezję i nawet w jego postawie jest coś poetycznego—pomyślała.

I nagle jéj się przypomniało, jak ją dziś uniósł w ramionach. Przez chwilę twarz jéj zapałała ogniem, ale to zaraz przeszło.

— Dzieciństwo, pocieszała się — już musiał o tém zapomnieć. Ale był naprawdę przestraszony, bo aż zbladł. Bardzo kocha Andrzeja i jest dobry.

Znowu zaczęła się modlić, a potém śpiéwała razem z tłumem i ze złożonemi rękami, z głową trochę podniesioną ku sklepieniu i ustami rozchylonemi, wydała się Zygmuntowi jakby oderwanym fragmentem z fresku Luini'ego. I także poraz pierwszy zrodziła się w nim niejasna świadomość, że ta twarz ciągnie jego oczy i że przed nim majaczy nawet wtedy, gdy jéj nie widzi.

— To jest albo głupie, albo...

Ale tego drugiego „albo" nie sformułował, bo nagle krew napłynęła mu z serca do mózgu. Poczuł, że mu twarz pała, a potém przeszło go zimno.

Coś się między tymi dwojgiem ludzi nawiązywało, kiełkowała w nich jakaś jeszcze nieuchwytna nić sympatyi, ale sprawę z tego poczynało sobie zdawać dopiéro jedno.

— To byłoby apoteozą mojego życia — pomyślał teraz Zygmunt i otuliwszy się w futro wyszedł z kościoła.

Niedługo téż poczęła z niego płynąć rzeka ludzi i rozlawszy się na cmentarzu, dwoma strumieniami płynęła przez obie bramy w noc śnieżną i gwiaździstą. Ale przy bocznych drzwiach zebrała się szczupła gromadka, złożona z kilkorga dziewczyn i chłopaków i stała wyczekując.

Zygmunt patrzył na to bezmyślnie, poczém się nagle zainteresował, bo go doleciały takie wyrazy: — nasza panienka... panienka z Kamionki.

Jakoż istotnie czekano na panienkę z Kamionki, bo gdy się Krępicowa ukazała we drzwiach, rzucono się całować jéj ręce. Ona zaś na razie się żdziwiła, a potém bardzo uradowana witała każdego z kolei i co chwila wołała:

— Patrzcie! to Jasiek tak wyrósł?... Józki nie byłabym poznała... A to co?... Kasia z Karolówki?... Już w czépku?... kiedyżeś ty za mąż poszła?

Byłoby to wszystko trwało nader długo, ale że mróz szczypał policzki, więc Krępic zaproponował, żeby ci, którzy się chcą z „panienką" dłużéj widzieć przyszli jutro do dworu, do Kamionki, sam zaś chcąc zachęcić żonę do powrotu, podał ramię pani Olchowiczowéj i skierował się ku bramie.

Nastąpiła nowa serya całowania rąk pani Emilii, poczém ona podążyła za matką, a Zygmunt szedł obok niéj i milczał.

Noc była bezksiężycowa, gwiazdy zaś wysypały się licznie, lecz patrzyły na ziemię jakby przez zasłonę z gazy, a kasztany alei prowadzącéj do dworu, prawie się rozpływały w mleczném powietrzu i majaczyły szkieletami nakształt bladych widziadeł. Mgła była i w górze i na dole i zapowiadał się na jutro szron obfity.

Przy zbiegu alei i ulicy prowadzącéj do wsi, pani Emilia, która szła dość szybko i była cała pogrążona w myślach, nagle przystanęła i wskazując ręką na dziewczynę, biegnącą naprzeciw nich wprost ku kościołowi, rzekła z nagłym uśmiechem:

— Proszę, zapytaj pan jak jéj na imię?

Zygmunt spojrzał na nią zdziwiony, ona zaś widząc, że dziewczyna jest już blisko i może ich minąć, powtórzyła nagląco:

— Proszę, zapytaj pan koniecznie... później wytłómaczę.

Więc choć niechętnie, spełnił jéj życzenie i miał przytém tak zabawną minę, że i młoda kobiéta i zatrzymana dziewczyna zaczęły się śmiać.

Poczém ta ostatnia zawołała rezolutnie:

— Olo Boga! zabaczyłam ksiunżki w kościele i pewnikiem zamknu. Ale Emilio, proszę jaśnie pana... Emilio się nazywom, niech pon Jezus da galantu żonę...

I dusząc się od śmiechu poleciała, przyczém dudniła piętami po zamarzłym śniegu, a Krępicowa patrzyła na Zygmunta i również się śmiała.

— No, jakże? Przepowiednia brzmi, że pan będziesz miał za żonę moją imienniczkę. Mówią, że to się zawsze sprawdza.

Nie odpowiedział jéj, więc popatrzyła mu w twarz uważnie i dostrzegła, że miał brwi ściągnięte.

— Czy pan nie lubi tego imienia? — próbowała żartować daléj, ale już nie tak swobodnie jak przedtém, bo jéj przyszło na myśl, że jego matka nosiła także imię Emilii i że właśnie ten zbieg okoliczności mógł mu być przykrym.

On zaś spojrzał na nią bez uśmiechu i nagle zawołał widocznie rozdrażniony.

— Nie rozumiem, jakim sposobem tak poważna rzecz jak małżeństwo, może być traktowana przez panie w żartobliwy sposób. Może jestem śmieszny, ale to mnie zawsze oburzało i oburza.

Zdumiona odwróciła się szybko w jego stronę, przyczém potknęła się na wydeptanym śniegu. A gdy Zygmunt poskoczył i podał jéj ramię przepraszając, że tego wcześniéj nie uczynił, złożyła na niém rękę i zapytała:

— Ja znów nie rozumiem, czemu się pan gniéwa? Podanie mówi, że imię pierwszego mężczyzny, czy kobiéty spotkanych w drodze z pasterki, będzie imieniem przyszłego męża, lub przyszłéj żony osoby, która o to pytała. Naturalnie jest to tylko żart, ale przecież można się zapatrywać na małżeństwo bardzo poważnie i miéć czasami usposobienie do żartów.

Milczał, trochę zmieszany własném rozdrażnieniem, a potém rzekł spokojniéj:

— Pani ma racyę, ja zaś jestem zanadto wrażliwy, tylko... to może nie jest wina jedynie mojego usposobienia.

Znowu zamilkł, ale po krótkiéj chwili mówił daléj i w jego głosie była teraz nuta rzewna.

— Andrzéj zna moje życie, jak swoje własne, więc ono i pani nie obce. Wiecznie brakowało mi ciepła. Matkę mi zabrali, ojciec był dla mnie zawsze nieprzystępnym, szczególniéj w dzieciństwie, nie miałem siostry i może skutkiem tego wyrobiłem sobie trochę przeegzaltowane pojęcie o roli, jaką w mojém życiu miała odegrać własna rodzina. Od najmłodszych lat gotowałem dla oczekiwanéj kobiéty ołtarz w sercu, gromadziłem na nim wszystkie uczucia, których nie miałem komu oddać i tym sposobem owo małżeństwo, które jest dla innych rzeczą zwykłą i naturalną, dla mnie się stało czémś wymarzoném i prawie świętém.

Pani Emilia słuchała, a gdy przestał mówić, rzekła poprostu.

— Proszę mi wybaczyć.

I szli daléj ramię przy ramieniu; on patrzył w mgły, przez które błyszczały matowo okna Karolowieckiego dworu, a ona się dziwiła, dlaczego ją jego słowa wzruszyły i myślała, że był z tych ludzi, których miłość może byłaby w stanie naprawdę unieszczęśliwić, a nawet złamać. Pierwszy raz zamiast się uśmiechnąć lub oburzyć, uczuła w sobie coś w rodzaju współczucia i równocześnie niepokoju.

— Wobec tego pan musisz być bardzo ostrożny w wyborze — rzekła nagle.

— Tak ostrożnym—odparł—że z obawy zawodu, pewno się wcale nie ożenię.

Gdy to mówił, było w jego głosie smutne szyderstwo, ona zaś potrząsnęła głową i zawołała:

— To niepodobna! Z takiém marzycielskiém usposobieniem, miałbyś pan życie nietylko puste, ale i bardzo smutne. A przytém na wsi, przy pomocy żony można daleko więcéj zrobić, niż samemu. Pan nawet nie masz pojęcia, co to dla kobiéty za obszerne pole do pracy — wieś! Jéj jest łatwiéj wzbudzić do siebie zaufanie, niż mężczyźnie. We dwoje można tu zrobić bardzo wiele, właściwie tylko tu można coś zrobić, ale tych dwoje musi się rozumiéć.

— Przedewszystkiém kochać—rzekł na to Zygmunt i wprowadził ją do przedsionka, w którym światło lamp ślizgało się po marmurze posadzki i wachlarzom olbrzymich paproci nadawało barwy chryzopramu, szmaragdu i bronzu.

A gdy Krępicowie znaleźli się na górze, panią Emilię ogarnęło jakieś miękkie uczucie, które jéj było dotąd nieznane.

Opowiedziała mężowi swoją rozmowę z Zygmuntem, poczém położyła mu obie dłonie na piersiach i rzekła:

— Wiész, my jesteśmy szczęśliwsi, niż on, choć ma tę śliczną Karolówkę i tyle piéniędzy. Jest biédny, naprawdę nie ma nikogo bliskiego, za wiele wymaga od życia dla siebie, a gdy się zawiedzie, będzie jeszcze biédniejszy. Mnie go żal, Andruszku.

Podniosła na męża oczy, które były zamglone i zapytała jeszcze:

— A tobie?

Krępic jeszcze nigdy nie słyszał takich dźwięków w mowie żony. Były rzewne. Przytém poraz pierwszy dowiedział się od niéj, że jéj było przy nim ciepło i dobrze. To go wzruszyło i zrobiło tak szczęśliwym, jak nie był jeszcze nigdy od dnia swego ślubu. Ramionami ją objął i z ustami przy głowie żony mówił:

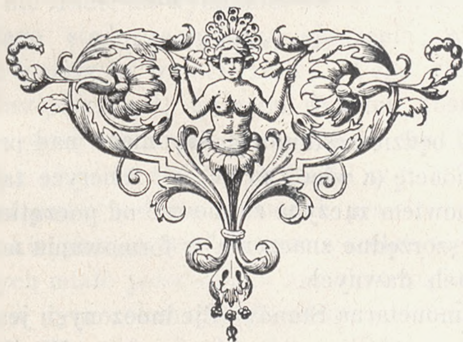
— Tak, my jesteśmy szczęśliwsi, ale moja ptaszyna niech się o innych nie martwi, bo i on jeszcze będzie szczęśliwy. Dawniéj bałem się dlań sercowego zawodu, gdyż był bardzo uczuciowy. Wierzyłem, że odziedziczył egzaltowaną naturę matki, ale lata pracy trochę go zmieniły, choć może sam o tém nie wié. Tak, złoto moje, ożeni się, a choć może małżeństwo nie da mu tego, o czém marzy, to mu da wiele rzeczy innych, o których człowiek, nie mający rodziny, nie może miéć pojęcia. Kto wié, czy ono nie kryje w sobie więcéj niespodzianek dla mężczyzny, niż dla kobiéty.

Rozmawiali jeszcze bardzo długo. Krępic zwierzył się żonie, że na razie bardzo go zabolały, pewne, dla obcych może nawet niedostrzegalne, ale pomimo to zaszłe zmiany w duszy przyjaciela, ale że teraz mniéj go to razi. Wierzy, że zmienione warunki wiele mogą. Zygmunt dowiódł tego raz, dlaczegóż nie może dowieść poraz wtóry?

Pani Emilia słuchała go z uwagą, a gdy się położyła, myślała długo, że kochająca i kochana kobiéta zrobiłaby tu więcéj, niż zmienione warunki, że to jest człowiek wprost zagłodzony brakiem serca w życiu i że pomimo wszystko, co mówił Andrzéj, musi w nim być dużo natury matki.

A potém myślała jeszcze, czy zna kobiétę, która umiałaby zrozumiéć tę egzaltowaną głowę, przypominała sobie wszystkie, które znała, widziała, lub o nich słyszała i usnęła z tém, że znaléść odpowiednią, będzie bardzo trudno.

(*D. c. n.*). *Exterus.*



STRONNICTWA POLITYCZNE

w STANACH ZJEDNOCZONYCH

I WYBÓR PREZYDENTA.

(Dokończenie) [1].

Na miejscu tu będzie zastanowić się nieco nad przyczynami, które uczyniły monetę (a więc i życie) w Ameryce tak nad miarę drogą, kwestya ta bowiem zaczyna zajmować od początku bieżącego dziesięciolecia pierwszorzędne znaczenie w formowaniu nowych stronnictw oraz w platformach dawnych.

Jednostką monetarną Stanów Zjednoczonych jest, jak wiadomo, dolar rozdzielony na 10 *dimes* lub 100 centów. Wielkość dolara ustalona została przez akt kongresu z r. 1792 w srebrze; wynosi ona 371,25 gran czystego srebra; przez Hamiltona wprowadzony został do tego aktu stosunek doń złotego dolara jako 1 : 15; t. j. waga złotego dolara otrzymuje się dzieląc poprzednią liczbę przez 15, co daje 24.75 gr. czystego złota. Ten sam akt postanawia, iż każdy przynoszący do mennicy sztabę złota lub srebra miał prawo żądać odbicia z niej bezpłatnie takiej ilości monety, jaka według wagi i próby wypadnie. Jest to tak zwane *free coinage* czyli „bezpłatne (wolne) bicie obu metali."

---

[1]) Patrz „Ateneum" za maj r. b

W r. 1834 stosunek ten został zmieniony na 1 : 16, t. j. zmniejszona została w téj proporcyi waga złotéj monety; dolar złoty zawierał więc 23.22 gran czystego złota.

Ponieważ w owym czasie stosunek złota do srebra przyjęty w Europie dla monety wynosił tylko 1 : 15,5, więc dolar amerykański zawierał prawie o 3% więcéj srebra niż przedstawiana przezeń wartość według miary europejskiéj. Następstwem tego był odpływ ogromnéj ilości srebra amerykańskiego do Europy (przeważnie Francyi), która je skupowała za złoto, aby przebić swoją monetę, wygrywając przytém owe 3%. Cena srebra w stosunku do złota przez cały ten czas nie była jednakowa; handlowy stosunek tych dwóch metali doszedł do *maximum* w ciągu 3-ch dziesięcioleci od 1821 do 1850, wynosząc wtedy 15,8:1; w następném dziesięcioleciu spadł na 15,4:1, a między rokiem 1861 a 1870 wynosił 15,5 : 1.

Ale oto po wojnie francusko-pruskiéj Niemcy, chcąc pokazać światu swoje pierwszeństwo wśród narodów, a licząc na pięciomiliardową kontrybucyę, wprowadzili wyłącznie złotą monetę. Ponieważ jednak Niemcy złota nie produkują, więc dla zadosyć uczynienia potrzebom obiegu musieli je skupować w innych krajach w coraz to większéj ilości, przez co cena na nie podniosła się; te kraje znowuż skoro to nastąpiło, aby nie tracić na wymianie na rynku międzynarodowym, wskutek wynikłego stąd względnego obniżenia wartości srebra, pociągnięte także zostały ku walucie złotéj. Cena złota zaczęła więc szybko i prawie bez przerwy [1]) wzrastać wskutek rosnącego zapotrzebowania na nie, a wyżéj wymieniony stosunek cen handlowych obu metali zmienił się z 15,9:1 w r. 1873 na 32,6:1 w r. 1894.

W r. 1873 stosunek ten więc dosięgał prawie oznaczonego przez prawo amerykańskie; jeszcze trochę czasu a srebro wywiezione ze Stanów Zjednoczonych miało powrócić do mennic tego kraju, gdy prawo przeprowadzone w tym roku usunęło srebro z mennicy, ograniczając monetę prawną i „wolne bicie" do złotego dolara. Spowodowało to odrazu takie następstwa w życiu ekonomiczném kraju, które zmusiły już w krótkim czasie do częściowych odmian aktu z 1873 r. i do kompromisów pomiędzy monometalizmem a bimetalizmem.

Już w r. 1878, ponieważ złoto nie przychodziło do mennic a srebru drogę zamykało prawo, ilość monety obiegowéj zostawała stałą pomimo wzrostu wymagań, a ilość jéj przypadająca na głowę spadła prawie do 3 dolarów. Różnica pomiędzy dolarem złotym a srebrnym

---

[1]) Wyjątek stanowią lata 1890 i 1891.

wynosiła 8 centów. Kongres skłonny był przywrócić godność monetarną srebru, lecz klika bankierska okazała silną opozycyę. Wynikiem więc było prawo częściowe Blanda, upoważniające rząd do nabywania srebra i bicia go w niewielkiéj ilości, nie przywracając mu jednak godności miarodajnéj. Środek ten oczywiście nie mógł przyczynić się do zwiększenia wartości srebrnego dolara. Jeszcze mniéj mogło sprawić ten skutek prawo Shermana, wydane w r. 1890, a upoważniające rząd do kupowania w zamian za wypuszczane przezeń banknoty, potrzebnéj ilości srebra według ceny bandlowéj i bicia zeń monety. W ten sposób na karb złotego dolara, który wciąż zostawał jednostką miarodajną, złożony został podwójny ciężar: wypuszczonych banknotów i kursującego jedynie dzięki stemplowi, a więc jako bilon, dolara srebrnego.

Następstwem takiéj polityki finansowéj było, iż przedział pomiędzy srebrną monetą (w rzeczywistości kursującą w kraju obok papierowéj) a złotą (ukazującą się gdzie niegdzie jako rzadkie zjawisko) wzrastał coraz bardziéj, tak iż dziś dolar srebrny wart jest tylko 53 centy w złocie, czyli innemi słowy, dolar złoty podwoił niemal swoją cenę.

W ten sposób dostały Stany Zjednoczone „drogą monetę.”

Jakież były następstwa jéj ekonomiczne?

Nasamprzód staniały względnie wszystkie produkty, których ceny regulują się na rynku międzynarodowym, a więc głównie zboże, mięso i inne płody gospodarstwa wiejskiego.

W tym samym stosunku obniżyła się i wartość ziemi—masy farmerów zwłaszcza na Zachodzie porzucają dziś swoje siedziby i przenoszą się do miast.

Przeciwnie wszystkie długi, a między niemi zaciągnięte na ziemię, podwoiły się [1]), również jak i dług państwowy (który wynosił w grudniu 1896 r. 1,769,840,323 dolarów), obciążając zarówno główną sumą jak i procentem cały naród (suma samego procentu na głowę wynosi dziś około $^1/_2$ dolara), a wzbogacając najniesłuszniéj bankierów i kapitalistów krajowych i angielskich, posiadających papiery rządowe, zarówno jak i wszystkich wierzycieli prywatnych kosztem dłużników.

---

[1]) Po przyjęciu Resumption Act, powiada jeden z bestronnych historyków (I. C. Ridpath U. S. history, Columbian Edition 1894 str. 641) dzięki stałemu i szybkiemu podrożeniu jednostki monetarnéj, klasa dłużników w kraju znalazła się w nader ciężkiem położeniu; długi ich bowiem rosły w takim stosunku, że pozbawiały ich wszelkiego prawdopodobieństwa, jeśli nie możności, spłacenia ich.

Podwoiły się na równi z długami dochody wszystkich tych, którzy mają stałą rentę lub pensyę rządową.

Zmniejszyła się ilość kursującej monety, a więc kredyt stał się droższy.

Jasném więc jest, że pieniądz drogi i ograniczony w obiegu sprzyjał klasom zamożnym, głównie zaś rentierom, wzbogacając je kosztem uboższych; o to zaś by ogólny spadek cen nie dotknął wyrobów przemysłowych, a w ten sposób nie uszczuplił dochodów fabrykantów, dba wysoka taryfa celna, obciążająca natomiast konsumentów, głównie zaś znowuż ten ubogi ogół, przeważnie farmerów, ową nadwyżką cen na produkta fabryczne, którą sprowadza. Że zaś i robotnik miejski zmuszony jest znaczną część swego zarobku zużywać na zakupienie tego rodzaju wyrobów, więc i dla niego korzyść z podwyższonéj pokupnéj siły płacy, przypuszczając iż została by stałą, jest bardzo problematyczna; stałą zaś ona zostać nie może: ciągłe striki i masowe zaburzenia, o których wspominaliśmy, były właśnie wynikiem dążności do jéj obniżenia.

Ze zrozumienia tych faktów i głębszego pojmowania czynników wzajemnie oddziaływających w życiu narodowém oraz z chęci zjednoczenia wszystkich tych, których krzywdzi prawodawstwo klasowe, do walki przeciw niemu, powstało stronnictwo ludowe (*People's Party*), które wchłonęło w siebie poprzednie organizacye robotnicze, łącząc je z masą farmerów.

Stronnictwo to zorganizowało się w maju 1891 r. w Cincinnati (Ohio) dokąd zjechało się przeszło 1,300 delegatów rozmaitych organizacyi reformy, i wydało program zaczynający się od następującego oświadczenia:

„Wobec wielkiego przewrotu społecznego, przemysłowego i ekonomicznego, świtającego nad światem ucywilizowanym oraz wobec nowych i żywotnych zagadnień, które ma przed sobą lud amerykański, sądzimy, iż nadszedł czas skrystalizowania polityczno-reformatorskich sił naszego kraju i utworzenie stronnictwa ludowego Stanów Zjednoczonych.”

Po tym wstępie, stawia program ludowy szereg reform monetarnych: wypuszczenia na potrzeby obiegu banknotów opierających się o fundusz, znajdujący się w skarbie państwa i taniego kredytu dla rolników (na nieruchomość) nie przewyższającego 2% rocznie; w o l n e g o i n i e o g r a n i c z o n e g o b i c i a s r e b r a; zakazu sprzedawania zie-

mi cudzoziemcom [1]) oraz odebrania nadmiaru ziemi danéj towarzystwom kolejowym; dochodów państwa ściśle ograniczonych do jego istotnych potrzeb; podatku dochodowego postępowego; kontroli lub przejęcia na własność państwa kolei i innych środków komunikacyi; ośmiogodzinnego dnia pracy; bezpośredniego wyboru prezydenta, wiceprezydenta i senatorów.

Wszystkie te żądania z dodaniem paru drugorzędnych zatwierdziła konferencya organizacyi przemysłowych, zgromadzona w St. Louis w lutym 1892 r. Wstęp do jéj postanowień maluje w najczarniejszych barwach stan społeczny i moralny kraju. — „Owoce pracy milionów, mówi się tam obok innych rzeczy, są zuchwale przywłaszczane dla budowania kolosalnych fortun, nie mających poprzedników w historyi świata, a właściciele ich gardzą rzecząpospolitą i są niebezpieczni dla wolności. Z jednego i tego samego łona niesprawiedliwości rządowéj wynikły dwie wielkie klasy: nędzarzy i milionerów. Prawo narodowe tworzenia monety zastosowane zostało do wzbogacenia posiadaczy papierów wartościowych; srebro przyjęte za podstawę monetarną od początku naszych dziejów zostało zdemonetyzowane, aby zwiększyć pokupną siłę złota, przez zniżenie wartości wszystkich form własności, zarówno jak i pracy ludzkiéj a zasób monety obiegowéj rozmyślnie zmniejszony dla wzbogacenia lichwiarzy, doprowadzenia do bankructwa przedsięwzięć i uwięzienia przemysłu. Rozległy spisek przeciwko ludzkości został zawiązany na obu lądach i dąży do owładnięcia światem. Jeśli mu się nie zapobieży i nie obali go odrazu, pociągnie on za sobą straszne konwulsye społeczne, ruinę cywilizacyi lub ustanowienie bezwzględnego despotyzmu."

Walka wyborcza rozpoczęta pod temi hasłami była, względnie mówiąc, bardzo pomyślna: młode stronnictwo odniosło zwycięstwo w 4-ch stanach, złożywszy wszystkich głosów 1,050,000 na Jamesa Weaner z Jowy i J. Fielda z Virginii.

Kiedy w ten sposób nowe potrzeby polityczne i społeczne złożyły się na sformowanie reprezentującego je stronnictwa, władza rządowa przechodziła z rąk republikanów do demokratów i odwrotnie.

W r. 1880 trzech republikańskich „bosses'ów"—Logan, Conkling i Cameron uczynili niezwykły wysiłek, aby przeprowadzić po raz trzeci wybór Granta; spowodowało to połączenie wszystkich ludzi przeciwnych trójterminowéj prezydenturze i wybór Garfielda. Gdy zaś w r. 1884 wystawiono kandydaturę Blaine'a na prezydenta i Logana na

[1]) Ma się tu na celu głównie usunięcie spekulacyi prowadzonych przez syndykaty zagraniczne.

wiceprezydenta, wywołało to secesyę wszystkich tych, co nie mogli przystać na zasady i metody onych „polityków.” Zwycięstwo zostało przy demokratach, których kandydat Cleveland został prezydentem. W r. 1888 zwyciężyli znowu republikanie przeprowadzając Harrisona a w 1892 znowu osiadł w Białym Domu Cleveland.

Wszystkie środki dążące do zmniejszenia ilości pieniędzy w obiegu oraz do zwiększenia ich ceny, również jak i wysoka taryfa celna, którą w r. 1888 t. zw. Bill Mac-Kinleya podniósł do wysokości przeciętnej 53%, znosząc jednocześnie cło na cukier i niektóre inne produkty, były przeprowadzone przez stronnictwo republikańskie, które zgodnie i w tem z polityką swoich poprzedników, dążyło również do zwiększenia władzy centralnéj z uszczerbkiem miejscowych, okazując przytem wielką skłonność do środków przymusowych w administracyi.

Stronnictwo demokratyczne, wierne dawnéj tradycyi, oponowało przeciwko tym środkom, obstając przy dawnéj zasadzie taryfy dochodowéj zamiast protekcyjnéj, opozycyi względem monopolów bankowych, obrony praw stanów przeciwko władzy centralnéj oraz wolności przeciwko samowoli organów rządowych; nie wciągnęło jednak w zakres swoich wymagań tego, co stanowiło najżywotniejszy punkt polityki finansowéj — kwestyi powrotu do bimetalizmu przez odnowienie prawa wolnego bicia obu metali.

Jeśli zreasumujemy teraz to co daje ów z konieczności zbyt pobieżny rzut oka na ukształtowanie i rozwój historyczny rozmaitych stronnictw w Stanach Zjednoczonych, widzimy iż od samego założenia państwa, przeważna część narodu dzieli się na dwa obozy, które pod rozmaitemi nazwami, reprezentują wszakże dwa rodzaje interesów, dwie klasy ludzi. Jedno z nich od najdawniejszych już czasów przechowuje tradycyę organizacyjną i nazwę — jest to stronnictwo demokratyczne — początkowo antifederaliści lub republikanie — pod względem politycznym — przedstawiciele zasad Rousseau'a i krańcowych stronnictw rewolucyi francuskiéj, pod względem społecznym — reprezentujące to, co wówczas nazywano ludem *the people*; drugie — pod rozmaitemi nazwami i w coraz to nowych organizacyach — to jako federaliści, to jako republikanie narodowi lub whigowie, reprezentuje do połowy bieżącego stulecia zasady bardziéj umiarkowanéj wolności ze skłonnością nawet ku monarchii konstytucyjnéj; ideały jego polityczne zbliżone są do ideałów konstytucyonalistów ówczesnych w Europie, usiłujących oprzéć władzę państwową na klasie zamożnéj — kupcach,

bankierach i fabrykantach — której interesa reprezentuje pod względem społecznym. Do téj gromady należy też i zamożniejsza prasa, którą ta klasa popiéra, pastorowie, adwokaci i wszyscy ci, którzy byt swój jéj zawdzięczają, zależą od niéj ekonomicznie, a których wiążą z nią towarzyskie stosunki a pociągają ku niéj ogłada zewnętrzna i dobrobyt, te dwa warunki, tak ułatwiające i uprzyjemniające życie.

Rozmaite pojmowanie zasad konstytucyi pod względem kwestyi centralizacyi lub decentralizacyi władzy państwowéj, polityka protekcyjna dla banków i fabryk z jednéj strony a przeciwna jéj z drugiéj — takie są główne punkta, o które walczyły te stronnictwa.

Tymczasem odmienne kierunki w rozwoju ekonomicznym południa i północy wyprowadzając coraz to częściéj na widownię polityczną kwestyę niewolnictwa wywoływały przeciwstawność tych dwóch części kraju. Południe zajęte przeważnie produkcyą bawełny, która od czasu wynalezienia przez Eliasza Whithneya (w r. 1793) maszyny do oddzielania bawełny od nasion, stała się niezmiernie korzystną [1]), posługiwało się pracą niewolniczą; północne stany, w których rozwijały się szybko miasta i przemysł rzemieślniczy, bardzo wcześnie zniosły u siebie pracę niewolniczą jako niekorzystną.

Zatarg ów długo zażegnywany kompromisami, przybiera wreszcie charakter tak ostry, iż rozbijają się o niego dawne stronnictwa. Z odłamów różnych stronnictw powstaje nowe—republikańskie, ugrupowane pod hasłem wolnéj pracy, przeciwnie całe południe — obstaje za niewolnictwem, skupiając się dokoła partyi demokratycznéj. Wojna domowa przynosi zwycięstwo nie tylko wolnéj pracy, ale i zasadzie centralizacyi, którą republikanie dziedziczą po swoich politycznych przodkach—federalistach i whigach—a władzy, którą dało zwycięstwo partyi używa ona na energiczne poparcie interesów klasy, reprezentowanéj przez siebie t. j. wielkiego przemysłu i finansów.

Przeobrażenia ekonomiczne, wynikające ze zniesienia niewolnictwa i rozwoju kolei żelaznych lub przez nie popierane—rozrost kapitalizmu popieranego cłami protekcyjnemi, polityką finansową i ogromnemi datkami rządowemi rozmaitym korporacyom kapitalistycznym—powoduje nowe ugrupowanie sił społecznych. To co stanowiło dawniéj l u d, pod które to pojęcie podciągano zarówno rolników jak i rzemieślników, rozdzieliło się teraz na dwie odrębne klasy: robotników miejskich, oderwanych od narzędzi swojéj pracy i postawionych w zależności od kapitalistów, — i farmerów — po dawnemu niezależnych

[1]) Obliczają, że wynalezienie téj maszyny zwiększyło dochody Południa, od czasu jéj zastosowania do wojny domowéj, na 1000 milionów dolarów.

właścicieli narzędzi i środków pracy. Pozorna przeciwstawność ich interesów rozdziela ich czasowo: pierwsi zaczynają organizować się w stronnictwa pracy przeciwstawne wprost republikańskiemu jako reprezentującemu interesa kapitału; drugie czasowo jeszcze trzymają się demokratów, których polityka finansowa popierać zdaje się rolnictwo. Na miejscu dawnéj przeciwstawności północy z południem wypływa nowa—wschodu i zachodu. Lecz oto występuje stronnictwo ludowe i pod hasłami swemi łączy klasy pracujące, zarówno miejskie jak i wiejskie przeciwko wszelkiego rodzaju monopolom. „Związek sił robotniczych Stanów Zjednoczonych, spełniony w dniu tym, musi być trwały i wierny; niech duch jego wejdzie we wszystkie serca ku zbawieniu Rzeczypospolitéj i ku podniesieniu ludzkości"—mówi platforma populistyczna.

Jeśli więc pominiemy stronnictwa drugorzędne, które powstały z rozmaitych obaw lub potrzeb częściowych np. narodowo-amerykańskie—z obawy przed szkodliwém oddziaływaniem napływu cudzoziemców mało ukształconych i nie przyzwyczajonych do instytucyi amerykańskich; prohibicyonistów—z zastanowienia się nad ogromem klęski materyalnéj i moralnéj, wynikającéj z użycia alkoholu i t. d. — widzimy, że główną podstawą nowego ugrupowania sił politycznych jest przeciwstawność społeczna pracy i kapitału, przeciwstawność, która istniała już i na początku, ale w innéj, łagodniejszéj formie, ustępująca niemal na drugi plan wobec walki zasad politycznych, a późniéj zamącona i zatarta przez walkę północy z południem, reprezentującą odgłosy tego zatargu, który w Europie staczały ostatnie ślady feudalizmu (pańszczyzna) z zasadą pracy najemniczéj.

Dziś przeciwstawność ta wystąpiła w całéj sile, usuwając na ubocze wszelkie interesa polityczne i grożąc śmiercią moralną tym stronnictwom, które nie wezmą stanowczego udziału w wywoływanym przez nią zatargu, tak jak niegdyś kwestya niewolnicza stała się przyczyną śmierci moralnéj whigów.

Stronnictwo demokratyczne znalazło się właśnie w takiém położeniu po powstaniu partyi ludowéj; należało albo przyłączyć się do niéj szczerze i wypisać na sztandarze swoim hasła, stanowiące tylko konsekwentny i zastosowany do potrzeb czasu rozwój tych zasad, na których opiérała się od najdawniejszych czasów demokracya amerykańska, córa demokracyi francuskiéj i Rousseau'a, albo doczekać się jak stopniowo odpłyną od niéj wszystkie żywioły, stanowiące siłę i liczbę, zostawiając tylko pozbawiony życia szkielet.

Demokraci amerykańscy obrali pierwszą z tych dróg, ale tylko

częściowo objęli program populistów, wziąwszy zeń najbardziéj palące kwestye: restytucyą srebra i podatek dochodowy.

Konwencya demokratyczna, zebrana w lipcu 1896 r. w Chicago (Illinois) przyjęła do platformy swojéj i postawiła na pierwszym planie wymaganie powrotu do dawnéj waluty, prawodawstwo zapobiegającego na przyszłość demonetyzacyi srebra; obok tego położono nacisk na wyłączne prawo państwa do wypuszczania monety obiegowéj, zaoponowano wypuszczaniu papiérów procentowych (a więc zaciąganiu pożyczki) w czasie pokojowym; wymaga się taryfy tylko dochodowéj i cały szereg innych punktów, dotyczących kwestyi drugorzędnych.

Charakterystyczne są wyrazy, w których zredagowano protest przeciwko prawu Shermana:

„Oświadczamy, iż akt z r. 1873 demonetyzujący srebro bez wiedzy i aprobacyi ludu amerykańskiego [1]) miał za następstwo podwyższenie ceny złota i odpowiedni upadek cen produktów wytworzonych przez lud, znaczny przyrost ciężarów podatkowych, oraz wszystkich długów publicznych i prywatnych, upadek przemysłu i zubożenie narodu.

„Jesteśmy stanowczo przeciwni wyłącznéj walucie złotéj" i t. d. Ważnym tego programu punktem, który stał się dla przeciwników pozorem do oskarżania demokratów o dążności rewolucyjne, jest obstawanie przy podatku dochodowym, przyjętym przez izbę, odrzuconym przez sąd federalny wbrew stuletniéj tradycyi. Podatek ten miał na celu zażegnanie olbrzymich deficytów, spowodowanych przez bil Mac Kinleya. „Oświadczamy, że obowiązkiem kongresu jest użycie wszelkiéj władzy konstytucyjnéj, zostającéj po téj decyzyi (sądu), lub jaka może wyniknąć z jéj obalenia przez nowy skład sądu, aby ciężar opodatkowania został równomiernie i bezstronnie rozłożony, tak iżby bogaci ponosili proporcyonalny ciężar w wydatkach rządowych."

Razem z tym nowym programem stanął na czele stronnictwa demokratycznego szereg osobistości nowych i energicznych. Za kandydata na prezydenta obrali Wilhelma Jenningsa Bryana, człowieka stosunkowo bardzo młodego, bo liczącego zaledwie 36 lat, i świetnego mówcę.

Bryan należy do rodziny, która już miała przeszłość polityczną wybitną; ojciec jego był senatorem i sędzią okręgowym swego stanu (Virginii). Urodzony w Salem (Illinois), dokąd przeniosła się rodzina

---

[1]) Akt ten przeprowadzony został i jakiś czas utrzymywany w tajemnicy; oczywiście, iż ci, którzy i ci, dla których go przeprowadzili, wiedzieli o nim i zdążyli uczynić odpowiednie kroki.

jego, po ukończeniu szkół w Jacksonville, studyował prawo w kolegium chicagoskiém. Rozpocząwszy praktykę prawniczą w Jacksonville, przeniósł się niebawem do Linkoln (stanu Nebraska). Już w roku 1888-ym występował Bryan jako członek konwencyi przedwyborczych, a w r. 1890-ym został członkiem senatu swego stanu. Wkrótce stał się on gorliwym obrońcą srebra i nabywszy pismo w Omaha, szerzył w niém te zasady. Od r. 1894 porzuciwszy redaktorstwo poświęcił się całkowicie szerzeniu swoich zasad.

Tegoż kandydata uznało za swego stronnictwo ludowe, które na konwencyi w St.-Louis rozszerzyło nieco swój dawniejszy program; ponieważ jednak kandydat demokratyczny na wiceprezydenta Artur Sewall nie zupełnie odpowiadał jego wymaganiom, jako bogaty właściciel doków, wystawiło więc osobnego kandydata na wiceprezydenta—Watsona, przez co zachowało niezależność w głosowaniu i otrzymało możność policzenia sił swoich [1]).

Decyzya konwencyi chicagoskiéj, przyjmująca sprawę wolnego srebra, jako główny punkt platformy, wywołała silne niezadowolenie w téj części partyi demokratycznéj, którą interesa pociągały na stronę przeciwną, t. j. wśród zamożniejszych jéj żywiołów. Żywioły te, zgromadziwszy się na konwencyę w Indyanopolis we wrześniu 1896 roku, utworzyły odrębne stronnictwo narodowych, czyli pospolicie — złotych demokratów, obiérając na kandydata J. Mc. Auleya Palmera z Illinois; stanęli oni w opozycyi do srebrnego stronnictwa, ale także i do polityki celnéj republikanów [2]).

Niepopularność złotéj waluty jest tak wielka, że republikanie nie odrazu zdecydowali się jasno wystawić swoje zamiary pod tym względem i tylko energiczne postawienie się jednego z wpływowych członków jéj—Kohlsaata, redaktora Times-Herald w Chicago—zmusiło do wprowadzenia wyrazu „złoto" do platformy republikańskiéj. Zresztą w pamfletach przez cały czas walki posługiwano się najchętniéj terminem *sound money*, t. j. „dobry czyli cały pieniądz". Na kandydata swego wystawili republikanie Wilhelma Mac-Kinleya. Syn dość zamożnych rodziców, urodzony w r. 1843 w Niles (Ohio), kształcił się w szkole miasta Poland tegoż stanu, następnie zaczął studya uniwersyteckie w kolegium w Maedville (Pensylwania), nie skończywszy ich wszakże z powodu pogorszenia warunków ekonomicznych rodziny, zo-

---

[1]) Trudno dokładnie obliczyć ilość głosów populistycznych wskutek owéj wspólności głównego kandydata i odrębnego sposobu znakowania balotów tu przyjętego. Podają ją wszakże na 245,728 (Bryan i Watson).

[2]) Stronnictwo to złożyło 130,000 głosów na wyborach.

stał nauczycielem. Gdy wybuchła wojna domowa, zaciągnął się w 18 roku życia do wojska i po upływie paru lat doszedł do rangi kapitana. Po skończeniu wojny zajął się studyami i praktyką prawniczą. Pierwsze kroki w zawodzie politycznym rozpoczął w r. 1869; w r. 1876-ym został wybrany do kongresu; w r. 1888 przeprowadził ów niepopularny bil, noszący jego nazwisko, po którym doznał porażki na nowych wyborach. W r. 1891 obrano go na governora stanu Ohio, a w r. 1893 powtórnie.

Jeden z niezliczonych obrazków, któremi zapełniano okna politycznych *haedquarters* (kwater głównych), oraz wystawy sklepów ukazuje Mac Kinleya na estradzie w postaci zajączka cieniowego od stojącego za kulisą i mówiącego „*speech*" Marc-Hanny—rodzaju impresarya stronnictwa republikańskiego. Czy owa karykatura odtwarza rzeczywisty stosunek? Czy Mac-Kinley jest tylko lalką w ręku stronnictwa, biernėm narzędziem ich celów? O tėm trudno dziś coś powiedzieć. Faktem jest, że jego zachowanie się podczas walki wyborczėj było zupełnie bierne. Kiedy Bryan wszystko, rzec można, zdobywał własną energią i wymową, jeździł po całych Stanach, zatrzymując się w miastach i po wsiach, przemawiając to z wagonu, to z peronu kolejowego, a nieraz bywało, że zemdlał ze znużenia podczas mowy; Mac-Kinley siedział cicho w Kantonie, stolicy swego stanu i nawet nie wygłosił większėj mowy, ograniczając się do krótkich odpowiedzi deputacyom, które doń od czasu do czasu napędzał Marc-Hanna — jeden z „tych bosses'ów" politycznych, jakich wydaje tylko Ameryka.

Obok złotėj waluty platforma republikańska kładzie wielki nacisk na „protekcyę i wzajemność", t. j. wysokie cła przywozowe i otwarcie obcych rynków dla wyrobów amerykańskich.

Walka, stoczona pomiędzy dwoma głównemi stronnictwami na ostatnich wyborach, należy do najzaciętszych, jakich nie było już od r. 1872, a interesa w niėj poruszone są niezawodnie głębsze, niż wówczas. Zapamiętałość, podniecona niekiedy przez trwogę ludzi „dobrze myślących" i zamożnych (*well-to-do-men*) przed możliwėm zwycięstwem demokratów, popychała nieraz do najniedorzeczniejszych oskarżeń, a szczególniėj objawiła się w szeregu artykułów powyborowych, okazujących niejako westchnienie ulgi po przebytym strachu, w którėm to westchnieniu człowiek z niezwykłą szczerością wywnętrza całą rozległość zmory, co go tak długo męczyła.

Największą może ze wszystkich szczerością pod tym względem odznacza się artykuł w *North American Review* (z listopada 1896 r.),

jednym z najpoważniejszych miesięczników, reprezentującym obóz ludzi *well-to-do* (*gens de bien*), — artykuł, który ukazał się nazajutrz po zwycięstwie — złożony i wydrukowany w jego przewidywaniu — p. t. *The effect of republican victory* by Hon. T. C. Platt.

„Nie było ważniejszych wyborów w tym kraju, powiada autor, od czasu wojny domowéj. Wybór Mac-Kinleya ułoży wiele rzeczy. Oczyści on powietrze; będzie początkiem nowéj ery w rozwoju tego kraju; nocna zmora populizmu, anarchii, socyalizmu, zostanie wygnaną i nie powróci zamącać snu naszego w przyszłości."

A oto jak artykuł ten odzywa się o obozie przeciwników:

„Horacyusz Greely powiedział niegdyś, że nie jest wprawdzie słusznem, jakoby każdy demokrata miał być koniokradem, lecz że faktem jest niewątpliwym, iż każdy koniokrad jest demokratą. Może być, a niewątpliwie i jest nie mało uczciwych i szczerych, lecz wprowadzonych w błąd ludzi wśród tych, którzy popierają p. Bryana. Lecz jest również prawdą, że p. Bryan liczy wśród zwolenników 99 procent z nieuczciwych ludzi kraju; ludzi, którzy są nieprzyjaciołmi społeczeństwa i nie są zainteresowani w zachowaniu tego kraju jako narodowości, dla których zmiana nie stanowi ujmy, gdyż nie mają nic do stracenia—ani pod względem charakteru, ani pod względem bogactw. Słowem, p. Bryana popiéra z jawną jednomyślnością wszystko, co jest występnego i spodlonego wśród naszéj narodowości."

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że za Bryanem złożono przeszło $6^1/_2$ milionów głosów [1]) na 14 milionów głosujących, to nasuwa się pytanie, czy nie za wielki procent „motłochu" przypada na Stany Zjednoczone według obliczeń autora—świeżo obranego członka kongresu.

Skoro w takim tonie przemawiają artykuły poważnych pism i to po ukończonéj walce, możemy łatwo wystawić sobie, co mówiono i pisano podczas saméj agitacyi. Wzajemnym oskarżeniom i przepowiedniom groźnym na wypadek zwycięstwa przeciwników nie było granic.

Może téż nie od rzeczy będzie zatrzymać się przez chwilę nad owemi środkami agitacyi; na czém one polegają?

Wszystko, co tylko może przemówić do wyobraźni, przekonania lub interesu, zaczynając od znaczków z portretami kandydatów przyczepianych do klap surduta, szpilek, kokard i t. p., a kończąc na olbrzymich transparentach, zawieszonych na wysokości 5 — 10 pięter w środku ulicy; zaczynając od artykułów w gazetach, kończąc na obrazkach, broszurach i całych książkach fabrykowanych i rozchwytywa-

---

1) 6,287,352 demokratycznych i 245,728 populistycznych.

nych z niezwykłą szybkością; zaczynając od mów na rogach ulic, wygłaszanych pod latarnią przez improwizowanych mówców o wieczornéj porze, gdy liczni pracownicy wracają z zajęć lub wychodzą odświeżyć się po upale dziennym, a kończąc na olbrzymich zebraniach z przepychem urządzonych w największych teatrach, jak np. *Madison-Square-Garden* w N. Yorku, mieszczącym 15,000 osób, *Auditoryum* lub *Music Hall* w Chicago o 5 — 6 tysiącach siedzeń i t. p. Wszystko to służy potrzebom walki wyborczéj. Meetingi polityczne w Ameryce są urządzane ze szczególną umiejętnością. Gdy głośny mówca, jak np. Bryan lub jeden z najsłynniejszych jego przeciwników „złoty" demokrata Cocran przemawia w jednym z tych olbrzymich gmachów, drugie tyle ludzi, co wewnątrz mieści się na zewnątrz, a tych zajmują drugorzędni mówcy, stający na stopniach karet, słupkach ulicznych i t. p. Zebranie otwiéra się i zamyka muzyką i śpiewem, jak wszystkie większe meetingi w tym kraju, przyczém zwykle wykonywają jakąś skomponowaną *ad hoc* na cześć srebra lub złota kantatę [1]).

Całe miasta zapełniają się rozmaitemi t. zw. *haedquarters* partyi, z których po jednéj co najmniéj przypada na *wardę*, t. j. najmniejszy okręg wyborczy. Najmuje się w tym celu jakiś próżny sklep lub halę przy „saloonie" (szynku), którą ozdabiają sztandarami narodowemi, portretami członków wybitnych swego stronnictwa i t. d. W takich *haedquarters* odbywają się zebrania i przemówienia podrzędnych mów-

---

[1]) Dla przykładu pozwolę sobie przytoczyć tu strofę jednego z takich „hymnów wyborczych":

I.

Cast your vote for silver, boys, with Bryan ou before,
Wall street and Old-England, boys, will trouble usuomore,
Shout your triumph o'er the land, from easth vester shore,
Bearing the banner of free silver.

Chór:

Hurrah! Hurrah! We'll vote for Bryan, sure
Hurrah! Hurrah! We wont our money pure,
So we'll vote for silver, boys, and favour all the poor
Baering the banner of free silver.

to znaczy: Rzućcie, chłopcy, wasze głosy za srebrem, z Bryanem na czele; Wall-street (ulica, gdzie znajduje się giełda i większa część banków w N. Yorku) i stara Anglia nie będą męczyć nas więcéj; wygłośmy nasz tryumf przez cały kraj od wschodniego do zachodniego brzegu, niosąc sztandar wolnego srebra. *Chór:* Hurra, hurra! będziemy głosować za Bryanem, z pewnością; Hurra, hurra, chcemy mieć pieniądz czysty, więc podamy głosy za srebrem, chłopcy, i wesprzemy wszystkich ubogich, niosąc sztandar wolnego srebra.

ców co wieczór; większe kwatery główne znajdują się w każdym dystrykcie; tu już ruch trwa przez cały dzień: odbywa się tu rozdawnictwo broszur, wyrabianie bezpłatne papiérów obywatelskich dla tych, którzy po 5-cioletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych zyskują poraz pierwszy prawo głosowania razem z obywatelstwem i cały szereg innych czynności administracyjnych, a wieczorami—od czasu do czasu mowy na większą skalę głośniejszych oratorów. Przemawiają tu przyszli i obecni członkowie kongresu, senatorowie, governerowie stanu, a wyborcy, chcąc okazać swoje zadowolenia klepią po ramieniu przechodzących na estradę przyszłych kongresmenów lub senatorów, governerów lub prezydentów, lub witają ich hałasem złożonym z oklasków, wycia i gwizdania, które wcale nie jest znakiem potępienia.

Środkiem agitacyi zarówno ostentacyjnym, jak kosztownym, są t. zw. parady czyli pochody po ulicach z muzyką na czele i rozmaitemi godłami stronnictwa. Srebrni występowali zwykle w szarych kapeluszach ze srebrnym galonem; złoci—w żółto-złocistych kapeluszach i takichże płaszczach. Obok tego niosą rozmaite emblemata: olbrzymie srebrne lub złote dolary na laskach, napisy, portrety i t. d. Specyalny handel uliczny rozmaitemi znaczkami rozkwita na wielką skalę podczas kampanii. Hasłem zwykle wystawianém jest z jednéj strony *Mac Kinley and prosperity* (pomyślność), z drugiéj — *Bryan and humanity* (ludzkość).

Parady takie bywają niekiedy imponujących wymiarów. Największą była urządzona przez stronnictwo złote w Chicago w t. zw. *Chicagoday*, t. j. rocznicę wielkiego pożaru w tém mieście. Dzień ten (9 października) obchodzi się zwykle z wielką ostentacyą: szeregi olbrzymich wozów, przedstawiających emblemata rozmaitych gałęzi przemysłu, przesuwają się po ulicy w otoczeniu pracujących w tych gałęziach ludzi, pod przewodnictwem licznych orkiestr. W roku zeszłym pochód ten, urządzony z niezwykłą ostentacyą, połączony był z paradą „złotych"; na niezliczonych olbrzymich wozach przesuwały się przed zebranym w businesowéj części miasta tłumem widzów rozmaite żywe wyobrażenia, urządzone z wielkim efektem: ruiny spalonego miasta, emblematyczne przedstawienie odradzającego się przemysłu, piece do wytapiania żelaza, walcownie, fabryki maszyn, czcionek, powrozów—słowem, wszystkie gałęzie przemysłu, a za każdym z tych wozów snuły się korporacye odpowiednie z rozmaitemi godłami. Procesya obejmowała do 150 tysięcy ludzi i ciągnęła się olbrzymim wężem, potrzebując 6 godzin lub więcéj na przebycie koło jednego punktu.

Niezliczeni mówcy snują się w tym czasie po wsiach, zbiérają ludzi, przemawiają, agitują, rzucają pieniądze, gdzie potrzeba.

Agitacya staje się coraz energiczniejszą, coraz burzliwszą i hałaśliwszą w miarę zbliżania się dnia wyborów; każde stronnictwo ocenia problematyczne szanse w téj lub owéj miejscowości, posyła mówców i skupia największe siły działania na miejscowości wątpliwe, pozostawiając przeciwnikowi te, w których samo nie spodziewa się zwyciężyć.

Następuje wreszcie dzień 3 listopada. Cisza uroczysta zalega ulice; gdzie niegdzie tylko wiszą duże plakaty, z których jedne przypominają wyborcom o ich obowiązku i prawie, drugie — podpisane przez komitet demokratyczny przyrzekają znaczne nagrody za ujawnienie jakichkolwiek nadużyć lub przekupstwa przy głosowaniu – sposób często tu praktykowany. Bo od chwili, gdy wyborca wstąpił do *poll*'u, t. j. miejsca, gdzie ma składać swój głos, wszelka próba oddziałania na swobodę wyboru jego staje się przestępstwem.

Takich *poll*'ów jest tyle, ile *ward*; czasem jest to próżny sklep, czasem sklep cyrulika lub apteka, w której ustawiają na ten dzień urnę.

W Chicago *polle* są otwarte od 6-éj zrana, a punktualniejsi z obywateli starają się jak najwcześniéj załatwić swój obowiązek. Samo urządzenia *pollu* jest takie, że usuwa prawie wszelką możność skontrolowania, kto za kim podał głos. Chcąc się przyjrzéć procedurze głosowania wstąpiłem do jednego z nich.

Dokoła stołu siedziało kilku wybranych w tym celu sędziów; jeden ma drukowaną listę wyborców swojéj *wardy* i sprawdza przedewszystkiém, czy nazwisko przybywającego znajduje się na niéj, każdy bowiem, kto ma prawo głosu czyli jest obywatelem Stanów Zjednoczonych, musiał złożyć dowody tego w pewne oznaczone przed wyborami dni, poczém imię jego wciągano do listy wyborców. Papiéry te otrzymują się na podstawie zeznania świadków o 5-letnim pobycie w tym kraju. Drugi z sędziów notuje nazwisko przybywającego; trzeci daje mu drukowany „balot”, t. j. arkusz, na którym wydrukowane są w rzędach nazwiska kandydatów na prezydenta, wiceprezydenta i członków kongresu rozmaitych partyi, obok białéj szpalty dla kandydatów niezależnych. Z listą tą udaje się wyborca do jednéj z kilku przedziałek oddzielonych firankami i zupełnie odosobnionych i tam przez nikogo nie widziany, rozwija swój balot i stawia krzyżyki przed nazwiskami wybranych kandydatów. Może on przyjąć cały „ticket” pewnego stronnictwa przez umieszczenie krzyża w kółku na jego czele, lub też wybrać z każdego rzędu tych, których sobie życzy, stawiając krzyże w oznaczonych miejscach przed każdém nazwiskiem, albo wreszcie dodać swoich, wpisując ich na białéj szpalcie.

Skończywszy te czynności, wyborca wychodzi z kryjówki i oddaje złożony balot trzeciemu sędziemu, który, postawiwszy na nim numer, opuszcza go natychmiast do opieczętowanéj skrzynki.

W ten sposób wszystkie środki są przedsięwzięte, aby głosowanie było rzeczywiście wolne i tajne.

Brak służalstwa, cechujący wogóle zwyczaje i formy, nieco szorstkie, amerykanów, zupełne poczucie równości i godności obywatelskiéj, ujawnia się może najwięcéj u urny wyborczéj. Przyszły prezydent lub obecny governor przychodzi tak samo, jak inni, do swego *pollu*, staje w szeregu czekając na koléj, podaje uchylając kapelusza [1]) swoje nazwisko improwizowanemu sędziemu, który może być, jak u nas mówi się, „jego" szewcem lub furmanem, słowem, pełni wszystkie czynności tak, jak każdy inny śmiertelnik, nie wykazując najmniejszéj pretensyi do tego, by go „znano" lub ustępowano mu miejsca; to ostatnie dobrze wychowany amerykanin uczyni zawsze dla kobiéty, ale nigdy wobec jakiegokolwiek urzędnika państwowego, chociażby prezydenta.

Do 11-éj godziny większość wotów była złożona, o 4-éj *polle* zamknięte, a od 6-éj już zaczęły przychodzić z rozmaitych miast hrabstw i stanów wieści o wynikach wyborów.

Miasto dotąd ciche i spokojne zaczyna się o téj porze ożywiać, niezliczone tramwaje i koleje, które zwykle w tym czasie przepełnione są w kierunku od przemysłowego centrum miasta do zaludnionych obwodów, w dzień ten wykazują ruch odwrotny. Wszystko, co żyje, dąży wgłąb miasta (*down town*, jak tu się mówi). Po ulicach snują się gromadki dzieci z trąbkami blaszanemi (których setki tysięcy sporządza się umyślnie na ten dzień), sprawiając niemi hałas i wykrzykując *hurra!* na cześć swego kandydata — namiętność polityczna bowiem ogarnia w tym dniu dzieci od 8 lat. Na bocznych ulicach zapalają stosy z próżnych beczek, skrzyń i t. d. — zwykły w Ameryce sposób objawiania nastroju świątecznego.

W miarę, jak zbliżamy się ku miastu, tłumy stają się coraz liczniejsze, a hałas trudniejszy do zniesienia. Wreszcie przekroczywszy jeden z mostów przez rzekę, oddzielającą biurowo-przemysłową część miasta, znajdujemy się wśród tłumu, ścisku i hałasu nie do opisania.

Przed każdą z redakcyi na ogromnych płachtach płóciennych rzucane są za pomocą stereoptykonu co chwila nadchodzące *elections-returns*, odbierane własnemi przyrządami telegraficznemi jeszcze wilgotne od atramentu. „Miasto NN. Mac-Kinley — tyle; Bryan — tyle;

---

1) Żaden amerykanin nie zdejmuje kapelusza, wchodząc do jakiegokolwiek biura.

„hrabstwo X. — demokraci tyle, republikanie tyle" — każdy z takich napisów wywołuje ze strony zwartego tłumu, cisnącego się przed afiszami, nie dające się opisać wycie, na cześć tego lub owego kandydata, stosownie do tego, czyje szanse idą w górę. Gdy chwilowo zabraknie wieści, ukazuje się na płótnie portret jednego z ulubieńców tłumu, jakiś obrazek symboliczny, widok „białego domu", a wszystko to wywołuje stosowne oznaki zadowolenia, do których zalicza się i tak niemiłe dla ucha europejskiego gwizdanie, mające tu wręcz odwrotne znaczenie.

Posuwając się daléj, przedarłszy się z wielkim trudem i niebezpieczeństwem pozostawienia w tłumie swojéj odzieży, znajdujemy ulice zapełnione snującemi się gromadkami ludzi i prawie wszyscy, panie i panowie, starcy i panny uzbrojeni są w trąbki mniejsze lub większe, w grzechotki, klekotki, nawet dzwonki — słowem, we wszelkie narzędzia sprawiające hałas. Niektórzy mają ogromne tuby z tektury, przez które wydają chóralne wykrzyki. Inni są ucharakteryzowani lub noszą na kapeluszach kartki z napisami w rodzaju: „*I told you so!*" (mówiłem, iż tak będzie) i innemi, przypominającemi jasnością orzeczenia delfickie.

Ze szczytów kilkunastupiętrowych „drapaczy nieba", wzbijają się race, rozpryskujące się z hukiem i blaskiem różnobarwnych ogni na pochmurném niebie; hałas wciąż wzrasta, wieści przybywają coraz częściéj i podają rezultaty coraz bardziéj skoncentrowane. Coraz więcéj pewności zdobywają republikanie; z ich kwater głównych występują pochody z latarniami, pochodniami, napisami i grzechotkami. Ruch i wrzawa trwa do 3-éj w nocy, gdy dochodzą ostatnie wieści z niezliczonych pól walki na głosy.

Żaden prawowierny amerykanin nie spędza tego wieczora w domu, chyba że go choroba przykuje do łóżka.

Nazajutrz wszystkie pisma republikańskie śpieszą się z ogłoszeniem Mac-Kinleya — „prezydentem-elektem", bo, jak wiadomo, głosy wrzucone w urnę wyborczą stanowią dopiéro o wyborze elektorów, których każdy stan wybiéra w liczbie równéj sumie wysyłanych przezeń senatorów i posłów do kongresu. Ci dopiéro w drugą niedzielę stycznia podają swoje głosy za odpowiednimi kandydatami, a w kwietniu nowy prezydent obejmuje urząd. Gazety demokratyczne podają jeszcze w wątpliwość wyniki cyfrowe, czekają ściślejszych dat, sprawdzających je. Ale następne dni usuwają wszelkie wątpliwości.

Republikanie, którzy przed wyborami używali wszelkich środków, ażeby zastraszyć słabsze umysły możliwemi wynikami zwycięstwa demokratów—tak np. w wielu fabrykach i biurach, wypłacając w so-

botę przed wyborami tygodniową pensyę swoim urzędnikom, powiedziano im, żeby przychodzili dopiéro po wyborach (które wypadły we wtorek) i tylko w tym wypadku, gdy zwyciężą republikanie [1]), którzy przedstawili Mac-Kinleya, jako niosącego złoty klucz do zamkniętych drzwi „świątyni dobrobytu”, a „kapitał i pracę” w podskokach podążających za nim—teraz przecięli owe drzwi na obrazku, a chcąc jakąś szopką usprawiedliwić swoje przepowiednie, połączyli drutem telegraficznym maszyny jednéj z zatrzymanych przed trzema dniami fabryk, z mieszkaniem Mac-Kinleya, aby dać mu możność nacisnąć guzik, wprawiający je w ruch i w ten sposób uzmysłowić niby erę rozpoczynającego się dobrobytu. Ale czasy stają się coraz cięższe, fabryki zamykają się w ciągu jednego miesiąca, po wyborach bankrutuje 16 banków, mnóstwo ludzi zostaje bez roboty, nędza i głód pobudza nawet tak obojętne na biédę ogółu towarzystwo, jak tutejsze, do otwiérania kuchni bezpłatnych, rozdawnictwa węgla, odzienia...

Zatrzymajmyż się teraz przez chwilę nad tém, co wróży dla kraju tego zwycięstwo republikanów, a przedewszystkiém przysłuchajmy się głosom poważniejszych pism w tym przedmiocie, które oświetlą nam zarazem pewne ciekawe strony walki.

Owo rozprężenie, co nastąpiło po wytężeniach walki i oczekiwania, wylało się, jak wspominałem, w licznych głosach republikańskich, z których najpierwsze wyrażały męki przebytego strachu i tryumf zwycięstwa, następujące — ostrzeżenia przeciw zbyt pośpiesznéj radości, rady i plany na przyszłość, a wszystkie rzucone tu głosy charakterystycznie oświetlają ważność momentu, jaki przebywają obecnie Stany Zjednoczone Ameryki.

Pisarze i myśliciele amerykańscy, zaślepieni szybkim wzrostem kraju, widocznym rozwojem bogactw i pozorami dobrobytu, łudzili się przez długi czas, że kraj ich uniknie tych wstrząśnień i niebezpieczeństw, jakie przebywa Europa pod nazwą kwestyi socyalnéj. Wiel-

---

[1]) Uważałem, że to zastraszanie zarówno, jak i druga groźba: że w razie zwycięstwa „srebrnych”, wszyscy bankierzy pochowają swoje kapitały i nie będzie wcale pieniędzy w obiegu, oddziaływały dosyć energicznie na umysły wielu wyborców, zwłaszcza w tak niesłychanie trudnych czasach, jak dzisiejsze. Nie potrzeba być oczywiście ani politykiem, ani ekonomistą, iżby rozumiéć, że te pogróżki nie mają w sobie za grosz sensu; że ci, którzy żyją tylko dla zysków, nie poświęciliby ani jednego dnia procentującego dla jakiéjś urojonéj zemsty, nie mówiąc o tém, iż tego-by uczynić nie mogli.

biciele instytucyi amerykańskich, jak Webster, wystawiali głównie dwie przyczyny, które miały stać się tarczą ochronną przeciwko krzywdzie społecznéj i wynikającym z niéj niebezpieczeństwom, a zabezpieczać trwałość tych instytucyi; mianowicie przypuszczano najprzód, iż instytucye te sprzyjają równemu rozkładowi bogactw, powtóre wierzono w powszechność oświaty, jako panaceum na nauki przeciwne obecnemu kierunkowi w rozwoju społeczeństwa.

Co do pierwszych, może nie omyliliby się ci myśliciele, jak nie mylili się twórcy konstytucyi, gdyby przemysł był pozostawał na tym indywidualnie rzemieślniczym stopniu, jak w czasach, gdy układała się konstytucya. Szybki wszakże przewrot w gospodarce XIX w., spowodowany przez zaprowadzenie maszyn, a wywołane przez nie skoncentrowanie produkcyi i rozwój kapitalizmu sprawiły, iż instytucye stworzone w myśl równomiernego rozkładu bogactw w społeczeństwie stały się przeciwnie czynnikiem sprzyjającym niezmiernie szybkiemu rozdzieleniu się tego społeczeństwa na dwie klasy ludzi, biorących udział w produkcyi: z jednéj strony nielicznych wielokrotnych milionerów, z drugiéj — tłumu ludzi, pozbawionych innych środków istnienia prócz pracy dla tych milionerów, a więc mniéj lub więcéj ciężkiéj formy zależności od nich.

Oświata zaś amerykańska, pomijając już fakt, który przyznają i pisarze tutejsi (np. David Mac Gregor Means [1]), że przy bardzo szczupłéj wiedzy nie daje ona wcale wychowania, najmniéj jest przysposobiona do tego, aby zwalczać atomizm społeczny. Przeciwnie, nigdzie zasada laski marszałkowskiéj, ukrytéj w tornistrze każdego żołnierza, nie jest tak bezwzględnie wzięta za podstawę, jak w szkole amerykańskiéj. Dosyć jest przejrzéć wypisy, któremi się tu posługują, posłuchać nauczycieli, aby przekonać się o tém; życiorycy ludzi *self-made*, którzy z chłopców sprzedających gazety wychodzą na milionerów, *businesmenów* na wielką skalę senatorów i prezydentów, spotykają się tu na każdym kroku; żaden z historyków nie ominie sposobności nadmienienia np. że Linkoln, mając 16 lat, był robotnikiem na promie i zarabiał po 6 dolarów na miesiąc, słowem — wszystko w szkole, jak i w życiu, usiłuje zaszczepić ów niezdrowy typ indywidualizmu, który każe widzieć w społeczeństwie tylko podnóżek dla wzniesienia się jednostki, a polega na arytmetyczném złudzeniu, obalającém wszelkie podstawy

---

[1]) *Will government by the people endure?* w *Forum*, grudzień, 1896 r. Sam tytuł tego artykułu podaje w wątpliwość i skuteczność instytucyi demokratycznych. Na pytanie autora śmiało można odpowiedziéć: „Nie. jeżeli podstawy ustroju społecznego nie ulegną zmianie.“

rachunku prawdopodobieństwa, jakiemu ulega osoba, biorąca bilet na loteryę i wewnętrznie przekonana, że ona to będzie właśnie owym wybrańcem z milionów, na które spadnie wielki los.

Teraźniejszość zaprzecza więc w sposób najbardziej rażący optymistycznym przepowiedniom zakochanych w swoim kraju patryotów. Wymieniony już autor artykułu w republikańskiém *Forum*, tak się odzywa o wyborach ostatnich:

„Gdy spojrzymy na ogromną liczbę wyborców, którzy rozmyślnie podali głosy za Bryanem, gdy się zastanowimy, iż bez pieniędzy, bez flag, parad lub procesyi, porzuceni przez swoich przywódców, pozbawieni najwybitniejszych mówców [1]), pogardzeni przez inteligencyę kraju [2]) skromni zwolennicy Bryana, okazali siłę 77,000 głosów w takim mieście, jak Brooklin — o 5,000 więcéj, niż złożono za ostatnim kandydatem demokratycznym na burmistrza, nie możemy spoglądać w przyszłość ze spokojem i zaufaniem."

W tym samym zeszycie *Forum* znajdujemy artykuł Andrew D. White p. t. *Some practical lessons of the recent campaign*, który zaczyna się od słów: „Każdy, kto w jakimkolwiekbądź celu myśli o sprawach publicznych, nie mógł nie dostrzedz, że kraj nasz uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, największego może ze wszystkich, na jakie był dotąd narażany, a drugiego z szeregu, w którym obłęd greenbeków był pierwszym.

Zwycięstwo odniesione, twierdzi daléj autor, wkłada na zwycięzców obowiązki, a ogrom głosów przeciwnych ostrzega o nagłości ich spełnienia; obowiązkami temi są: sprawiedliwość w prawodawstwie —powołuje się przytém na słynne dzieło Toqueville'a (*L'ancien régime*) wskazujące poczucie niesprawiedliwości jako główne źródło rewolucyi—szerzenie oświaty, ofiarność bogaczy na cele publiczne (ma to być niejako ofiarą okupującą w oczach boga-demos ich dziejową winę); potępia surowo ostentacyjność zbytku, rozpisywanie w gazetach szczegółów niezmiernie kosztownych tualet, przyjęć, innych objawów rozrzutności, a temu bezmyślnemu trwonieniu bogactw przeciwstawia działanie takich ludzi jak Cooper, Cornel i Hopkins, którzy doszedłszy do

---

[1]) Mowa tu o secesyonistach — „złotych demokratach"; do tych należał i Cakran, najgłośniejszy mówca tego obozu, główny przeciwnik Bryana na trybunie ludowéj.

[2]) Cała niemal prasa, jak wspominałem, stanęła w obronie złotego dolara; z miesięczników poważniejszych zdaje się, iż jeden tylko („Arena") stanął otwarcie po stronie srebra; inne umieszczały artykuły jednego i drugiego stronnictwa, zachowując pozorną neutralność.

wielkich bogactw, poczuwali się do obowiązku ofiarowania znacznéj ich części na cele publiczne: uniwersytety, szkoły i t. d.

Najcharakterystyczniejszym wszakże w tym względzie jest głos człowieka, który z Europy przywiózł cały zasób przesądów i obskurantyzmu społecznego, obcego rodowitym amerykanom i z tego punktu widzenia ocenił walkę stoczoną. Goldwin Smith w artykule *The Brewing on the Storm* [1]) (zbliżanie się burzy) powiada: „Żadne wstrząśnienie wewnętrzne w dziejach Ameryki, nawet tryumf Jacksona [2]) nie dorównywa doniosłości opanowania jednéj z dwóch wielkich organizacyi, na które dzieli się naród, przez siły rewolucyi politycznéj i społecznéj. Bądź co bądź—ogromna ilość głosów padła na Bryana."

„Postacie pp. Tellera i Tillmanna, ciągnie autor daléj, a nawet samego p. Bryana są amerykańskie... Postać governora Altgelda [3]) jest nowa dla amerykanów... Cechuje ona wprowadzenie do polityki amerykańskiéj owego europejskiego ducha rewolucyi politycznéj i społecznéj — z przeważném dążeniem ku przeobrażeniom społecznym — którego socyalizm jest krańcowym, anarchizm zaś chorobliwym objawem."

Artykuł ten wogóle możemy uważać za typowy objaw myśli krańcowo republikańskiéj, któréj dążeniem jest coraz to dalsze zmodyfikowanie konstytucyi w duchu jednolitości państwowéj i plutokracyi opartéj na bagnetach. Nie mniéj zawiera on wiele trafnych uwag co do przyczyn obecnego stanu. Wykazawszy niesłuszność przepowiedni Macaulay'a, który twierdził iż niebezpieczeństwo społeczne zacznie się dla Ameryki z chwilą gdy cała ziemia jéj zostanie zajęta, powiada autor: „Było by to większém zbliżeniem do przepowiedni, gdybyśmy powiedzieli, że kryzys nastąpi wtedy, gdy wskutek zasadniczych zmian w społeczeństwie, instytucye utracą w znacznym stopniu swoje do niego przystosowanie. Instytucye te były stworzone dla społeczeństwa farmerów i drobnych kupców, dziś zastosowane są do narodu, obejmującego z jednéj strony gromadę wielkich kapitalistów, urzędników, spekulantów i przedsiębiorców na wielką skalę, z drugiéj—masy ro-

---

[1]) *Forum* Dec. 1896.

[2]) t. j. skasowania monopolu bankowego.

[3]) Altgeld—jeden z najwybitniejszych przywódców demokratycznych, był do stycznia b. r. governorem stanu Illinois. Stanowisko to jest równoznaczne prawie z prezydentem niezależnéj rzeczypospolitéj. Nienawiść republikanów ściągnęła na siebie ta wysoce popularna i lubiana przez lud osobistość głównie tém, że ułaskawił dwóch niesłusznie skazanych na śmierć redaktorów pism anarchistycznych, których w braku rzeczywistych winowajców wybuchu dynamitowego podczas zaburzeń chicagoskich, wybrano jako ofiary.

robotnikow, górników i wszelkiego rodzaju najemników. Utworzone były dla Anglików lub ludzi zbliżonego do nich charakteru, dziś służą imigracyi obcéj ideom angielskim i szeroko napojonéj goryczą społeczną i uczuciami rewolucyjnemi swojéj klasy w Europie. Utworzone były dla wstrzemięźliwych purytanów Nowéj Anglii lub dla plantatorów, odpowiadających angielskim *squire*'om; dziś zastosowane są do dalekiego od politycznéj wstrzemięźliwości, oraz od squirowskiéj archaiczności, Zachodu."

Dawna szkoła, powiada daléj autor, uczyła, iż szczęście polega na pełnieniu obowiązków tego stanowiska, do jakiego nas powołał Bóg. Dzisiejsza, praktycznie jeśli nie formalnie, uczy zgodnie z poczuciem ogólném, że szczęście polega na wzniesieniu ponad to stanowisko. Wreszcie jako jednę z przyczyn wywołujących panujące usposobienie umysłów, wskazuje nadużycie bogactw przez ich posiadaczy: „Bogactwo nie może dłużéj polegać na niepoddającéj się w wątpliwość wierze w naturalne jego prawa. Powinno uzasadnić swoje istnienie w sposób racyonalny... Powinno zostawać na swém stanowisku obowiązku społecznego... Przeprowadziwszy daléj porównanie pomiędzy arystokracyą francuską z XVIII w. a plutokracyą amerykańską dodaje: Amerykańscy plutokraci, porzucający swoje stanowiska obowiązku społecznego dla przyjemnych wycieczek do rozkosznych miast Europy, nie będą mieli prawa skarżyć się, gdy pewnego pięknego poranku znajdą swoje *châteaux* spalone. I oto wyłuszczywszy tak pięknie źródła obecnego położenia, oddany na usługi republikanom europejczyk, kończy czysto europejską radą: zaprowadzenia stałéj armii!.. Bo, powiada, milicya, biorąca udział w partyach i walkach społecznych może strzelać za wcześnie lub wcale nie; „żołnierz stały strzela, gdy mu każą."

Posłuchajmy teraz rzeczników wolnego srebra i Bryana:

Profesor Frank Parsons tak się odzywa o ostatniéj walce wyborczéj, w przededniu jéj ukończenia [1]): „Istotne znaczenie téj walki tkwi nierównie głębiéj niż kwestya jednego lub dwu metali. Występuje tu lud przeciwko dolarowi, ludzie przeciwko pieniądzom, dobro publiczne przeciwko przywilejowi nagromadzania bogactw, wytworzonych przez innych. Zagadnieniem żywotném jest to: czy mamy utworzyć rząd z ludzi prowadzących w dalszym ciągu politykę prawodawczą na korzyść wypożyczaczy pieniędzy, banków *trustów*, kombinacyi, korporacyi i syndykatów, czyli też z ludzi przeciwnych wszelkim specyalnym

[1]) *The issue of 1896*, w miesięczniku „Arena" listopad 1896.

przywilejom, ludzi, którzy chcą rozpocząć politykę prawodawczą na korzyść ludu, politykę sprzyjającą raczéj wytwórcom bogactw niż tym którzy je nagromadzają, politykę sprzyjającą więcéj produkcyi i sprawiedliwemu podziałowi dóbr pomiędzy całym narodem, niż nagromadzeniu milionów w rękach nielicznych uprzywilejowanych."

W tém samém piśmie znajdujemy niewielki artykuł redaktora B. O. Flowera p. t. *Four epochs in the history of our Republic.* Cztery epoki te są następujące:

1. Tyrania obcéj potęgi czyli opodatkowanie bez reprezentacyi [1]).

2. Tyrania potęgi pieniężnéj, czyli zgubny wpływ banku narodowego na politykę amerykańską.

3. Walka narodu nawpół niewolniczego, nawpół wolnego [2]) czyli niewolnictwo rasy afrykańskiéj.

4. Wściekła walka plutokracyi, opancerzonéj przywilejami wyłącznemi, przeciwko wytwórcom bogactw, czyli despotyzm nabytych bogactw nad masami, które je wytwarzają.

Wszyscy więc zgodnie uznają chwilę obecną za epokową w dziejach Stanów Zjednoczonych, wszyscy mniéj więcéj jednako rozumieją, co tkwi w głębi owego pozornie tak dalekiego od zasad politycznych i społecznych sporu o mono- lub bimetalizm; sympatye jednych leżą po jednéj, drugich — po drugiéj, ale granica sporna jasna jest dla wszystkich.

A jak smutne wrażenie sprawia widok tych zatargów na ludzi, którzy nie interes stronnictwa, ale dobro kraju mają na względzie, przekonać mogą następujące słowa autora artykułu w *North-American Review* [3]) o rządzie przez partye:

Wytknąwszy grzechy i zbrodnie każdego ze stronnictw przeciwko krajowi w przeszłości, taki wysnuwa wniosek: Mówiąc krótko, rzadko jakiś wybitniejszy akt prezydenta lub kongresu wydany bywa bez oglądania się na jego skutki dla interesów stronnictwa. Jeśli stanowi „dobrą politykę" zostaje wykonany, jeśli „złą" — odrzucony, bez względu

---

[1]) Konstytucyjną podstawą, dla któréj kolonie amerykańskie odmawiały płacenia narzucanych przez Anglię podatków, co jak wiadomo doprowadziło do wojny rewolucyjnéj i utworzenia Stanów Zjednoczonych, było to, że kolonie te nie miały reprezentacyi w parlamencie angielskim. Zasada ta najzupełniéj trafiała do przekonania każdego nieuprzedzonego Anglika; dlatego też whigowie w Anglii popierali protest kolonistów.

[2]) Słynne orzeczenie Linkolna w jego przemówieniu na konwencyi republikańskiéj w Springfield Illinois.

[3]) George E. Waring. *Government by Party*, December.

na to jakie są jego następstwa dla rzeczywistych interesów kraju..." Nominacye robią się z góry, zwykle na podstawach handlowych przez przywódców małéj kliki, która „stanowi państwo."

„Jeśli możliwą jest rzeczą mieć mechanizm partyjny, który by nie działał wbrew najważniejszym interesom narodu, mechanizm ten nie został dotąd wynaleziony, powiada daléj. Co nas dotąd ratowało, to wyrobione nawyknienie przyjmowania wyników wyborów jako rzeczy nie podlegającéj kwestyi. Jakkolwiek zły jest ten wynik, wiemy że gorszy byłby skutek powstania przeciwko niemu.

Jednym z najważniejszych wyników walki obecnéj było odmłodzenie partyi demokratycznéj, przyjęcie przez nią haseł żywotnych. Gdy republikanizm po krótkiéj fazie życia ideowego i walki w imię praw człowieka, już od wyboru Granta stał się narzędziem plutokracyi [1]), wytknięta została demokracyi, jako partyi przeciwnéj, jako stronnictwu ludowemu, droga wprost przeciwna. Ale zdemoralizowana obroną niewolnictwa, zaprzątnięta na początku drobiazgową walką przeciwko prawu wyborczemu murzynów, późniéj ślepo trzymając się dawnych haseł, przez długi czas nie mogła wstąpić na tę drogę. Rok 1896 zostanie na zawsze pamiętnym w dziejach tego kraju jako punkt zwrotny, chwila, w któréj zasady polityczne, na jakich dotąd opiérała się przeciwstawność dwóch głównych obozów jego, ustępują na drugi plan wobec kwestyi społecznych.

Nowe hasła zbyt późno były przyjęte, zbyt mało zostawało czasu na ich rozpowszechnienie a nawet wyjaśnienie wszystkich następstw dla samych przywódców. „Walka przedwyborcza, powiada Bryan [2]), była zbyt krótka, aby wyjaśnić ludowi ważną prawdę, że w kwestyi monetarnéj interes klas posiadających pieniądze nie jest identyczny z interesem produkujących bogactwa"... Charakterystycznym jest pod tym względem geograficzny rozkład głosów za obu głównymi kandydatami. Jeśli poprowadzimy linię przez zachodnie i południowe granice stanów: Dakoty Północnéj, Minesoty, Jowy, Illinois, Kentucky, West-Virginia i Mary-Land, to wszystkie stany, leżące na wschód i północ od téj linii (a więc i tylko co wymienione) dały większość re-

---

[1]) *Has the election sekled the money question?* by Will J. Bryan w *North-American Review* 1896, XII.

[2]) Linkoln, ten najznakomitszy mąż ze świetnego okresu partyi republikańskiéj, przewidywał narodzenie się plutokracyi i obawiał się jéj następstw dla kraju.

publikańską; wszystkie leżące na zachód i południe, prócz Kalifornii i Oregonu miały większość demokratyczną [1]). To znaczy, że w przemysłowéj części kraju oraz tam, gdzie są wielkie miasta (Kalifornię przeważyło St. Francisco), republikanie mieli jeszcze większość. Mimo jednak słabe środki agitacyjne ze strony demokratów, mimo krótkość czasu, złożyło to stronnictwo (łącznie z populistami) 6½ milionów głosów przeciwko 7,100,000 republikańskich, a głosy te tak były ugrupowane, że brakowało tylko 2,500 głosów odpowiednio rozmieszczonych w stanach środkowych, aby dać zwycięstwo Bryanowi.

Czy dalsza agitacya, którą demokraci prowadzą już od chwili ukończenia walki wyborczéj, przyniesie im większość w przyszłości? Przyszłość to pokaże. W każdym razie powodzenie tego stronnictwa będzie zależało od szczerego przejęcia się interesami ludu, od ściślejszego zlania się ze stronnictwem ludowém, którego hasła tylko częściowo przyjęli dziś demokraci.

Samo wszakże stronnictwo ludowe jest tylko pierwszym krokiem ku postępowi w tym kierunku. Populizm był próbą organizacyjną, nie zaś programatem odrodzenia. Ogłosił on walkę z plutokracyą i połączył wrogie jéj żywioły, ale nie wystawił ideałów przyszłości, w imię których to ma walczyć.

Instytucye polityczne Ameryki, które przez tak długi czas budziły słuszny podziw całego świata, które tak znakomicie sprzyjały rozwojowi wolności i równości obywatelskiéj, okazały się bezsilnemi przeciw rozwojowi plutokracyi i despotyzmu ekonomicznego garstki, która potrafiła owładnąć machiną państwową i uczynić z niéj swoje narzędzie, a nie tylko okazały się bezsilne, ale były jéj pomocne, wytwarzając rząd stronnictw.

Nie wynika stąd wszakże, iżby Ameryka miała koniecznie cofać się wstecz, brać przykład z Europy i wprowadzać stare złe dla zaradzenia nowemu. Postęp wytyka jednę drogę—naprzód, a tą jest przeobrażenie instytucyi społecznych w tym duchu, aby je doprowadzić do harmonii z politycznemi. Wtedy wolność przestanie być niebezpieczną dla równości, ani sprzeczną z braterstwem; przestanie być gruntem przyjaznym dla rozwoju zarazka rozkładowego—plutokracyi.

Demokracya amerykańska wynikła z idei Rousseau'a. Ale dziś, gdy życie odbiegło o sto lat od jego ideałów, z nauki mędrca genewskiego należy snuć dalsze konsekwencye i na nich oprzéć budowę. Konsekwencye te wysnuła po części pewna szkoła społeczna a młoda

---

[1]) Nie dawały głosów nieukonstytuowane jeszcze terytorya: Arizona, Mexico, Oklahoma i terytoryum indyjskie.

prasa amerykańska [1]) gorliwie pracuje nad ich szerzeniem. Czy przyjdą w czas, aby ocalić zagrożoną rzeczpospolitę?

Niebezpieczeństwo jest groźne i bliskie.

„Nie przyczynię się do wtłoczenia na skrwawione czoło ludu téj korony cierniowéj, którą dźwiga", powiedział Bryan [2]); lecz tego nie dość; trzeba ją usunąć... Tymczasem te skromne i niedostateczne próby ulżenia, jakie wystawił program demokratyczny, jakąż wściekłą wywołały opozycyę ze strony plutokracyi! Instytucya, która ma za najwyższy obowiązek bezstronność i sprawiedliwość, w któréj ręce złożyła konstytucya szalki równowagi państwowéj, sąd federalny, okazał się tak zaprzedanym plutokracyi, że potępił, jako niekonstytucyjne, postanowienie izby kongresu o podatku dochodowym... Czegóż można spodziewać się teraz, gdy ta plutokracya osadziła swego pokornego sługę na naczelném miejscu rzeczypospolitéj? Czy nie wygląda to na zamknięcie i zakucie ostatniéj klapy bezpieczeństwa w przeładowanym naprężoną parą kotle?

Jeden z obrazków powyborczych przedstawia złotego cielca o twarzy Mac-Kinleya otoczonego tryumfującym tłumem przedstawicieli trustów, syndykatów, banków, stowarzyszeń kolejowych...

Lud tymczasem milczy i czeka, azali spełnią się obietnice złotoustych adwokatów złota o podniesieniu przemysłu, otwarciu rynków pracy, wysokich zarobkach. A jeśli się nie spełnią, co wtedy będzie?..

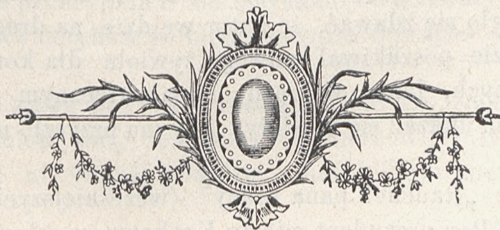
20 lutego 1897—Chicago, Ill.

Wł. M. Kozłowski.

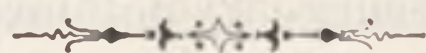
---

[1]) Głównie należą tu wydawnictwa Arena-publishing Co w Bostonie, Raynolds'a w Chicago i inne.

[2]) Mowa 9 lipca 1896 w Chicago.



MICHAŁ BAŁUCKI
JAKO KOMEDYOPISARZ.



Rok obecny jest podwójną rocznicą dla Bałuckiego i dla naszego piśmiennictwa: sześćdziesiątą ze względu na datę urodzenia autora i trzydziestą z powodu wystawienia pierwszéj jego komedyi. Wzmiankując tylko o jednéj, korzystam z drugiéj, by się szczegółowiéj zastanowić nad twórczością dramatyczną autora „Niewolnic z Pipidówki”, świeżo odegranych na scenie warszawskiéj i cieszących się niezwykłém powodzeniem.

I.

Bałucki przystąpił do pisania komedyi w wieku już dojrzałym; wprzódy tworzył poezye, nowele, powieści, studya literackie, zanim się zwrócił do sceny. Miał lat trzydzieści, kiedy nakreślił pierwszą swą sztukę: „Radcy pana radcy”. Było to w r. 1867, t. j. wówczas, gdy Galicya od niedawna zaczęła używać swobód autonomicznych. Z wyboru tematu mogło się zdawać, że autor wejdzie na drogę satyry politycznéj, że będzie poszukiwał nowego żywiołu dla komedyi w tych objawach ujemnych, jakie w kraju po całowiecznym niemal ucisku germanizacyjnym ukazać się musiały, gdy mu przyszło nanowo radzić samemu o sobie.

Istotnie w „Radcach pana radcy” (wcześniejszych od komedyi Narzymskiego: „Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach”) znaj-

duje się figura prawie zupełnie nowa w naszém komedyopisarstwie, figura mieszczucha ograniczonego, płytkiego, dobrodusznego i powolnego, który najmniejszego nie mając pojęcia o sprawach publicznych, zostaje wybrany na członka rady miejskiéj. Ma on tyle szczerości, że się nietylko przed sobą, ale przed innymi przyznaje do zupełnéj swéj nieudolności: nie wié, jak ma radzić o dobru miasta całego, gdy we własnym domu radzić sobie nie umié, zostając pod pantoflem żywéj, zalotnéj i ambitnéj żony. Skrupuły jednak takie wybija mu z głowy lekkomyślny a przewrotny karyerowicz, kochanek jego żony, Zdzisław. O co tu się kłopotać? — powiada on Piotrowi Dziszewskiemu, na którego żona zawsze *Pierrę!* woła — masz kawałek nieużytecznego placu, zaproponuj, żeby miasto go kupiło i wystawiło na nim jaki gmach publiczny; przed kamienicą twoją nie ma chodnika, żona się wciąż skarży, iż zawsze zabłocić się musi, wychodząc z domu i wracając, wnieś do rady projekt, żeby trotuar w tém miejscu najpierwéj ułożono i t. p. Będziesz miał tym sposobem wygodę i korzyść dla siebie, a w radzie pokażesz, że nie darmo nosisz głowę na karku. Dziszewskiemu nie brak naturalnie miłości własnéj, więc gdy mu podbito bębenka, zaczyna wierzyć, iż być radcą miejskim nie jest wcale rzeczą tak trudną. Trzeba się tylko trochę podkształcić, nabrać rezonu i śmiałości. Ażeby się módz oryentować w polityce, bierze się Dziszewski do czytania gazet, ale tu znajduje trudności niepokonane. Owocześni sprawozdawcy polityczni w Galicyi, pisujący językiem poszywanym z frazesów wyczytanych w dziennikach wiedeńskich, lubili się popisywać stylem górnym, naszpikowanym wyrazami cudzoziemskiemi. Niejeden wykształcony mógł z wysiłkiem zaledwie pochwycić myśl dziennikarza utopioną w chaosie zdań, a cóż dopiéro taki pan radca! Doskonałą jest scena, kiedy ociężały umysł Dziszewskiego poci się nadaremnie, by zrozumiéć jakiś wstępny artykuł, który co do swéj napuszoności i makaronizmów może współzawodniczyć ze sławną mową w „Monachomachii” Krasickiego: „Na płytkim gruncie rozbujałych fluktów”... Oto ten świetny ustęp z gazety: „W chaotycznéj komplikacyi efemerycznych faktów salwowanie ekwilibrium między potencyami okcydentalnemi dependuje pryncypalnie od insynuacyi pacyfikacyjnych, manifestowanych przez notyfikacye konferencyjne *à propos* neutralności pawilonu...”

Gdzież to zrozumiéć panu radcy, kiedy on, zachwycony pierwszém posiedzeniem rady miejskiéj, a mianowicie mówką prezesa, nie umié z niéj nic więcéj powtórzyć nad kilkakrotne gromkie: „Panowie!...”

Samego posiedzenia rady nie przedstawił Bałucki na scenie; słyszymy o niém tylko z ust Dziszewskiego, który dobrodusznie przyznaje się, że podczas dyskusyi zdrzémnął się, a gdy przyszło do głosowania, wystąpił z negatywą względem tego kandydata na jakąś posadę, co zostać miał jego zięciem i wogóle względem wszystkiego, co było proponowane... a zrobił tak z téj przyczyny, że owego kandydata popiérał burmistrz; burmistrzowi zaś miał z nakazu żony sprzeciwiać się we wszystkiém... W opowiadaniu tém pan radca charakteryzuje sam siebie wybornie.

Przeważnego atoli nacisku na działalność publiczną swego bohatéra komedyopisarz nie położył. Sprawy domowe daleko znaczniejszą część utworu wypełniają. Najprzód romansik żony pana radcy ze Zdzisławem, który przez matkę chciał się dobrać do posagu córki, naiwnéj, prostéj, szczeréj dzieweczki, zakochanéj w Karolu, koledze Zdzisława. Romansik ten już się sprzykrzył karyerowiczowi i podtrzymywany jest jedynie usilnemi, a nawet natarczywemi zabiegami zalotnéj Ewy. Potém intryga, wysnuta przez Zdzisława, by Karola odsunąć. A wreszcie przerzucenie się łowcy posagowego ku śmiesznéj, romansowéj, karykaturalnie nakreślonéj staréj pannie Eufrozynie z powodu wieści, iż ona wielki los na loteryi wygrała. Wykradzenie staréj panny jest zarazem karą dla Zdzisława; zawiódł się bowiem w nadziei otrzymania znacznéj gotówki; Eufrozyna zbyła ów los komu innemu.

Zawikłanie, wywołane krzyżowaniem się przeciwnych sobie pragnień i planów, wytwarza ruch dosyć żywy na scenie, ożywiany konceptami i dwuznacznikami; ale przygłusza motyw zasadniczy i odciąga uwagę od téj strony nowéj, z jakiéj nam autor ukazał swego pana radcę.

I w dalszych utworach toż samo zauważyć można. W dwuaktowéj komedyi „Polowanie na męża" (1869) jest także pierwiastek polityczny, ale jeszcze bardziéj przyciemniony czynnikami zupełnie prywatnéj natury. Hrabia jakiś (nie wchodzący zresztą na scenę), chcąc zostać posłem, pragnie grzecznostkami pozyskać sobie wyborców; zwraca się i do byłego rzemieślnika, pana Walentego, nie umiejącego ani czytać, ani pisać, lecz puszącego się swojém bogactwem. Nie wyjaśnia autor, dlaczego hrabiemu chodziło i o tego kamiecznika, nie posiadającego, jak widać z komedyi, wielkiego miru wśród spółmieszczan, z powodu lekceważenia i pogardy, jaką okazywał biedniejszym, zwłaszcza zaś rzemieślnikom. Brak tego umotywowania szkodzi sztuce, czyni bowiem sytuacye naciąganemi. W interesie hrabiego bywa w domu owego mieszczucha Leon, figura niewyraźna, do któréj za-

wraca oczy dobrze dojrzała córka Walentego, kochliwa, pretensyonalna, fałszywa, Aniela. Leon lekceważy ją, a dowiedziawszy się, że jego kolega, Karol, kocha się w niéj z widzenia, przedstawia go za obywatela ziemskiego, co imponuje Anieli; gdy się jednak dowiaduje, że ten Karol jest wprawdzie wykształconym człowiekiem i dość zamożnym, ale szewcem — odpycha go, wołając: „Precz! fe, fe, smoła!" Aniela zostaje na koszu, a jéj ojciec wystawia się na śmieszność, gdy hrabia na szeroko otrąbioną ucztę do domu Walentego nie przybywa wcale, bo został już posłem obrany. Zawikłanie w komedyi wynika głównie z nieporozumienia pomiędzy Leonem, Karolem i Anielą, nieporozumienia błahego i mało uprawdopodobnionego. Sztuka, chociaż późniejsza od „Radców", pod względem roboty artystycznéj jest od nich słabszą. Jedynie tylko sylwetka babki, poczciwéj, ale ograniczonéj staruszki, mówiącéj i działającéj zawsze nie w porę, stanowi pewny świéży żywioł w téj krotochwili.

W „Pracowitych próżniakach" (1871) pierwiastek polityczno-społeczny, na tak zwanéj „aktualności" oparty, istnieje także, ale w dozie nadzwyczaj drobnéj. Chodziło tu autorowi o wyśmianie manii stowarzyszeń w Galicyi, których działalność kończyła się bardzo często na wybraniu prezesa, wiceprezesa, sekretarza, skarbnika, oraz na wyprawieniu kolacyjki. Typem pracowitego próżniaka jest tu przedewszystkiém January Prezesowicz, zawsze niby zajęty gorliwie sprawami stowarzyszeń i spółek, ale właściwie pilnie tylko wietrzący, gdzie można znaléść dobre śniadanko, obiadek lub kolacyę. Drugim typem, dobrze wykonanym, jest doktór, udający, że nigdy nie ma chwilki czasu, gdyż go pacyenci sobie wyrywają, ale najczęściéj widzialny w restauracyi, gdzie mu fundują lub gdzie zacietrzewiony gra w karty. Pomijając innych próżniaków rodzaju męskiego i żeńskiego (nowinkarz Saturnin, dewotka Zuzanna), wspomnieć należy o ich przeciwstawieniu w osobie literata Maurycego, proponującego założenie stowarzyszenia „pracy"—bez kolacyjki.

Ta myśl satyryczna tonie jednak niemal wśród powodzi intryg, nadających dużo ruchu krotochwili, ale mało prawdopodobnych i odciągających uwagę od tematu głównego. Bankier, którego żona bawi w kąpielach, przyjeżdża tamże niby *incognito* za jakąś damą, wielce powabną, i zwierza się z tém hrabiemu Kolanko, ani się domyślając, że mówi o jego żonie; hrabia znowuż prosi bankiera, by w jego zastępstwie wręczył bukiet pewnéj piękności, któréj łaskami się przechwala, nie wiedząc, że ta piękność jest właśnie żoną bankiera i t. p. Słowem, same nieporozumienia, zabawne i nieraz prawdziwie komiczne, ale w tonie farsy trzymane.

Po téj sztuce sporo lat upłynęło, zanim Bałucki nanowo pierwiastek polityczno-społeczny do swych komedyi wprowadził. Stało się to najprzód w czteroaktowym utworze p. t. „Sąsiedzi” (1881), poczytywanéj pospolicie za najpoważniejszą, jeżeli nie najlepszą komedyę naszego autora. Są tu pewne przypomnienia z „Polowania na męża”, lubo scenerya odbywa się w zupełnie innéj sferze. Doskonale tu zobrazowana została niechęć szlachty do panów za oczy, a uniżoność niemal służalcza—w oczy, zwłaszcza gdy hrabia ukłoni się grzecznie, przemówi słów parę, pytając o zdrowie żony i dzieci, zaprosi na śniadanie lub obiad. Wybornie odmalował autor interesowaną przyjaźń wśród braci szlachty, gotowéj zawsze wyzyskiwać charaktery poczciwe i miękkie, ale nie skoréj do pomocy. Mamy tu kilka żywych, prawdziwych, znamiennych postaci, z pomiędzy których najwydatniéj się przedstawia poczciwy Radoszewski z Zajazdowa, hojnie podejmujący sąsiadów o każdéj porze, gotów dla nich do wszelkich usług z czasu i grosza, z uszczerbkiem własnego gospodarstwa, trochę próżny, więc łatwo dający wmówić w siebie, że może się ubiegać o mandat do rady państwa. Pyszny jest, gdy ledwie doszukawszy wyschłego kałamarza, gotuje sobie mówkę do wyborców, przepisując efektowne frazesy ze staréj jakiéjś gazety w duchu demokratycznym i antysemickim; gdy piorunuje na wyzysk żydowski i zachęca do pozbycia się lichwiarzy właśnie w chwili, w któréj zmuszony jest żądać pożyczki od swego Moszka czy Icka.

Obok Radoszewskiego staje zupełnie inna osobistość: szczekacz, fałszywy przyjaciel, żarłok Gębaliński, co wiesza psy na panach, a pierwszy składa im czołobitność, co kochanego Radosia podmawia do starania się o mandat, spijając u niego dobre wino i jedząc, ile się zmieści, a pierwszy oddaje swój głos hrabiemu. Daléj idą takie figury, jak Tęgasiński, tchórz, zawojowany przez energiczną żonę, opowiadający komicznie, jak przerwał łańcuszek od zegarka o tyczkę, za co magnifika go zburczała, nakazując omijać wszelkie tyczki; jak Golski, procesowicz, nieprzyjaciel chłopów i inni. Przeciwstawieni im zostali: zacny, rozumny obywatel Protasewicz i technik Adam Wilski.

Wartość tych ludzi okazuje się z ich postępowania. Gębasio i inni sąsiedzi, przezeń zakrzyczani, nie chcą głosować na kandydata, popieranego przez Protasewicza, więc wymyślają kandydaturę Radoszewskiego, ale gdy w okolicy pojawił się hrabia, który z woli stronnictwa zachowawczego miał się starać o godność poselską ze stron owych, gdy poodwiedzał szlachtę, gdy ją zaprosił na naradę, szlachta, wymyślająca przedtém na niego, jako na pyszałka i próżniaka, zjeżdża się do jego

pałacu gromadnie, zapomina o Radoszewskim, zapomina o dniu jego imienin, bo właśnie na ten dzień przypadł obiad u hrabiego.

A tymczasem biédny Radoszewski, przygotowując wszystko na huczne przyjęcie sąsiadów, doczekał się przybycia... komornika, dla siebie całkiem niespodziewanie, gdyż papiéry z pieczęciami urzędowemi składał na biurku nie czytając, bo nie miał czasu; w domu jego ciągłe były zjazdy, a prócz tego i napisanie mówki nie lada wysiłków wymagało. Pośpieszyli z pomocą: Protasewicz nielubiany przezeń, gdyż pijać nie zwykł, ciocia Petronela, chodząca w kubraku, paląca fajkę, gderząca i wymyślająca, ale z sercem złotém; wreszcie Wilski, który pokochał jego córkę Stasię i proponował spółkę celem eksploatowania lasu za pomocą suchéj destylacyi drzewa. Owi serdeczni sąsiedzi doznali zasłużonego upokorzenia. W czasie obiadu hrabia, dostawszy telegram, by kandydował w innych stronach, przeprosił zebraną szlachtę i zaraz wyjechał.

Inną stronę szlacheckiéj próżności, na tle stosunków austryacko-galicyjskich, wystawia nam trzyaktowa komedya p. t. „Ciężkie czasy” (1889 r.), tylko mniéj w szczegółach uprawdopodobniona niż „Sąsiedzi” i bardziéj ku karykaturze nachylona. Doskonały w niéj jest akt I-szy, malujący nam towarzystwo szlacheckie, narzekające na zły stan interesów, na nieurodzaj, na lichwę, na pożyczki bankowe, ale dalekie od myśli oszczędzania, wyrzeczenia się zbytków, pochopne do złudzeń i opiérania nadziei polepszenia na najbłahszych nawet podstawach. Jest tu Lechicki, z pozoru i w słowach zacny bardzo i rozsądny obywatel, ale w gruncie próżny i płytki, łatwo dający się obałamucić frazesami swego syna Juliusza, niby to wykwalifikowanego agronoma, zamierzającego prowadzić rozległe spekulacye z powodu niemożności wytrzymania spółzawodnictwa w produkcyi zboża, ale w rzeczywistości blagiera, letkiewicza, co marnuje grosz z trudem zdobyty na wykwintne napoje, na jazdę pierwszą klasą, na drogie cygara i t. d. Doskonałym jest obywatel Kwaskiewicz, opowiadający z humorem, jak dla uzyskania pożyczki bankowéj musiał się zapożyczyć u żyda, jak przyjechawszy po odbiór pożyczki do Lwowa, wraz z żoną, tyle tylko przywiózł gotówki z powrotem, że nawet długu żydowskiego ową pożyczką nie spłaci i t. d. I on także wydaje się rozsądnym, zwłaszcza gdy się ironicznie odzywa o swym szepleniącym synku Geniu, nygusie i idyocie, uważanym za cudo przez matkę. Dobrym jest, lubo trochę ogólnikowym, Rębajło, wyśmiewający „ankiety”, apostoł oszczędności, który opowiadaniem swojém, jak za każdym ciosem ekonomicznym zmniejszał skalę swego życia, oburza braci szlachtę, nazywającą go sknerą obrzydłym. Karykaturalną natomiast wydaje się

już nawet w tym 1-ym akcie rodzina Giętkowskich, roszcząca sobie pretensye do stanowiska arystokratycznego, śmieszna w ruchach, przesadna w słowach, nieznośna w sposobie postępowania.

Zebrali się ci obywatele w domu Lechickiego, by wysłuchać projektów Juliusza, ale zanim się młody niby-agronom uporał ze wstępem, dostaje telegram, iż ma zjechać do Galicyi jego ekscelencya książę Tutafoni w celu nabycia dóbr ziemskich. Naturalnie obrady gospodarskie idą w kąt, a wszyscy (prócz Rębajły) myślą jedynie, jak przyjąć godnie jego ekscelencyą, boć przecie jego przyjazd do Galicyi nie jest bez kozery. „Jeżeli figura położona tak wysoko — mówi Giętkowski—zostająca w tak intymnych stosunkach ze sferami rządzącemi raczy się fatygować do nas, to po za tém musi się coś głębszego ukrywać. To nie jest bez znaczenia; to, panowie, jest fakt niezmiernéj doniosłości, bo widocznie stąd chce się zbliżyć do nas, poznać nas lepiéj.” Zawiązuje się tedy na poczekaniu komitet celem obmyślenia sposobu przyjęcia Tutafoniego, gorące dyskusye powstają, czy ma szlachta wystąpić w kontuszach, czy frakach i w jakim porządku mają następować owacye.

Na pytanie Rębajły, co zrobił ów książę, że go obywatele chcą tak honorować, odpowiada jeden ze szlachty (Bajkowski): „Co zrobił? Co zrobił? Cóż to zaraz ma nam co zrobić za to? Cóż to my żydzi, żeby zaraz geszefta robić?” — a inni przebąkują o dyplomacyi, o tém, że jeżeli ekscelencyę będziemy mieli za sobą, „to będziemy mieli wszystko” i t. p. Jednem słowem, ekscelencya w mniemaniu szlachty staje się lekarstwem na ciężkie czasy. Wszyscy kontenci, wszyscy zapominają o swéj biédzie, zaciągają długi, byle się pokazać, sprawić powóz, jedwabne suknie, kosztowności, bo, jak mówi Bajkowski: „jeżeli ekscelencya trudzi się tyle mil do nas, to nasz psi obowiązek przyjąć go jak należy i dać mu poznać nasz kraj.” Napróżno Rębajło robi słuszną uwagę: „Ależ łaskawco dobrodzieju, jeżeli wam idzie o to, żeby poznał nasz kraj, to należałoby chyba w łachmanach i dziurawych butach stanąć przed jego ekscelencyą; bo to byłby dopiéro rzerzywisty obraz naszego kraju.” Nikt go słuchać nie myśli: każdy chce się jaknajwspanialéj przedstawić księciu i wyrazić mu swoje bezgraniczne poświęcenie, tak że słowa pełne uniżoności, które wypowiadają obywatele w oczekiwaniu jego ekscelencyi, wywołują na usta Rębajły gorzki sarkazm: gdybym nie wiedział, że to szlachta, powiedziałbym, że to fagasy.

Obraz oczekiwania jego ekscelencyi w akcie II-im jest komiczny, ale w sposób przeważnie karykaturalny, témbardziéj, że autor użył zbyt rażącego kontrastu, sprowadzając do dworku szlacheckiego ko-

kotkę Natalię z Wiednia, dawną kochankę Juliusza. Nie zajeżdża ona od frontu, ale każe stanąć powozowi przy furtce ogrodowéj i niepostrzeżona przez nikogo (jakby w zmowie była z autorem komedyi), przybywa do pokoju, w którym zastaje tylko swego eks-wielbiciela. Usiłuje ją on ukryć — i stąd wywiązują się zabawne kolizye i zabawniejsze jeszcze domysły, przez Giętkowskiego wysnute, że ekscelencya przybył, lecz chce pozostać *incognito.* Szturm szlachty, która dopiéro co robiła nie tyle sobie, ile Lechickim wyrzuty za poniesione wydatki i wystawienie się na śmieszność, szturm zawzięty do drzwi, po za któremi domyśla się ekscelencyi, jest kulminacyjnym punktem satyry w akcie III-im, śmiesznym bezwątpienia, ale nieprawdopodobnym. Gdy dla oszczędzenia wstydu Juliuszowi, siostra jego w porozumieniu ze swym narzeczonym, wypuścili Natalkę innem wyjściem, zaspokoiwszy jéj pretensye, — niepoprawni politykowcy wytrwali w mniemaniu, że ekscelencya był, tylko ze względów dyplomatycznych ukazać się nie raczył, lubo już poprzednio nowy telegram objaśniał, że książę znalazłszy dobra w Styryi, nie myślał się wcale do Galicyi fatygować.

II.

Po za wymienionemi tu utworami Bałuckiego nie znam innych, gdzieby pierwiastek polityczny wchodził choć w drobnéj mierze do tematu komedyi: co najwyżéj zdarzają się tylko słowne aluzye; jest atoli jeszcze grupa sztuk, szczupła zresztą liczebnie, w których bieżące zagadnienia społeczne są roztrząsane.

Najwcześniejszą w téj grupie jest trzyaktowa komedya, premiowana na konkursie krakowskim r. 1873, p. t. „Emancypowane”. Powstała ona w czasie, gdy sprawa wyższego wykształcenia i szerszéj działalności kobiét była bardzo gorliwie rozbieraną w teoryi, a poczęści i rozwiązywaną w sposób praktyczny. Roiło się wtedy od artykułów, broszur, książek i odczytów w téj kwestyi. Bałucki nie był przeciwnikiem podniesienia skali wykształcenia kobiécego, ale nie należał również do gorących zwolenników tegoż; a co do emancypacyi obyczajowéj oraz fałszywych apetytów do wiedzy, wynikających z podrażnionéj próżności, z zadraśniętéj miłości własnéj, z namowy i t. p. był ich stanowczym wrogiem. Śmieszne, lub nawet zdrożne strony takiego kierunku myślenia i postępowania wydrwiwał on zawsze. W „Emancypowanych” mamy właściwie dwie tylko przedstawicielki, nie idei, ale mody emancypacyjnéj. Jedną z nich, nakréśloną trochę karykaturalnie, jest pani Adelaida Frazesowiczowa, matka chłopca kilkunastolet-

niego i córki na wydaniu. Nie wiadomo, skąd jéj przyszło na myśl zajmowanie się sprawą wyzwolenia kobiét; ale raz tą myślą się przejąwszy, zaniedbuje gospodarstwo i wychowanie własnych dzieci. Przygotowuje odczyt o wyższém wykształceniu kobiét, więc nie ma czasu wysłuchać nauczyciela domowego, nie mogącego sobie dać rady z Kamilkiem urwisem, mającym już stosunki z aktorkami i upijającym się na kolacyjkach. Występuje ona przeciw przesądom wszelkiego rodzaju, broni małżeństw z czystéj miłości zawieranym, ale nie chce słyszéć nawet o skłonności swéj córki i chce ją gwałtem wydać za starego, wyniszczonego lowelasa, p. Januarego; a gdy jéj Stasia przypomina maksymy wygłoszone przez nią na odczycie, odpowiada jéj bez ogródki, że to, co się głosi wobec ogółu, wcale nie obowiązuje tam, gdzie idzie o los najbliższych osób. Jest próżna, zarozumiała i zazdrosna; gdy jakaś inna kobiéta zapowiedziała swój odczyt o emancypacyi, nie przebiéra w słowach dla nacechowania głupoty prelegentki i cieszy się z dwuznacznéj notatki dziennikarskiéj, gdy jéj napomknięto, że to o jéj spółzawodniczce tam mowa.

Frazesami Adelaidy dała się porwać młoda, przystojna, energiczna, postrzelona trochę, ale rozsądna skądinąd jéj siostrzenica, Jadwiga, która poróżniwszy się ze swym narzeczonym, wybiéra się na uniwersytet; ale gdy się przekonywa, że jéj ciotka inaczéj mówi, a inaczéj robi, gdy widzi, jak Adelaida gromi służącą, która chciwie jéj nauk o równości ludzi się nasłuchawszy, chce je zastosować w życiu; gdy wreszcie spostrzega, jaki chaos zapanował w domu Adelaidy, odkąd ta szerzeniem zasad emancypacyi się zajęła: porzuca myśl wyjazdu i godzi się z narzeczonym. Zamieszanie, wprowadzone w rodzinie przez zachcianki pani domu, kończy się wraz z wyrzeczeniem się ich przez nią.

Toż samo stanowisko w kwestyi emancypacyi zachował Bałucki i po latach dwudziestu kilku, kiedy nakréślił postać panny Flory w „Sprawie kobiét" (1896 r.), chcącéj najzupełniejszego równouprawnienia niewiast i zupełnego ich zrównania z mężczyznami. Tylko tutaj silniéj jeszcze, aniżeli poprzednio, nałożył farby i ośmieszył przedstawicielkę równouprawnienia, każąc jéj napróżno kokietować rubasznego, zbałamuconego chłopa Skwarka. I w scenach epizodycznych w innych komedyach, np. w „Niewolnicach z Pipidówki", reprezentantki feminizmu ze śmiesznéj jedynie strony są przedstawione. Niewątpliwie to, co Bałucki ośmieszył w ruchu kobiécym: pusta frazeologia, zaniedbanie obowiązków dla mrzonek, niedorzeczne przyswajanie form w dyskusyach, pompatyczność, zarozumiałość, próżność,—zasługiwało na ośmieszenie; lecz nie należało także zapominać o istotnych, real-

nych powodach ruchu, jak o poważnych i rozumnych jego przedstawicielkach, a tymczasem Bałucki w całéj swojéj komedyopisarskiéj twórczości zdobył się na jedną tylko dodatnią sylwetkę Maryi Ciepiszewskiéj (w komedyi „Gęsi i gąski"), panny wykształconéj, postępowéj, spragnionéj życia samodzielnego.

Oprócz sprawy emancypacyi, obrobił Bałucki w jednéj z komedyi kwestyę, która swojego czasu dużo piór zatrudniała i żywe wśród inteligencyi ogółu budziła zajęcie. Była to kwestya poetów i techników; marzycielstwa i działalności praktycznéj. Nie chodziło wcale o jakieś rzucenie przekleństwa na poezyę prawdziwą, ale o rozwianie fałszywego nimbu, jakim się lubili otaczać „wieszczowie", rozpaczający słowami Słowackiego, Musseta, lub drwiący krwawo sarkazmem Heinego; w głębi zaś duszy tak pospolici zjadacze chleba, jak i ci, przeciwko którym piorunowali. Jeden z takich okazów trafnie i z miarą artystyczną odtworzył nasz komedyopisarz w sztuce 3-aktowéj p. t. „Po śmierci cioci", nie mającéj zresztą pod względem układu wartości osobliwéj.

Kapitalista Poczciwski, sknera, samolub, obłudnik, ma córkę dobrą, ładną, wrażliwą Zosię, która się zakochała w poecie Juliuszu, rumianym i trapiącym się tą swoją czerwonością, która z grobowemi jego pomysłami przykro kontrastowała. Jestto człowiek lubiący dramatyzować swe życie, przejmujący się swą rolą, wierzący chwilowo w to, co głosi, rozpatrujący wszystko z tego punktu, czy się to nie przyda jako scena do poematu. Znany jest trochę w świecie literackim, bo niedawno wydrukował tomik poezyi. Lubi deklamować swoje utwory; od jednego z nich, wypowiedzianego patetycznie wobec Zosi, rozpoczyna się komedya:

Wściekle w górze wyją burze,
Dziki huczy grom:
Za to w dole... kolce... bole
I powszedni srom.
Grom płomienny, wir bezdenny
Pierś hartuje w stal;
Ból codzienny i byt senny
Nędzny wodzi żal.
Górne szlaki znają ptaki,
Zna je każdy lot:
Płazy, gady i kwiat blady
Nie wychodzą z błot.
Łza z powicia w koniec życia
Strzeże naszych dróg;
W dole nisko, błotno, ślisko
W górze dzień i — Bóg!

Zosia, słuchając takich poezyi wraz z odpowiedniemi objaśnieniami samego twórcy, była w uniesieniu; marzenie wypełniało jéj duszę. Ojciec nie ma nic przeciw małżeństwu córki z poetą; ostrzega tylko Zosię, że posagu nie da; lecz ta przeniknięta wzniosłemi myślami poety, nie wątpi ani na chwilę o bezinteresowności Juliusza. W tém się zasadniczo myli, gdyż poeta jest wzniosłym tylko w wierszach; w życiu goni za wygodą, a więc i za dobrym posagiem. Niezbyt dawno przed poznaniem Zosi wyznawał gorącą swą miłość Sabinie, ale zwąchawszy, że panna bez posagu, czmychnął czémprędzéj i wprowadzony do domu Poczciwskiego przez swego kolegę, Karola, inżyniera, który był prawie po słowie z Zosią, zaczął przed nią tę samą odgrywać komedyę. W tém Sabina, która wyszła za mąż i otrzymała wielki spadek po ciotce, zjeżdża do Poczciwskich, zwierza się Zosi i ze swego bogactwa i ze swego zamęścia, ale wymaga od niéj, ażeby fakt jéj małżeństwa przed wszystkimi trzymała w tajemnicy, jakby przewidując, że Poczciwski zacznie palić do niéj koperczaki. Sama zaś ukrywa przed Zosią, że Juliusz w niéj się kochał i jéj ofiarował ten sam wiersz, który teraz dał Zosi; a robi to dlatego, żeby tém skuteczniéj wyleczyć ją z fałszywego wyobrażenia o poecie. Dziwném jest, że Juliusz nie lęka się jakoś wykrycia swojéj tajemnicy; mniéj dziwném, że dowiedziawszy się o majątku Sabiny, do niéj ponownie zwraca swe afekty. Upokorzenie Poczciwskiego i Juliusza kończy komedyę; Zosia rychło się leczy ze swéj miłości i oddaje rękę Karolowi.

Juliusz i Karol—to owe dwa przeciwieństwa z czasów walki pozytywistycznéj. Byli to koledzy. Po dość długiém niewidzeniu spotykają się w domu Poczciwskiego. Karol, widząc rumianą twarz poety, cieszy się, że go zastaje w zdrowiu, gdyż po przeczytaniu tomiku jego poezyi, sądził, że go spotkało jakieś wielkie nieszczęście. „No, nie bardzo — powiada — przyznam ci się, przepadam za wierszami, ale że to twoje, więc kupiłem. Aż mi włosy stanęły na głowie, jak-em je przeczytał. Na każdéj stronicy tylko rozpacze, łzy, ból, cierpienie. Myślałem na seryo, że ci się co złego stało. Tymczasem, dzięki Bogu, nie wyglądasz wcale na cierpiącego." Na pytanie co do Zosi, Juliusz pragnie zrazu zwlec rozmowę i przybiéra minę tajemniczą, a gdy rzecz się wydała, tłomaczy się niezwalczoną namiętnością. Karol zestawia tę jego nową miłość z miłostkami do różnych panienek; Juliusz wybucha: „Jakież porównanie może być między nią a tamtemi. Miłość dla niéj (Zosi), to uczucie podniosłe, idealne, święte... jedyne;—no, a tamte to zwyczajna namiętność, prosta zabawka. Czytaj życiorysy sławnych ludzi, a przekonasz się, że najwięksi geniusze miewali podobne słabości. Owszem, im geniusz był większy, tém silniejsze były jego

namiętności. Ale co tobie gadać o tém... ty nie pojmiesz téj potrzeby zmysłowych wrażeń i uciech człowieka fantazyi — artysty. Grecy rozumieli to dobrze, ale bo też to był naród nawskroś poetyczny. Ich mędrcy i wodzowie pomimo miłości pełnéj szacunku dla żon... szaleli u nóg takiéj Aspazyi, Lais. To był wiek prawdziwéj poezyi!" Na sarkastyczną uwagę Karola, że „wy, panowie, poeci nie należycie do zwyczajnych ludzi, wy macie osobny kodeks moralności", Juliusz odpowiada stwierdzającym to czynem, gdyż z powodu Zosi nie chce się bić z Karolem, bo śmierć poety byłaby stratą dla ludzkości. „Jeśli ty zginiesz — powiada mu wyniośle — kto inny weźmie cyrkiel i zajmie twoje miejsce, i świat żadnéj nie dojrzy różnicy; tymczasem my mamy posłannictwo; zbrodnią byłoby z naszéj strony narażać na strzał pierwszego lepszego człowieka życie, które nie do nas, ale do ludzkości, do przyszłości należy..." Karol nie potrzebował odpowiadać na te przechwałki; postępowanie Juliusza dostatecznie określiło wartość jego charakteru.

„Komedye z oświatą" to dość zabawna satyra wymierzona przeciwko udawniu ze strony arystokracyi zajęciu się wykształceniem ludu, w celach jedynie partyjnych.

III.

Wszystkie inne komedye Bałuckiego można zaliczyć do kategoryi obrazów i obrazków obyczajowych, ośmieszających pewne słabości i słabostki ogólno-ludzkie, we wszystkich czasach i u wszystkich narodów przejawiające się z mniejszą lub większą siłą. Próżność w najrozmaitszych postaciach, chęć życia nad stan i wkręcenia się w sfery arystokratyczne, zarozumiałość, próżniactwo, marnotrawstwo, lekkomyślne szafowanie uczuciem, interesowność, zawiść, śmieszności staropanieńskie i starokawalerskie, strojenie się za pożyczane piéniądze, wyzyskiwanie cudzéj dobroci i t. p. — oto zwykłe temata tak licznych i tak wesołych sztuk Bałuckiego. Szczegółowo rozbiérać ich nie ma potrzeby; wskazanie pomysłów, zaznaczenie świeższych trochę osobistości, a następnie ogólna charakterystyka psychologii i artyzmu autora wystarczą. Postaram się zachować porządek chronologiczny.

Więc najprzód „Pozłacana młodzież" (w 4 aktach, 1876). Syn dorobkiewicza Służkowskiego, Artur, wydając dużo piéniędzy, już to nadsyłanych przez ojca, już to branych od żydów na fałszowane weksle, pozyskuje sobie mniemaną przyjaźń młodzieży próżniaczéj i żywi sztucznie przez pieczeniarza Funia rozbudzoną nadzieję, że pozyska rękę hrabiny Idy, która niby to rozwieść się ma ze swoim mężem. Sta-

ry Służkowski przybywa do miasta; z początku jest oburzony, potém daje się porwać uczuciu próżności i pomimo przestróg adwokata, Jana Szczerby, trwa w zaślepieniu swojém póty, póki Artur nie dostał surowéj nauczki w salonie hrabiny. Córka Służkowskiego, Helena, wcześniéj się poznaje na złudności nadziei wyjścia za mąż za hr. Alfredai oddaje rękę Janowi. Śmieszna ciocia Hortensya, która ją najbardziéj pchała w kierunku życia nad stan, równie jak Artur, ośmieszona dotkliwie.

„Krewniaki" (w 4 aktach, 1879) przedstawiają najazd dalekich powinowatych na dom człowieka, który świeżo zostawszy wybrany na dyrektora banku, wziął sobie za zasadę wyrugowanie nepotyzmu z instytucyi. Tymczasem zjeżdżają się: Aniela Dumska, pysznląca się z rodu, paląca papiérosy moralizatorka, która chciałaby otrzymać posadę dla swego synalka Napcia, łobuza, fałszującego weksle; Kajetan Tarapatkiewicz, zbankrutowany szlachcic, gadający dużo i głośno, z niemniéj wymowną żoną Bibisią i krzykliwemi robaczkami, pragnący również posady, bo szlachcic wszystko potrafi. Robią piekło z domu dyrektora, przy pomocy jeszcze jednéj krewniaczki, Katarzyny, mieszkającéj stale u Lubowiczów, zgryźliwéj, wymagającéj a udającéj ofiarę. Regina, żona Lubowicza, cicha, dobra, serdeczna, wstawia się do męża za jego krewniakami; ci odwdzięczają się jéj za to rzuceniem na nią podejrzenia, jakoby miała romans z Adolfem Mirowskim, który znał ją dawniéj i kocha jéj siostrę, ładną, sympatyczną Andzię. Starając się o posadę w banku, nie chce używać protekcyi i prosi narzeczoną, by zarówno jego starania, jak i bytność w domu dyrektora, zatrzymała przez dni kilka w tajemnicy przed siostrą. Naturalnie, sprawa się wyjaśnia i krewniacy upokorzeni rozjeżdżają się. W domu Lubowiczów nastaje spokój.

W „Grubych rybach" (w 3 aktach, 1881) wyszydzona została dowcipnie i zręcznie zarozumiałość starych kawalerów, którym się wydaje, że na nich czyhają panny, ponieważ liczą na dobry byt i wygody. Wistowski, kapitalista, ma téj zarozumiałości najwięcéj i stara się nią przejąć radcę sądu Pagatowicza, niezgrabnego i nieśmiałego, a skarżącego się na gniecenie w żołądku. Dwie pensyonarki, sprytne i pomysłowe, wyzyskują te śmieszności; jedna, żeby wyjść za mąż za bratanka kapitalisty, a druga, żeby za pośrednictwem Pagatowicza ułagodzić gniewliwego ojca i dostać pieniędzy na suknię jedwabną. Doskonała tu jest para zacnych, kochających się, ale zlekka swarzących staruszków Ciaputkiewiczów, dziadków Wandy.

„Dom otwarty" (w 3 aktach, 1883), to wielce ożywiony i urozmaicony obraz kłopotów, nieprzyjemności i obmów, z jakiemi połączone bywa w małych, a nieraz i w większych miastach, wydanie wieczoru tańcującego, na którym zawiści, rywalizacye, intrygi mają pole do

popisu. Młode małżeństwo, namówione przez Pulcheryę Wicherkowską, a po części przez wuja Telesfora, postanawia wydać zabawę taneczną, otworzyć dom. Ponieważ nie mają dosyć znajoméj młodzieży, proszą o pomoc głośnego w mieście wodzireja, Alfonsa Fikalskiego, traktującego swój zawód całkiem na seryo, by się zajął dostarczeniem zdrowych nóg, chętnych do pląsów. Ale że to karnawał, trudno wybierać; zgromadziło się grono wcale zaletami towarzyskiemi nie odznaczające się—stąd szereg przykrości dla gospodarstwa, a szczególniéj dla wuja Telesfora. Prócz Fikalskiego, który został wybornie w nicości swéj umysłowéj i zarozumiałości przedstawiony, niezłą jest figurą Wicherkowski, łudzący się, że wynalazł wyborny system kontrolowania czynności swéj żony, która pomimo tego systemu oszukuje go najbezpieczniéj.

W „Gęsiach i gąskach" (w 5 aktach, 1884) mamy wzmocnioną, czy raczéj jaskrawszemi barwami nałożoną postać ciotki z „Pozłacanéj młodzieży." Nazywa się ona tutaj ciocią Belcią i zakłóca spokój domowy poczciwego dworku szlacheckiego Kłopotkiewiczów. Obałamucona przez nią Joasia, mająca już z natury pewną skłonność do materyalistycznego pojmowania życia, nie ginie przecież, owszem pod wpływem Maryi Ciepiszewskiéj i zakochanego w niéj Hulatyńskiego, przebywa pomyślnie smutne przesilenie. Do figur nowych w téj 5-aktowéj komedyi, zaliczyć można prócz Maryi, dość w cieniu zresztą będącéj, doktora Figurkowskiego, zaślepionego w swéj żonie, i dla zadośćuczynienia jéj kaprysom, w pogoni za groszem szukającego klienteli w sposób poniżający.

„Piękna żonka" (w 4 aktach, 1886) w mniéj jaskrawy sposób przedstawia stosunek młodego doktora do świeżo zaślubionéj żony Julii, dla któréj jéj rodzice Chwaliszewscy (nowe w komedyi naszéj figury) mają kult bezwzględny, popychając ją na śliską drogę tryumfów salonowych. Dla piękności i ładnego głosu zapraszana na rauty, koncerty, wybierana do żywych obrazów, Julia domem wcale się nie zajmuje, obojętnieje dla męża, żyje całkowicie nazewnątrz. Małżonek, nie mający jeszcze praktyki lekarskiéj, wydaje resztki posiadanego funduszu, by zadośćuczynić zachciankom pięknéj żonki; kochając ją, wybacza jéj zaniedbanie, obojętność, znosi cierpliwie tyranią jéj rodziców. Dopiéro wuj jego, energiczny a rubaszny Rembaliński, dopomaga mu do wyzwolenia się z tych pęt, co się stawały coraz przykrzejszemi, zwłaszcza gdy się Julia przekonała, iż Ekscelencya, który obiecał kształcić ją w śpiewie osobiście, miał wcale inne, a ubliżające jéj zamiary. Doskonale komicznemi są sceny przygotowań robionych przez Chwaliszewskich dla przyjęcia hrabiny, która nie przyjeżdża. W miniaturze przypominają się przygotowania na przyjęcie ekscelencyi w „Ciężkich czasach."

W „Nowym dzienniku" (w 3 aktach, 1888) występuje urażona miłość własna i fantazya szlachecka gotowa na wszystko, byleby na swojém postawić. Obywatel ziemski Rzepkowski, rozgniewany na radę powiatową, że go nie wybrała na delegata drogowego, jedzie do miasta, by założyć nową gazetę polityczną, w którejby mógł ulżyć swemu sercu, wylewając żółć na spółpowietników. Projektów ma mnóstwo; wszak pisywał listy do Napoleona, a teraz oto wygotował siarczystą filipikę przeciw Bismarckowi; co innego jednak tak sobie poufnie w liście wykładać swe myśli a co innego w druku; potrzebuje więc jakiegoś zdolnego dziennikarza; znajduje go bez trudu; jestto literat z pod ciemnéj gwiazdy, reporter wypchany gotowemi frazesami: Rozpędowski, umiejący odrazu zaimponować prostemu szlagonowi. Wmawia w niego, że należy zająć w dziennikarstwie pozycyę jeszcze wolną, a taką jest obrona praw ludu przeciwko uroszczeniom szlachty i mieszczaństwa. Poczciwy Rzepkowski, pogardzający chłopstwem, zgadza się jednak zostać w gazecie jego orędownikiem, nie wyrzekając się naturalnie w duszy swoich wstrętów. Obok Rozpędowskiego poznajemy jeszcze Filusińskiego, literata do wszystkiego, samochwała i zarozumialca, dalej pseudo-uczonego Nurkiewicza, któremu idzie przedewszyskiém o zaliczkę—i tym podobne figury, wzajem się nienawidzące, skaczące nawet sobie do oczu, ale zaraz potém wracające do dobréj komitywy. Znamiennemi są słowa, jakiemi przemówił Nurkiewicz do Filusińskiego, którego nakrótko przedtém łotrem nazwał: „Dobrze, trąćmy się. Choć brałeś szweiggeldy, ale jesteś dobry chłop, jesteś uczciwy chłop co się zowie... Panowie, zdrowie naszego kochanego, sympatycznego Filusińskiego, niech nam żyje!"

Byłby szlachcic zatopił w tém bagnie dziennikarskiém dobrą część majątku swego, gdyby w porę nie przyszła wiadomość, że go obrano marszałkiem powiatowym! Na tę wieść, przechodzącą jego marzenia, Rzepkowski wyrzuca z serca gniewy, znowu kocha braci szlachtę, a przy pomocy sprytnego Stefana, który pod wpływem miłości przetworzył się z łobuza na porządnego młodzieńca, pozbywa się dosyć gładko swoich niedoszłych spółpracowników.

Komedya ta mogłaby należéć do grupy komedyi społecznych, gdyby bardziéj seryo była traktowana, gdyby dziennikarstwa nie reprezentował tu śmietnik moralny.

„Klub kawalerów" (w 3 aktach, 1891) jest wesołą i zabawną krotochwilą przedstawiającą nikłość postanowień męskich wobec wdzięków, a jeszcze bardziéj kokieteryi niewieściéj. Jadwiga Ochotnicka, zręczna, dowcipna, obrotna kobieta opuszczona przez męża Piorunowicza dla błahych powodów (lampa paląca się w nocy, zapałki

nie na miejscu), dowiedziawszy się, że wszedł jako członek do klubu kawalerów, którzy nigdy żenić się nie mieli, odważnie wdziéra się do siedziby tego klubu w restauracyi i umiejętnie pokierowaną zalotnością, wszystkich klubowców pociąga za sobą do któregoś z miejsc kąpielowych i doprowadza męża do błagania o przebaczenie.

O „Flircie" (w 4 aktach 1892) rozpisywać się tu nie potrzebuję; czytelnicy „Ateneum" mają już o nim szczegółowe sprawozdanie. Autor chciał okazać, do jakich następstw prowadzi bezmyślne bawienie się uczuciem dla mody, dla sportu.

W „Bajkach" (3 akty w 4 odsłonach, 1894) rozwinął Bałucki, niezbyt szczęśliwie, coprawda, wpływ plotek na życie i losy osób niemi dotkniętych. Natalia Wścibińska, zapewniająca wszystkich głośno, że w niczyje życie nie wgląda i o nikim bajek nie rozgłasza, zakłóca spokój trzech rodzin puszczeniem pod sekretem w obieg kilku wiadomości, wysnutych prawie z niczego, a podkopujących już to zaufanie ludzi, już to dobre imię. Okoliczności, wśród których się to dzieje, nie są tak ułożone, iżby słuchacz i widz mógł na seryo uwierzyć w możność smutnych a nawet srodze bolesnych zawikłań; ludzie tu zanadto są łatwowierni i zanadto się powodują pierwszém lepszém usłyszaném słówkiem. A zresztą taka Wścibińska, ponieważ nie pierwszy raz rzemiosło swe uprawia, chyba ze swego fachu znaną jest w mieście i tak łatwo ufności ku swym słowom budzić nie może.

„Ciepła wdówka" (w 3 aktach 1895) jest tylko odmianą „Klubu kawalerów." Jak tam Jadwiga, tak tu Hortensya Stroińska pociąga ku sobie cały zastęp mężczyzn (barona Pusza, braci Jabczyńskich, obywatela Łapiszewskiego) swoją zalotnością i swojém bogactwem, które po starym mężu odziedziczyła. Idzie jéj o to, ażeby doktora Bolimowskiego, co ją kochał w młodości, a teraz stetryczał, ale miłość dla niéj przechował, pociągnąć ku sobie; udaje się to jéj wreszcie lubo z trudem niemałym. Nową postacią w téj komedyi jest młody malarz Antoś, rezolutny, wesoły, dowcipny, lubiący przemawiać gwarą artystyczną i kochający krewniaczkę Hortensyi, Felę.

W „Niewolnicach z Pipidówki" (4 akty, 1897), granych właśnie z powodzeniem w Teatrze Rozmaitości, wyśmiał komedyopisarz panowanie żon nad mężami przy ciągłém zapewnianiu, że są biednemi niewolnicami. Rzecz dzieje się w małém mieście galicyjskiém. Wzgardzona przez Karola Milicza, fachowego bankowca, Aurelia Filatyńska, któréj on radził, ażeby ze swemi afektami zwróciła się raczéj do swego męża, postanowiła przeszkodzić wybraniu go na dyrektora kasy zaliczkowéj i rozwinęła w tym celu bardzo gorliwą propagandę między żonami dostojników miasteczkowych. Jedną (Sabinę, córkę burmistrza)

pozyskała podbiciem jéj bębenka, że, gdy jéj mąż Feliks, zagrzebany w książkach profesor gimnazyalny zostanie dyrektorem, spłynie na nią wielki honor i zaszczytny tytuł, drugą (Kamillę Dmuchalską), wesołą, lekkomyślną, drwiącą żonę doktora zjednała tém, że robiąc na przekór mężowi wypłata mu doskonałego figla, trzecią, żonę burmistrza Grzmotnickiego, łatwo było namówić do zadowolenia ambicyi córki. Gdy sobie te trzy kobiety obiecały działać jednomyślnie i gdy do swoich celów pozyskały dziennikarza Saturnina za pośrednictwem Wandy Oleckiéj, która się rozeszła z narzeczonym o kwestyę równouprawnienia płci pięknéj, musiały dokonać swego, chociaż wszyscy mężowie i p. Saturnin przyrzekli posadę Miliczowi, uważając Feliksa za niezdatnego do niéj.

Filatyńska żadnych nie miała trudności ze swoim mężem, gdyż czego ona chciała, to dla niego było niecofnionym rozkazem, lubo siebie i innych łudził sofistycznem rozumowaniem, że ulegając żonie, on w rzeczywistości panuje—jestto dobroduszny pantofel. Doktór wydaje się twardszym. Zarozumiały, zaufany w swojéj nieomylności jako obserwator i lekarz, szorstki i bezwzględny, mniema, że istotnie jest panem domu, ale sprytna jego żoneczka wzięła się na sposób i gdy chciała coś przeprowadzić, udawała, że jest temu przeciwną, gdyż wtedy mąż z pewnością odmiennego był zdania. Przytém doktór był nadzwyczajnie próżny i drażliwy; gdy mu więc opowiedziano plotkę, jakoby Milicz wyrażał się o nim niekorzystnie, został już on w opinii jego stracony. Najtrudniéj szło z burmistrzem, człowiekiem trzeźwo patrzącym na rzeczy, mającym trafne poczucie słuszności, nie podlegającym już wpływowi wdzięków niewieścich. Ale i na niego znalazły sposób żona i córka: narzekania, posępne miny, ponure milczenie, wreszcie szlochy, płacze i spazmy wprowadzają burmistrza najprzód w irytacyę, potém w rozczulenie — i dla świętego spokoju w domu poświęca biedaczysko swoje przekonanie. Feliks zostaje dyrektorem; Milicz zaś znajduje odszkodowanie pod postacią narzeczonéj, Wandy Oleckiéj, która żałując, iż dała się użyć za narzędzie do obalenia jego kandydatury, porzuca swe mrzonki emancypacyjne i zawód wynagradza mu swą rączką.

Epizodyczne figury feministek, karykaturalnie nakreślonych: Dyktalskiéj, Piętrzykowskiéj i Feinstrichówny, są wprowadzone tutaj tylko dla wzmożenia komizmu sztuki, mającéj go i tak podostatkiem.

Pominąłem w powyższém sprawozdaniu albo takie sztuki, których dobrze nie znam, jak „Rodzina Dylskich" (1875), przedstawiająca zgubną chęć wyniesienia się rzemieślników nad swoję sferę; albo taką grubą farsę. jak „Teatr amatorski" (1877), gdzie rysy karykaturalne

i nieprawdopodobne sytuacye wyzyskane zostały dla wywołania jedynie śmiechu, albo wreszcie tak zwane przez autora fraszki sceniczne, jak „Na łonie natury”, „Bilecik miłosny”, „Kuzynek”, „O Józię”, które tylko zręcznem dyalogowaniem i dowcipem się odznaczają, nie mając zresztą pretensyi do przedstawienia jakichś wyraźnych charakterów.

IV.

Po tém sumaryczném rozejrzeniu się w komedyach Bałuckiego, zapytajmy o jego psychologią i artyzm.

Komedyę pojmuje nasz autor w dawném znaczeniu: za pomocą śmiechu ma ona karcić obyczaje. Nie należą zatém do jéj zakresu ani charaktery głębokie lub subtelne, ani powikłania i kolizye naprężone, ani zagadnienia trudne i zawiłe, gdyż te wszystkie czynniki musiałyby za sobą sprowadzić namysł poważny, wzruszenie silne, zasępienie myśli, starcia się bolesne. Wówczas śmiech swobodny, śmiech szczery, wyraz pogodnego usposobienia ducha i wyższości naszéj nad drobnostkami życia i ludźmi, co się z niemi biédzą, uleciałby bezpowrotnie, a jego miejsce zająłby uśmiéch szyderczy czy sarkastyczny, lub ciężka zaduma nad zepsutemi stosunkami społecznemi i nędzą natury człowieczéj.

Bałucki chce się śmiać i pobudzać innych do śmiechu; więc téż zawsze wybierał temata, które mogły miéć wesołe lub przynajmniéj pogodne rozwiązanie. Rzeczy bardzo drażliwych nie poruszał wcale, albo tylko mimochodem. Znamiennym jest rys, iż w dwudziestu kilku sztukach swoich ani razu nie obrał za ich przedmiot główny motywu, tak pospolitego w komedyach francuskich i naszych, jakim jest niewiara małżeńska. Mężatki, prowadzące romans, są zawsze postaciami epizodycznemi tylko u Bałuckiego. Najjaskrawszą w tym względzie postacią jest doktorowa Figurkowska w „Gęsiach i gąskach,” z bardzo dobrze dobranym towarzyszem Pantaleonem Durnickim. O sprytném oszukiwaniu męża, zarozumialca, wierzącego w nieomylny swój system, słyszymy tylko w „Domu otwartym”, nie widząc schadzki na scenie, a jeżeli ją widzimy, jak w „Radcach pana Radcy” to już w fazie rozłamu. Inne mężatki, zamierzające dopiéro się sprzeniewierzyć (w „Pracowitych próżniakach”, we „Flircie”, w „Niewolnicach”) powstrzymują na téj drodze albo szlachetne postępowanie i rozumne słowa kochanego człowieka, albo odepchnięcie afektów, albo miłość do dzieci. A w każdym z tych nielicznyh wypadków, autor szybko je mija, zaledwie je nam ukazując, nigdy téż nie stają się

one przyczyną jakiegoś gwałtownego starcia; lecz, z wyjątkiem „Flirtu” wywołują raczéj uśmiéch, a to dlatego, że dotykają ludzi, dla których spółczucia miéć nie możemy.

Na słabości i błędy jest komedyopisarz wyrozumiały. Tu i owdzie sarknie dotkliwiéj, ale tylko na chwilę. Największą karą dla błądzących bywa u niego ośmieszenie lub upokorzenie. Jeden tylko Funio z „Pozłacanéj młodzieży”, który wyłudziwszy lub poprostu zabrawszy cudze fundusze, ucieka z kokotą do Wiednia, jest ścigany przez policyę jako złodziéj. Drugi podobny do niego trochę wyzyskiwacz młodych głupców, Kamil w „Pięknéj żonce”, pod wpływem wspomnień rodzinnych oraz przez miłość do sympatycznego dziewczęcia, poprawia się, porzuca życie próżniacze i bierze się do pracy. Tak samo, mniéj zepsuci lamparci, z gruntem serca poczciwym, znajdują u komedyopisarza naszego łaskę, nadzwyczaj szybko się przemieniają i odgrywają dodatnie role (np. Stefan Czeczuga w „Nowym dzienniku”).

Tak zwane grzeszki kawalerskie traktuje Bałucki lekko i podobno nie możnaby znaléźć silniejszego kontrastu, jak gdy się zestawi „Rękawiczkę” Björnstjerne-Björnsona z fraszką naszego autora „O Józię.” U norweskiego dramatyka stosunek miłosny narzeczonego staje się powodem zerwania małżeństwa projektowanego, gdy Bałucki swoim urwisom (mężowi i narzeczonemu) napędza tylko nieco strachu i konfuzyi; narzeczona łatwo wybacza Zygmuntowi, a żona pozostaje w błogiém zaufaniu do męża. Widocznie autor, ze względu na słabość ludzką, nie chciał sprawek takich brać na seryo i traktować ich po doktrynersku.

A jak kolizye łatwo się u Bałuckiego wyrównywają, tak téż i przemiana usposobień dokonywa się bez trudu i to zarówno w złém jak w dobrém. Najczęściéj oddziaływa na osoby komedyi zły lub dobry przykład; niekiedy jedno słowo. Czasami nas to razi, gdy osoby komedyi okazują się zbyt łatwowiernemi, zbyt podległemi lada drobnemu wpływowi; czasami przemiana wewnętrzna usposobienia przedstawia dla baczniejszego spostrzegacza pewne trudności, pewne nieprawdopodobieństwa, zwłaszcza gdy się odbywa w bardzo krótkim przeciągu czasu; na ogół powiedziéć można, że owe metamorfozy dlatego są tak łatwe, iż dokonywają się w duszach dosyć płytkich, które nic nie biorą głęboko ani do serca ani do umysłu.

Rzeczywiście, nie tylko ograniczone mieszczuchy, nie tylko zadomowiona szlachta, lecz nawet „inteligencya”: adwokaci, inżynierowie, technicy, literaci, dziennikarze, artyści są w komedyach Bałuckiego istotami niezmiernie łatwemi do przeniknięcia; można powiedziéć, że serce i umysł noszą na dłoni. I tém są do siebie rodowo podobni; ró-

żnią się jedynie drobnemi, częstokroć czysto zewnętrznemi rysami. Stąd można ich podzielić na pewne kategorye, dające się określić kilkoma słowy.

Najsłabszymi artystycznie, najbardziéj ogólnikowymi są bohaterowie dodatni, co zresztą jest wspólną cechą wszystkich naszych komedyi. Są to ludzie uczciwi, szlachetni, rozsądni, a nawet po większéj części dosyć zaradni. Nadmiarem uczuciowości wcale się nie odznaczają; kochając znoszą kaprysiki swoich bohdanek, nie bardzo się martwią ich chwilową niełaską, słów nietylko porywających, ale nawet czułych nie wypowiadają. Mają jakieś określone zajęcie, umieją zazwyczaj usunąć przeszkody, stawiane na drodze urzeczywistnienia swych zamiarów; ale i w tém nie rozwijają ani wielkiéj przenikliwości, ani też szczególnéj energii; dopomagają im czasami sprytniejsi od nich nawróceni lamparci.

Młode panny są również do siebie podobne: dobre, serdeczne, gospodarne, litościwe, sympatyczne kochają stale i wytrwale; niekiedy drobna chmurka nieufności ukaże się na niebie ich rojeń, ale rychło znika, lubią kotki, ptaszki i t. d. W słowach nie posiadają wielkiéj biegłości, w marzeniach nie bujają, trzymając się ziemi i jéj wymagań. Od czasu do czasu jakiś rysik ich cokolwiek uwydatnia, np. spryt i umiejętność wyzyskiwania słabości ludzkich (panienki w „Grubych rybach"), drażnienie się z narzeczonym (Kamilla w „Domu otwartym"), udany wstręt do ukochanego z żądzą, żeby on zawsze się niemi zajmował (Marynia Mirska w „Klubie kawalerów"). Wszystkie zaś wybuchają szczerem uczuciem, gdy ukochanym grozi jakie niebezpieczeństwo, nawet jeśli są przekonane, że utracili ich serce (Marynia Mirska, Fela w „Ciepłéj wdówce").

Rozmowy miłosnéj, któraby mogła sama przez się zająć, nie ma w sztukach Bałuckiego; uczucie wyraża się w słowach pospolitych, prawie banalnych; zachowanie się tylko osób nadaje téj stronie komedyi pewne zajęcie, chociaż bynajmniéj nie największe, gdyż właściwy interes skupia się w figurach charakterystycznych, które też stanowią właściwą dziedzinę twórczości naszego autora i zapewniają mu bardzo wydatne miejsce w literaturze.

Od niedorostków do staruszków mamy tu całą ich świetną galeryę, pobudzającą w większym lub mniejszym stopniu do śmiechu.

Bałucki zna Kraków i jego okolice najlepiéj; stąd też wszystkie jego charakterystyczne postaci noszą wybitne piętno miejscowe, czy to będą takie niedorosłe jeszcze, a już zepsute chłopaki, jak bracia marmurki, dwukrotnie występujące u Bałuckiego (Lunio i Munio—kogucikí pełne komizmu w „Pozłacanéj młodzieży"; Lolo i Lunio hrabiowie

Gapiszewscy (w „Pięknej żonce”); czy starsi od nich, ale nie rozumniejsi bracia Jabczyńscy, goniący za posagiem (w „Ciepłej wdówce”), czy łobuzy i lamparty, jak rozmaite Artury i Napcie; czy froterzy wynajmujący się do tańca za dobrą kolacyę i możność swobodnego rozpierania się po kanapach; czy kamieniczniki, dorobkiewicze, dla pokazania się i wejścia w sferę wyższą, udający marnotrawców; czy szlachta w najrozmaitszych odmianach śmiesznostek, czy hrabiowie bratający się z mieszczaństwem lub szlachtą dla chwilowego interesu; czy podstarzali kawalerowie, próbujący grać rolę młodzików, czy staruszkowie poczciwi i zacni, ale swarliwi z przyzwyczajenia: wszystko żyje w komedyach Bałuckiego naprawdę, tak samo jak strojnisie, pięknotki, kobiétki rozamorowane, stare panny, wymalowane czupiradła lub herod-baby.

W malowaniu tego mrowia ludzkiego, śmiesznego swemi pretensyami, lub niezgodnością słów z postępowaniem, używa Bałucki rysów wydatnych, grubych, często wpadających w karykaturalność, ale osiąga prawie zawsze efekt zamierzony—rozśmiesza widzów. W posługiwaniu się środkami artystycznemi nie przebiéra; nieraz chwyta się takich, które krotochwili tylko są dzisiaj dozwolone, jak podsłuchiwanie, naciągane nieporozumienia w słowach, nadmierna łatwowierność, dobroduszność lub głupota osób, po których nie oczekiwaliśmy takich właściwości. Intryga zazwyczaj bywa bardzo prosta, nawet błaha, tak że jéj rozsnucie i rozwiązanie wielkich wysiłków ze strony komedyopisarza nie wymaga. Pierwszy akt bywa zazwyczaj najlepszym.

Ażeby sytuacyę uczynić komiczną, nie waha się autor uciekać do zawikłań nieumotywowanych, nieprawdopodobnych. Dla ułatwienia sobie sprawy, usuwa często osoby ze sceny w sposób dowolny. I pod tym względem nie uczynił Bałucki wielkiego postępu w przeciągu lat trzydziestu. Parę przykładów tu wystarczy. Biorę jedną z nowszych sztuk: „Ciepłą wdówkę”. Jest dzień imienin tytułowéj bohatérki. Spodziéwani są oczywiście liczni goście. Ale ponieważ autorowi byłoby niewygodnie dać się zebrać wszystkim, gdyż rozsnucie sytuacyi nie byłoby łatwém, więc gdy pierwszy gość się pojawia, pani Hortensya zabiéra go zaraz na śniadanie, bo ani ona, ani ten gość nie są potrzebni do scen, jakie bezpośrednio mają nastąpić. Podobnie w „Niewolnicach”. Ażeby okazać, jak biedny Filatyński obładowany jest różnemi sprawunkami, każe mu wchodzić do obcego pokoju w palcie i wyjmować po kolei rozmaite paczki i paczuszki ze wszystkich kieszeni paltota i tużurka...

Rozumié się, że tam, gdzie idzie o śmiéch tylko, publiczność mało zważa na takie drobnostki, w życiu towarzyskiém nieprawdopodobne.

I język osób w komedyach Bałuckiego sprowadzony został do niskiego ich poziomu umysłowego. Z wyjątkiem jednéj komedyi („Po śmierci cioci"), gdzie styl jest bardziéj literacki, we wszystkich innych panuje szarzyzna pospolitości, częstokroć nieogładzona nawet z chropowatych kantów. Najmniejszéj dbałości autor nie okazuje nietylko o piękność wyrażenia, ale nawet o jego wyższą nieco poprawność. Stara się naśladować mowę powszednią warstwy średniéj, dosypując do niéj tylko dużo konceptów, dwuznaczników i żartów. Wyższego dowcipu trudno się doszukać w sztukach Bałuckiego. Nawet literaci i dziennikarze mówią wyszarzanym językiem i stylem. Jeden tylko malarz Antoś w „Ciepłéj wdówce" cokolwiek dodaje barwy swoim wyrażeniom przez użycie gwary artystycznéj.

Ale ta mowa pospolita nie razi nas na przedstawieniu; uderza ona tylko w czytaniu — i może dlatego autor tak mało sztuk swoich ogłosił drukiem. Ażeby komedye Bałuckiego naprawdę się podobały, muszą być widziane na scenie. Wtedy dopiéro przekonywamy się, co to znaczy talent iście sceniczny. Uwydatnione grą artystów rysy znamienne osób, zrozumiałych dla wielkiéj masy widzów, komizm sytuacyi działający sam przez się bez pomocy słów nawet, pogoda umysłu autora, udzielająca się publiczności, szczera i zdrowa wesołość, tak potrzebna do podtrzymania rzeźwości umysłu i wlewająca poczucie wyższości nad tém mrowiem, co się trapi nad podniesieniem igiełki sosnowéj, wywołują zadowolenie estetyczne i każą dziękować komedyopisarzowi za mile spędzone chwile. Temi środkami zyskał sobie Bałucki popularność na wszystkich scenach polskich, a przedewszystkiém na warszawskiéj, któréj dostarczył 22 sztuki, po większéj części nie schodzące z repertuaru. Żaden ze spółczesnych komedyopisarzy naszych nie może się taką zasługą pochlubić.

Piotr Chmielowski.



Wielka Brytania, jako federacya.

Istnienie Wielkiéj Brytanii jako jednolitego mocarstwa jest jedném z dziwowisk świata współczesnego. Wysepka rzucona nieopodal od europejskiego kontynentu, zdołała zachować swą niezależność, uorganizować się w państwo samodzielne. Praca ta wewnętrzna wymagała kilkowiekowéj działalności. W niedawnych jeszcze czasach, bo za Elżbiety, nie posiadała Anglia żadnéj po za europejskiéj kolonii, i nie istniała nawet wtedy jeszcze Wielka Brytania jako zjednoczone państwo, bo Szkocya była odrębném królestwém a w Irlandyi, buntującéj się bez ustanku, znajdowały się zaledwie osady angielskie. Dopiero za dynastyi Stuartów urzeczywistniło się stopniowe zjednoczenie trzech królestw, co było dziełem XVII stulecia. Dwa następne poświęcone zostały rozszerzeniu rozmiarów Wielkiéj Brytanii, szczepieniu jéj odrośli opodal narodowych kresów. Dzieło to jeszcze nie jest skończone i Wielka Brytania nie zaprzestała zdobywać nowych terytoryów, stwarzać nowych kolonii. Nie da się ściśle oznaczyć terytoryalnéj rozległości mocarstwa angielskiego, bo ciągle na tym lub owym punkcie kuli ziemskiéj przybywają doń nowe prowincye, nowe kraje. Przed paru laty cyfra 9,000,000 mil kwadr. pokazywała, że Wielka Brytania jest już trzy razy większa od Europy. Odtąd przybyły nowe osady w południowéj i środkowéj Afryce, nowe zdobycze w Azyi. Dla 400,000,000 ludności, która do korony angielskiéj należy, jest gruntu do rozrostu dosyć i rozrost ten niewątpliwie nastąpi.

Gdyby Kanada była zaludniona w ten sam sposób jak Anglia, byłoby tam miejsce na tysiąc milionów mieszkańców. To samo można powiedzieć o Australii.

Nigdy jeszcze świat cywilizowany nie widział takiego aglomeratu ras i plemion, zespolonych w jeden organizm państwowy. Nie organizm toż to żaden, ale potwór — twierdzą nieprzyjaciele Anglii a nawet bezstronni spostrzegacze, żadną do niéj nienawiścią nie zagrzani. Potwór taki nie posiada w sobie życiowych warunków, i prędzéj czy późniéj rozpaść się musi. Przepowiednia ta opiérać się ma na historycznym przebiegu ludzkości, wpośród któréj uniwersalne mocarstwa nigdy trwałego bytu nie posiadały. Nie ma najmniejszéj potrzeby spierać się z tą teoryą. Wystarczyłoby jednak pokazać z jednéj strony, że te analogie historyczne pozbawione są wszelkiéj ścisłości i że żadne z państw dawniejszych, co jak meteory przebiegły dziejową widownię i skonały smutnie, nie posiadało warunków bytu jakiemi rozporządza społeczność wielko-brytańska, a z drugiéj, że nawet po utracie najpotężniejszéj ze swych kolonii—Stanów Zjednoczonych—nie poszło państwo w rozsypkę, ale przeciwnie, zaczerpnęło w téj okoliczności ferwor i animusz do nowych wysiłków kolonizacyjnych. Upadek Wielkiéj Brytanii, jako mocarstwa wszechświatowego, nie jest tedy ani tak oczywisty ani tak pewny, jak się tym lub owym wydaje. W każdym razie, jest to ewentualność tak oddalona, że może zabawiać fantazyę marzycieli i spekulacyę umysłów abstrakcyjnych, ale nie ma nic wspólnego z istotnemi zagadnieniami rzeczywistości.

Lecz jeżeli można zostawić przyszłości rozstrzygnięcie kwestyi co do większéj lub mniejszéj trwałości tego państwa - olbrzyma, to nie ma natomiast najmniejszéj wątpliwości, iż jego rozmiary, tak samo jak różnice etnograficzne i cywilizacyjne, zachodzące w warunkach istnienia składowych jego części, są zarodkiem rozmaitych trudności wewnętrznych i zewnętrznych. Łatwiéj było zdobywać z gorączkowym pośpiechem jedne kraje po drugich, przywłaszczać sobie narody nierozwinięte i terytorya słabo zasiedlone, aniżeli systematycznie i w myśl głęboko osnutego planu wprowadzać je do ustroju państwowego. Anglicy rzucili się byli z zapałem i energią do pierwszéj części tego zadania, wiadomo z jak wielkiem powodzeniem; drugą atoli zostawili czasowi, w przeświadczeniu, że się stosunki wyklarują, ułożą, i że pod berłem Wielkiéj Brytanii będzie tak dobrze tym różnym narodom, iż bez żadnych wielkich wysiłków raz na zawsze zatrzymać je dla siebie potrafią. Naprzód podbić jak można największą ilość świata—następnie zorganizować go: oto metoda, jaką się rządzili Anglicy. Sfera dalszych podbojów staje się coraz szczuplejszą po prostu ze

względu na ograniczone rozmiary naszéj kuli ziemskiéj. Drugie zadanie—uorganizowanie tych zdobyczy—narzuca się za to coraz bardziéj stanowczo, coraz bardziéj naglące uwadze świata brytańskiego.

A zadanie to jest wielce skomplikowanéj natury. Choćby Anglia mogła przeboléć utratę téj lub owéj ze swych kolonii, to jest jéj elementarnym obowiązkiem dokładać wszelkich starań, ażeby możliwość takiego odpadku usunąć i utrzymywać jak można najdłużéj całą tę dorastającą dziatwę pod wspólną strzechą ojcowską. Polityka, jakiéj się dotąd rząd angielski trzymał, polegała na zostawieniu koloniom jak największéj, jak najszerszéj swobody wewnętrznéj; samorząd ich posunięty został do granic, zostawiających miejsce nieledwie tylko dla unii osobistéj z Koroną, do tytularnéj od niéj zależności. Polityka ta wydała świetne owoce i przyczyniła się do szybkiego, nieprawdopodobnego prawie rozwoju kolonii. Ale stawało się jednocześnie widocznéın, że jeżeli zadzierzgnięty nie zostanie wspólny jaki węzeł pomiędzy córami a macierzą, to poczucie solidarności, jedności państwowéj będzie się zatracać i gasnąć. Inna linia wytyczna, już nie odśrodkowa ale dośrodkowa okazała się użyteczną, i zaczęto przemawiać za scentralizowaniem działalności kolonialnéj z czysto angielską. Rozmaite owe stowarzyszenia, ligi federacyjne, instytucye wszechbrytańskie i cały ów ruch imperyalistyczny, który się bujnie rozwinął w ostatnich kilkunastu latach a któremu przewodniczą wszyscy wybitni mężowie stanu, są symptomatami zapowiadającemi poczucie potrzeby przystąpienia do organizacyi państwowéj owéj większéj Brytanii. Organizacya ta, oczywiście, nie może być inna jak federacyjna. Nikt nie wątpi wprawdzie, że federacya jest najwyższą, najdoskonalszą formą bytu państwowego, ale gdy się ten aksyomat ze sfery abstrakcyjnéj przenosi do zastosowania faktycznego, to się napotyka natychmiast cały szereg olbrzymich, na pierwszy rzut oka niepokonalnych przeszkód. Odległość kolonii od metropolii i odległość jednych kolonii od drugich, różnice klimatyczne i etnograficzne, odmienne potrzeby ekonomiczne, różne zagospodarowanie u tych i owych, inne prawa, zwyczaje, obyczaje i cały poziom cywilizacyjny, sprawiają, że to poczucie jednolitości narodowéj, bez którego żaden organizm federacyjny istnieć nie może, nie będzie mogło tak snadnie skrystalizować się we wspólnych instytucyach, obejmujących wszystkie kraje i narody w skład Wielkiéj Brytanii wchodzące, jak to się idealistom wydawało.

Jakkolwiek skomplikowany to problemat, zostaje patryotom angielskim pociecha, że rozwiązanie jego nie jest naglące, że zostawić je można czasowi, temu arcy-mistrzowi. Przy natężonéj bezustannie w tym kierunku działalności narodowéj, przy systematycznie prowa-

dzonéj polityce mężów stanu, wśród atmosfery pokojowéj wykluczającéj starcia orężne z obcemi państwami, uda się im, prędzéj czy później, organizacyę taką przeprowadzić. Nim jednak ta godzina wybije, jest inne, bliższe domu, zagadnienie do przeprowadzenia, zagadnienie, które można uważać niejako za wstęp, za fundament owéj wszechbrytańskiéj federacyi przyszłości. Mamy tu na myśli federacyę pomiędzy trzema królestwami składającemi Wielką Brytanię, Anglią, Szkocyą i Irlandyą razem z księstwem Walii jako czwartą częścią składową.

Pomysł sam, zastąpienia istniejącéj obecnie ścisłéj unii przez luźniejszą z natury rzeczy federacyę, wydawać się może nieprzygotowanym do tego umysłom, cudackim i sprzecznym z interesami wielkiego mocarstwa, z powszechnemi tendencyami chwili bieżącéj. Głębsze zastanowienie się i obeznanie z kwestyą przekona jednak niebawem, że tak nie jest, i że organizacya federacyjna jest pożądaną dla Wielkiéj Brytanii saméj, że jest radykalnym środkiem na choroby konstytucyjne i zatargi wewnętrzne, nic już nie mówiąc o ułatwieniach jakie przyniesie dla wprowadzenia w czyn owéj federacyi kolonialnéj, będącéj przy obecnéj organizacyi Wielkiéj Brytanii, przyrostkiem innéj natury, nielogicznym, niepasującym do instytucyi krajowych, nieledwie fantastycznym. Dlatego téż coraz szerszém jest grono zwolenników téj reformy ustawy angielskiéj. Obznajmieni z życiem parlamentarném Wielkiéj Brytanii wiedzą, że stowarzyszenie *Home-rule all round* agituje za takową. Naukowym wyrazem tych tendencyi jest książka p. T. A. Spalding: „Federacya i Cesarstwo" [1]). Autor, który się zajmował dawniéj innemi zagadnieniami prawa publicznego, jak np. reformą izby lordów i okazał się umysłem zarówno przezornym jak śmiałym w inicyatywie, posiada wszelką kompetencyę do traktowania tego przedmiotu. Trudno zaiste o lepszego przewodnika w téj części naszéj pracy.

Nie tylko obcych czytelników ale i masę narodową angielską myśl sfederowania królestw, składających Wielką Brytanię, zadziwia i zastaje nieprzygotowaną. I nie może być inaczéj. Jeżeli świat parlamentarny i grupy specyalnie się zagadnieniami politycznemi zajmujące nabrały przekonania o nieodzownéj konieczności zmiany ustawy krajowéj i jeżeli one wiedzą, że ta machina bez radykalnéj naprawy daléj funkcyonować nie będzie mogła, to naród, jako taki, jeszcze z myślą tą się nie oswoił. Wielka Brytania, jak wiadomo, nie posiada

---

[1]) *Federation and Empire.* London, Heury, 1896, in 8-o str. 340.

pisanéj, w artykuły i paragrafy ujętéj, konstytucyi. Urosła ona i wytwarzała się wraz z biegiem życia narodowego. Każdy parlament może zmieniać zasadnicze ustawy i czyni to nieraz. Nie ma natomiast owych ciał prawodawczych zwoływanych *ad hoc* i improwizujących całkiem nową konstytucyę, jak to ma miejsce we Francyi. Naród, który uważa ją, taką jaka jest, za *palladium* swych swobód, nie widzi potrzeby targnąć się na nią, zburzyć istniejące stosunki wypróbowanéj użyteczności i uświęcone wiekami, dla nowéj, teoretycznie może doskonalszéj, ale która otworzyć może wrota awanturniczym przewrotom. Do pewnego stopnia całe społeczeństwo angielskie jest zdania, jakie wypowiedział jeszcze w końcu zeszłego stulecia Edmund Burke. Tak samo jak profani podziwiają arcydzieła Rafaela i Michała Anioła *in verba magistri*, nie rozumiejąc dobrze na czém ich istotna wielkość polega, tak samo, podług niego, należało czcić i uwielbiać konstytucyę angielską, całkowicie, bezwzględnie. Ten brak krytycznego sądu, który wywołuje nasze politowanie, jest wszelako endemicznym u masy narodu. Mając przed oczami jeden parlament dla wszystkich części składowych monarchii, nie przypuszcza, że inny ustrój publiczny mógłby być lepszym.

Można powiedzieć, że uwaga powszechna zwróciła się na tę sprawę dopiéro w ostatnim lat dziesiątku, gdy Gladstone poślubiwszy sprawę usamowolnienia Irlandyi, przedłożył parlamentowi swój bil, nadający jéj samorząd i sejm krajowy. W świetle kilkoletniéj agitacyi, która się około téj kwestyi toczyła, umysły się przetarły i poznajomiły z naturą zagadnienia. Oburzenie, jakie u większości Anglików wywołała wtedy propozycya zastąpienia unii trzech królestw przez unię dwóch i federacyjny jéj związek z trzeciém, z Irlandyą, pokazało wprawdzie zaufanie masy, ale udowodniło także, iż zagadnienie zostało postawione błędnie, niedokładnie. W istocie szło o radykalny przewrót w konstytucyi państwa, a wielki mąż stanu, który przeprowadzić go chciał *quand même*, uznał za właściwe zamaskować naturę i doniosłość proponowanéj zmiany. My wszyscy, którzy z jednego końca Europy do drugiego przyklaskiwaliśmy, z poczucia sprawiedliwości i słuszności irlandzkich dążeń narodowych, projektowi Gladstona, nie zamykaliśmy oczu na jego namacalne wady. Najważniejszą z nich było oznaczenie udziału deputowanych irlandzkich w parlamencie westminsterskim. W pierwszym ze swych projektów Gladstone wykluczał ich z niego całkowicie; w drugim—wprowadzał ich tam połowicznie tylko, gdyż do spraw czysto angielskich nie mieli się mieszać, ograniczając swą działalność prawodawczą do tych, które się całości monarchii tyczyły. Projekta te są pogrzebane obecnie i nic nie

zapowiada ażeby miały kiedykolwiek w pierwiastkowéj swéj formie być wskrzeszone. Ale gdy wybije godzina nadania Irlandyi samorządu i jéj miejscowego, narodowego sejmu, nie ma wątpienia, że takie same instytucye nadane zostaną i innym częściom monarchii. Wtedy nie będzie już żadnéj z trudności, o jakie się rozbiły bile irlandzkie Gladstona: po nad krajowemi sejmami będzie wspólny parlament brytański ogarniał całość imperyum a przy ściśle ograniczonych atrybucyach każdego z tych ciał szczegolnych nie byłoby miejsca dla kolizyi i sporów jurysdykcyjnych.

Jeżeli z okazyi agitacyi irlandzkiéj uwaga kraju zbudzona została w téj kwestyi i jeżeli praktycznym jéj rezultatem było pojęcie, że nie jedno tylko królestwo, ale wszystkie trzy mają prawo do roztrząsania swych interesów indywidualnych w granicach jedności państwowéj, to nie należy przypuszczać, żeby zwrot ten opinii nastąpił nagle i niespodzianie. Materyałów do niego było nagromadzonych mnóstwo i czekały na chwilę, aby zużytkowane być mogły. My, cudzoziemcy, przywykliśmy uważać wszystkich mieszkańców królestw zjednoczonych za jeden naród; oni sami nie zatracili w sobie bynajmniéj poczucia odrębności. Nietylko Irlandczyk, ale Walijczyk i Szkot protestują gorąco, gdy się ich bierze za Anglików. Dwieście lat upłynęło od zjednoczenia Szkocyi z Anglią, a sto od unii z Irlandyą, ale czas ten nie wystarczył do zatarcia cech znamiennych każdego z tych krajów. Różnice są widoczne nietylko w języku i dyalektach prowincyonalnych, nietylko w zwyczajach, obyczajach i ceremoniach, ale są utrwalane przez prawa i instytucye, które każdy z tych krajów u siebie przechował. Nie trzeba zapominać ani o ruchach rewolucyjnych, które przez całe pół wieku po przyłączeniu Szkocyi do Anglii zakłócały porozumienie, ani témbardziéj jeszcze o protestacyach Irlandyi przeciwko uczynionemu sobie gwałtowi. Pod tą zewnętrzną jednością istnieją tedy żywioły samodzielne, które radośnie powitają wszelkie środki, zdążające do zapewnienia im swojéj indywidualnéj sfery działalności.

Gdy jest dziś mowa o równouprawnieniu trzech królestw pod koroną angielską, to jest to frazes, którego nikt nie może brać dosłownie. W téj unii Anglia zajmuje stanowisko uprzywilejowane, dominujące. Uderza to w oczy na każdym kroku, a prawnie objawia się w składzie parlamentu. Na 670-ciu deputowanych izby gmin Anglia ma 495-ciu, a Szkocya i Irlandya razem tylko 175. Jest więc absolutném niepodobieństwem, ażeby jakakolwiek sprawa, na któréj przeprowadzeniu zależy jednemu lub drugiemu z tych krajów, otrzymać mogła sankcyę parlamentu, dopóki nie pozyska sobie głosów Anglii. Łatwo tedy zro-

zumiéć, że mniéj lub więcéj gorzko i gwałtownie skarżą się na ten stan rzeczy członkowie podrzędni. Dziwniejszém się zdaje, gdy tę samą skargę podnosi Anglia. Słynném jest słowo lorda Salisbury o *Celtic Fringe* stawającéj na zawadzie rozwojowi Anglii. A przecież i w tém jest słuszność. Przedstawiciele Szkocyi i Irlandyi w parlamencie — ci ostatni przedewszystkiém—występują bez przerwy z tylu roszczeniami, tylu projektami prawodawczemi, że pochłaniają one większą część sesyi i że czasu nie staje na roztrząśnienie spraw naglących, albo czysto angielskich, albo ogólnie narodowych.

Jak wiadomo, sfera działalności parlamentu obejmuje dwie gałęzie — prawodawczą i tę, która kontroluje administracyę prowadzoną przez rząd. Pod obu względami system unii taki, jaki funkcyonuje od wcielenia do niéj Szkocyi i Irlandyi, okazał się wadliwym. W dziedzinie prawodawczéj obliczenia statystyczne pokazują, że w ciągu obecnego stulecia od r. 1821 do 1890 bile, odnoszące się do spraw całego organizmu narodowego, były w stosunku do spraw czysto miejscowych jak 30.7 do 69.3. Interesa Wielkiéj Brytanii zostały tedy upośledzone przez podrzędne, lokalne. Nie trzeba innych dowodów, ażeby nabrać przeświadczenia, że ta sztucznie przeprowadzona unia nie stłumiła bynajmniéj partykularyzmu. Anglia pchała zawsze swe krajowe sprawy i interesa naprzód, a zarówno inne składowe części monarchii, jak ta monarchia, jako całość, mają wystarczające powody utrzymywać, że wszystkie nadzieje, jakie towarzyszyły przekształceniu ustawy konstytucyjnéj w 1800 roku przez unię z Irlandyą, spełzły na niczém i że pod względem prawodawczym machina konstytucyjna pokazała jaskrawo wszystkie swe niedostatki, całą nieudolność do normalnego funkcyonowania. To samo pokazuje się, gdy się bierze pod uwagę drugą część działalności parlamentu — kontrolę administracyi. Trudniéj posługiwać się tu statystyką, bo nie o żadne nowe akta dodane do statutów narodowych, ale idzie tu poprostu o rozprawy, które się toczą dzień po dniu, dotykają wszystkich zjawisk życia publicznego i wyrażają się zarówno w dyskusyach, jak w wotach końcowych. Ale i tutaj, gdy się weźmie do rąk Hausarda, ten obraz i to echo życia parlamentarnego, uchwyconego na uczynku, dochodzi się do wniosku, że parlament pochłonięty bywa tak dalece jednemi sprawami—w ostatnich latach debaty nad irlandzkiemi zagradzały drogę wszystkim innym — że wielu innych pierwszorzędnéj wagi nie ma możności dotknąć nawet powierzchownie. Napływ spraw publicznych do tego centralnego organu jest tak ciągły i tak tłumny, że sparaliżowanie organizmu całego musiało nastąpić. Jesteśmy już tego świadkami.

Najpowierzchowniejsza znajomość wypadków historycznych pozwala jasno rozumiéć powody, jakie skłoniły Anglię w początku XVIII wieku do zawarcia unii ze Szkocyą. Szło o zniweczenie raz na zawsze możliwości francusko-szkockiego aliansu, pełnego niebezpieczeństw dla Anglii. Nie wystarczało uznanie ze strony Szkocyi dynastyi hanowerskiéj; trzeba było zlać oba kraje w jeden wspólny organizm państwowy. Zniweczenie szkockiego parlamentu było w oczach Anglików niezbędną koniecznością. Korzyści handlowe i przemysłowe, jakie uboga Szkocya otrzymała wzamian, osłodziły jéj poniesione straty, ale, jak powiedziano wyżéj, nie odrazu pogodziły ją z utratą swéj niezależności państwowéj. Wielokrotnie zauważyli historycy, że akt unii był poprostu traktatem pokojowym, którego zawarcie nie kładło kresu zobopólnéj nienawiści. Dzisiaj, po upływie blisko dwóch stuleci wspólnego rozwoju, nienawiść zatarła się wprawdzie, wygasła: więcéj jednak nie można powiedziéć. Za dni naszych Szkocya otrzymała ustępstwa konstytucyjne, jak osobnego sekretarza stanu do swych spraw krajowych i powiększenie reprezentacyi narodowéj, ale pragnienia Szkotów sięgają daléj, wyżéj. Zrozumieli oni oddawna, że polityczne interesa ich kraju ujednostajniały się z interesami całéj Wielkiéj Brytanii i że jest korzystném dla nich związek ten państwowy i nadal utrzymać. Potępiają jednak formę, jaką on przybrał, gdyż ta forma jednolita trzyma w pętach wiele sił ekonomicznych i cywilizacyjnych, narzuca im system administracyjny, zwyczajom i tradycyom przeciwny, a nie uwzględnia wielu potrzeb wyłącznie miejscowych. Gdyby natomiast, zamiast obecnéj unii, istniał pomiędzy Anglią a Szkocyą związek tylko federalny, korzyści zobopólne byłyby niezaprzeczone. Sejm szkocki załatwiałby wszystkie sprawy krajowe, a delegaci szkoccy wysłani do parlamentu w Londynie braliby tam udział w rozprawach i decyzyach, tyczących się ogólnie państwowych kwestyi i zagadnień.

Daleko bardziéj jątrzącym jest do dziś dnia stosunek Irlandyi do Wielkiéj Brytanii. Nietylko że nie zatarły się wspomnienia potwornych zbrodni, jakie towarzyszyły dokonaniu unii, zagładzie samodzielnych instytucyi irlandzkich, konfiskacie ich praw i własności, ale zatrzéć się nie mogły. W sercu każdego Irlandczyka zapuściło głębokie korzenie przeświadczenie, iż Anglia postępuje sobie względem ich ojczyzny niesprawiedliwie i po tyrańsku. Przekonanie to poprzéć mogą długą litanią faktów, które można pomijać, ale których znaczenia, gdy się je raz weźmie pod rozbiór, żaden bezstronny umysł nie zaprzeczy. Pod względem ekonomicznym nietylko interesa Irlandyi nie zostały rozwinięte i należycie uwzględnione, ale systematycznie zanied-

bywane. Jéj świetne niegdyś rolnictwo, jéj bujne pastwiska, co wypasały doskonałe trzody, jéj lasy słynne ze starodrzewu, wytępione zostały i zniweczone wskutek różnych przepisów celnych, mających na widoku faworyzowanie innych części monarchii; żegluga nadbrzeżna, handel wewnętrzny upadły; ludność marła z głodu i nie znajdowała innego środka ocalenia, jak opuszczać ojczyste zagony i przesiedlać się za morza. Żadne wykręty nie są w stanie obronić i usprawiedliwić téj mściwéj i egoistycznéj polityki ekonomicznéj, jaką Anglia, począwszy od XVII i XVIII-go stulecia, prowadziła w Irlandyi. Do dziś dnia stosunki finansowe są tam tak chaotyczne, iż komisye parlamentarne, zwoływane jedne po drugich, zajmują się rozstrzygnięciem kwestyi, czy Irlandya płaci o parę milionów franków rocznie więcéj podatków do skarbu państwowego, niż to na nią przypadać winno. Jedna z tych królewskich komisyi przyznała słuszność skargom Irlandyi, a nie chcąc zwrócić niesłusznie zagrabionych milionów, rząd nie znalazł innego środka zamknięcia ust przeciwnikom, jak mianowanie nowéj komisyi śledczéj. *Sub judice lis est* i nie przesądzając wyroku, wolno wyrazić oburzenie, że samo takie podejrzenie mogło być wypowiedziane i poparte powagą znakomitych osobistości wszech stronnictw, że przyszło do jego rozbioru. Zasadniczą ideą władz angielskich było aż do ostatnich czasów, że Irlandya istnieje wyłącznie dla ich użytku i że mają prawo sączyć z niéj ostatnią kroplę krwi. Polityka ta doprowadziła do wyludnienia i do ruiny ekonomicznéj Irlandyi. Potrzeba będzie i długiego czasu i olbrzymich wysiłków, ażeby ten stan rzeczy naprawić.

Byłoby zbytecznem rozszerzać się nad skargami Irlandyi w sferze administracyi publicznéj, sądownictwa i swobód politycznych. Są to fakta dostatecznie znane. Najniewinniejsze, najsłuszniejsze nawet żądania krajowców były zawsze odrzucane przez dominującą Anglię pod wygodnym pretekstem, że nie idzie Irlandczykom o samorząd krajowy, ale o całkowite oderwanie się od Wielkiéj Brytanii. Nie ma najmniejszéj podstawy do podobnego oskarżenia i nie ma ani jednego odpowiedzialnego męża stanu irlandzkiego, któryby wyraził opinię, iż posiada ona warunki do samodzielności państwowéj. Istniejący stan znienawidzony jest w Irlandyi, i słusznie. Natomiast opinia narodowa powitałaby ochotnie związek federacyjny z Wielką Brytanią, bo związek ten upoważniałby Irlandyę do posiadania swego krajowego sejmu, swego szerokiego samorządu przy legalnym udziale w ciężarach wszechpaństwa i przy korzyściach z tego samego źródła płynących.

Nawet małe księstwo Walii ma odrębne interesa, których przy obecnéj jedności organizmu państwowego przeprowadzić nie może. In-

teresa te są przedewszystniém natury religijnéj. Kościół anglikański, do którego mieszkańcy Walii nie należą, narzucony im został i zagrabia on na swe utrzymanie fundusze krajowe. Parlament odrzucił bil o emancypacyi kościelnéj księstwa Walii, przedłożony mu przez ostatni gabinet liberalny. To nadużycie trwać będzie aż do chwili, gdy i ten kraj posiądzie swój sejm prowincyonalny i samorząd.

Jeżeli powody, przemawiające za przemianą unii na federacyę, są mniéj naglące w Anglii, aniżeli w innych trzech składowych częściach monarchii, to i tam wszelako, jak powiedziano wyżéj, działalność prawodawcza parlamentu nie jest w stanie podołać rozlicznym potrzebom i widoczna, że ze względu na bogactwo, potęgę i cywilizacyjny rozkwit Anglii, ze względu na wielką ilość ognisk handlowo-przemysłowych, sejm krajowy specyalnie i wyłącznie jéj interesom poświęcony, miałby przed sobą szerokie i płodne zadanie. Ale jest jeszcze inny, donioślejszy powód, który powinien zwrócić działalność Anglii ku federacyi. Pod zwierzchnictwem i hegemonią angielską utworzyła się Wielka Brytania i ona reprezentuje imperyum; jéj téż przedewszystkiém zależy na utrzymaniu składających je części w spójni organicznéj. Skoro cel osiągnięty być może w stosunku do kolonii jedynie przez federacyę i skoro istotnie władze krajowe, zarówno jak ruch narodowy, ku temu portowi nawę państwową kierują, to sam zdrowy rozsądek nakazuje przedewszystkiém wprowadzić tę organizacyę federacyjną do tych krajów, które stanowią jądro narodu i bez których współudziału niepodobna byłoby pozyskać dalszych członków.

Kto się bliżéj zastanawiał nad ustrojem politycznym Wielkiéj Brytanii i téj kolonialnéj, którą trafnie nazwano Większą Brytanią, musiał dojść do wniosku, że ta budowa, imponująca kształtami, nie posiada głębokich fundamentów. Trzyma się wprawdzie i trzymać może daléj, dopóki świat postronny zostawia ją w spokoju, ale gdyby wybuchnął jaki potężny uragan, gdyby jedne państwa i jedne rasy stanęły zbrojnie przeciwko drugim, gmach wielko-brytański mógłby być zagrożony dwoma niebezpieczeństwami — odpadkiem niektórych kolonii, obecnie luźnemi tylko spojonych węzłami z metropolią, i rewolucyjnemi wybuchami w tych zjednoczonych królestwach, które bezskutecznie dotąd dopominają się o samorząd i uznanie swych odrębności narodowych. Przezorność tak samo jak rozum stanu wskazują tedy konieczność zastąpienia wadliwego organizmu konstytucyjnego, istniejącego, przez inny, federacyjny.

Największą przeszkodą do przeprowadzenia takiéj zasadniczéj reformy jest brak wszelkiéj konstytucyi pisanéj. Obchodzili się dotąd Anglicy bez kodyfikacyi swego prawa cywilnego i, co więcéj, publicz-

nego także. Konstytucya ich żyła i rozwijała się z dnia na dzień. Ponieważ przy takich wyjątkowych warunkach Wielka Brytania wzrosła i spotężniała w nieprzewidzianych rozmiarach, ponieważ obywatele jéj zażywają od wieków swobód, o które napróżno dotąd dobijają się inne narody, zatém było naturalném, iż wyrobiło się u Anglików przekonanie, albo przynajmniéj poczucie, że szczytem mądrości politycznéj jest nie posiadać żadnéj pisanéj, ustawy konstytucyjnéj zakutéj w artykuły i paragrafy. Gdyby naraz przyszło utworzyć organizacyę federacyjną, obejmującą narody kilkuset milionowe, kraje, rozproszone po całéj kuli ziemskiéj, to nie ma wątpliwości, iż trzebaby było taką ustawę konstytucyjną zredagować, ogłosić, usankcyonować i uczynić obowiązującą. Nie powiadamy, ażeby społeczność brytańska nie mogła zdobyć się na taki wysiłek heroiczny i na krok tak całkiem nowy w jéj dziejowym rozwoju, gdyż w ciągu ostatniego stulecia przyswoiła sobie niejedną zasadę i niejedne instytucye, uprzednio całkiem obce swemu charakterowi i swemu narodowemu geniuszowi: ale nie ma podobieństwa, ażeby taki skok w nieznaną otchłań dokonał się dziś lub jutro. Niezbędnym do tego warunkiem będzie wychowanie opinii publicznéj, oświecenie narodu, że taki a nie inny jest jego obowiązek patryotyczny, że w federacyi jedynie i wyłącznie jest możliwość utrwalenia jednolitości bytu państwowego Wielkiéj Brytanii. Agitacya za tą nową i przełomową doktryną dopiéro co się rozpoczęła. Jak się samo przez się rozumie, zwolennicy jéj idą nieśmiało i chwiejnie na nieprzygotowanym grucie, kiedy krótko widzący konserwatyzm, w optymistycznêm zaślepieniu, że wszystko co istnieje jest nieposzlakowane dlatego poprostu, że istnieje, z oburzeniem powstaje na samą myśl federacyi i znajduje nie jeden, ale tysiące argumentów, dowodzących, że Wielka Brytania nie posiada i posiadać nigdy nie będzie czynników do federacyi niezbędnych. Na czele tych apologistów politycznego *status quo* znajduje się uczony profesor prawa angielskiego w uniwersytecie oksfordzkim A. V. Dicey. Każde z trzech ostatnich jego dzieł: *Introduction to the study of the law of Constitution*, *Englands case against Home rule* i *A leap in the dark*, udowadnia z tą niezachwianą pewnością w prawdę swych argumentów, która zawsze i wszędzie cechuje jurystów, że ta federacya, która na drugiéj półkuli, od wieku zgórą wiedzie szczep rasy anglo-saskiéj z jednego szczebla postępu na drugi, a na naszéj udowodniła od wieków swą żywotność, wytwarzając naprzód organizm Szwajcaryi, a w ostatniéj ćwierci wieku tchnąwszy nowego ducha w grożący przedtém ruiną organizm państwowy Austryi i nakoniec kształtując cesarstwo Niemieckie na specyalną zapewne, ale bądź co bądź taką samą

modłę, że ta federacya nie da się zastosować do instytucyi cesarstwa brytańskiego.

Nie można lekceważyć zdań i opinii takiéj powagi naukowéj, jaką jest profesor Albert Dicey. Ale gdy się zastanowimy, że zarówno on, jak jego brat Edward Dicey, są zawziętymi imperyalistami i agitatorami za wcieleniem kolonii do wspólnego organizmu brytańskiego, to wstrzymać się niepodobna od wskazania braku logiki w tych zapatrywaniach i teoryach. Nie ma wyjścia z tego „dwójgańca": albo federacya imperyum brytańskiego, albo jego rozkład i upadek. Nie potrzeba być prorokiem, przepowiadając, że, idąc poprostu za natchnieniem patryotyzmu, stronnictwo zachowawcze angielskie i jeżeli nie sam profesor Dicey, to jego uczniowie wyrzekną się zgrozy, jaką w nich dotąd budzi idea federacyi dzisiaj zjednoczonych królestw. Znamy źródło tego chorobliwego wstrętu: była niém propozycya Gladstone'a usamowolnienia Irlandyi. Skoro jednak anormalne warunki, w jakich się ta kampania toczyła, należą do niepowrotnéj przeszłości, a istnieje pewność, że gdy kwestya samorządu stanie na porządku dziennym ponownie, nie będzie zaproponowana dla téj jednéj części monarchii, ale jednocześnie dla wszystkich krajów koronnych, to zmiana frontu nastąpi normalnie i swobodnie.

W samych dziełach profesora Dicey złożone są już zresztą i naukowo ugruntowane zasadnicze pojęcia organizacyi federacyjnéj. Wypływając z poczucia rasowéj albo państwowéj solidarności z życzenia utrwalenia jéj przez wspólny rząd centralny, pierwszym jéj warunkiem jest, że federacyjny ten związek musi być oparty na ustawie konstytucyjnéj, niezłomnéj, niedozwalającéj zawierającym ją stronom uchylić się od niéj przy pierwszéj lepszéj niekorzystnéj okoliczności. Opiéra się ona na zapewnieniu, z jednéj strony każdemu z odrębnych krajów samorządu administracyjnego, sejmu reprezentacyjnego i wszystkich instytucyi miejscowym potrzebom odpowiednich, a z drugiéj — pozostawienia zwierzchnictwa państwowego Wielkiéj Brytanii. Ponieważ charakterystyką ustroju jéj publicznego jest wszechwładza parlamentu, nie powinna ona być nadwyrężoną przez nową ustawę, ale przeciwnie, sejmy krajów poszczególnych nie będą się wdziérać w jego zwierzchnicze atrybucye. Pomiędzy krajami, federacyę składającemi wielko-brytańską a organizmem państwowym nie może być dopuszczone targowanie się o nowe przywileje, jak to np. się dzieje w chwili obecnéj pomiędzy dwiema częściami federacyi austro-węgierskiéj o udział w wydatkach skarbowych, a zależność, prawa i obowiązkj każdego z krajów koronnych, zarówno jak źródła dochodów i środków materyalnych istnienia państwa określone będą w ustawie konstytu-

cyjnéj. Nie przeszkadza to bynajmniéj ustanowieniu najwyższego trybunału, który na wzór tego, jaki istnieje w Stanach Zjednoczonych amerykańskich, rozstrzygałby ewentualne zatargi pomiędzy częściami składającemi federacyę wielkobrytańską.

Wszystkie te zasadnicze punkta, które prof. Dicey uważa jako istniejące i jako łatwe do przeprowadzenia, gdy idzie o sfederowanie kolonii ze zjednoczonemi królestwami, i im również, podług zapatrywań p. Spaldinga odpowiadają. Niepodobna odmówić temu właśnie pisarzowi słuszności. Mamy tu istotnie cztery kraje ściśle powiązane ze sobą przez środowisko geograficzno-etnograficzne, historyę, tradycyę, język, rasę i stanowiące już obecnie, pomimo drugorzędnych różnic, jednę narodowość. Mieszkańcy tych krajów nie dążą do utworzenia państw samodzielnych: widoczném jest że nie posiadają do tego wystarczających warunków. Są odcienie i różnice w dążeniach do utrwalenia jedności państwowéj w każdym z tych czterech krajów, ale nie takie ażeby potrafiły zagrodzić drogę urzeczywistnieniu przedsięwzięcia. Niechęć jaką w sferach politycznych angielskich żywią do Irlandyi, nie może stać na zawadzie takiéj zmianie konstytucyjnéj, gdyż nie ona tylko, ale i inne kraje koronne z wprowadzonych ulepszeń ciągnąć będą korzyści. Powszechne są obecnie skargi, że parlament gubi się w drobiazgowych szczegółach odnoszących się do spraw miejscowych, bez najmniejszego interesu dla Wielkiéj Brytanii jako takiéj: na setki liczą się one na każdéj sesyi. Niezmierną ulgą byłoby poruczyć je kompetencyi sejmów prowincyonalnych. Ten wzgląd natychmiastowéj użyteczności zaważy niezawodnie na szali u praktycznéj społeczności, gdy chwila decyzyi nadejdzie.

Nie ma najmniejszego powodu wchodzić już teraz w roztrząsanie rysów jakieby owa konstytucya federacyjna posiadać miała. Jasném jest, że wszechpaństwowy parlament złożony z dwóch izb i korony i cztery sejmy każdy o jednéj wybieralnéj izbie stanowić by musiały filary gmachu. Skład obu izb parlamentu westminsterskiego uledz by atoli musiał reorganizacyi radykalnéj gdyż zasiadaćby w nim musieli nie tylko przedstawiciele metropolii ale i kolonii. Kanada, Australia, Afryka południowa, itd. przysyłałyby tam swych posłów na tych samych warunkach co Irlandya, Szkocya, Walia i Anglia, a reforma izby lordów, owo *desideratum* całego postępowego stronnictwa brytańskiego, dałaby się przeprowadzić łatwo, gdyż owa izba nie byłaby już przedstawicielką oligarchii, lecz organem delegatów wszystkich krajów w skład imperyum brytańskiego wchodzących.

Napotyka się tu, gdy się z ogólnéj tezy, do szczegółów przechodzi, tyle olbrzymich zagadnień konstytucyjnych, z których każde

z osobna podniesione i rozstrzygnięte być by musiało, że nie powinien nas dziwić ten brak gotowości ze strony świata brytańskiego, do zwalenia na siebie takiéj herkulesowéj pracy. Nie uśmiecha się mu ona, i okoliczności przyprzéć go będą musiały do muru, ażeby do skoku nakłonić.

A wszelako jesteśmy silnie przekonani, że Wielka Brytania do dzieła takiego się zabierze. Uczyni to przedewszystkiém dla zabezpieczenia sobie posiadłości kolonialnych. Ruch do coraz żywszego ich zdobywania był wybitnym w ostatniśj ćwierci wieku i współzawodnictwo innych mocarstw europejskich, a przedewszystkiém Francyi, podbudziło go do gorączki nieledwie. Idzie teraz o uorganizowanie tych dawniejszych i nowych zdobyczy. Nie ma do tego innéj drogi jak przez federacyę. Dlatego ze wszech stron i na wszystkie tony odzywają się nawoływania do niéj. Ażeby utrwalić istnienie tego wszechświatowego mocarstwa patryoci są do wszelkich ofiar gotowi. Nienajmniejszą z nich będzie dopasowanie ustaw krajów europejskiéj Wielkiéj Brytanii, stanowiących mniejszość liczebną, do kolonialnéj. Skoro rozdzielić tych dwóch zadań nie ma sposobu, wypadnie przeprowadzić je jednorazowo, wspólnie.

Jeżeli nie ma już obecnie ani jednego poważnego umysłu, obejmującego syntetycznym poglądem kolejne stadya rozwoju Wielkiéj Brytanii, któryby nie doszedł do przeświadczenia o konieczności nadania jéj ustawy federacyjnéj, to nie mniéj przeto czuć u nich wahanie, gdy do praktycznéj akcyi przystępować wypada. Trzeba je uszanować. Jesto rozbrat z dziesięciowiekową przeszłością, i usprawiedliwioną być może obawa o to, co przyniesie jutro. Gdy tyle innych narodów zdąża, nieraz drogą gwałtu i przemocy, do wcielenia w swój organizm odrębnych plemion, pytają się Anglicy czy jest naturalném, czy jest rozumném, postąpić sobie wprost przeciwnie i zamiast wzmocnienia węzłów istniejących rozluźnić je, zamiast nadal utrzymywać unię zastąpić ją przez federacyę. Odpowiédź, a nie tylko odpowiédź ale i otuchę, znaléść potrafią w rozróżnieniu pomiędzy unią martwą, narzuconą, sztuczną, mechaniczną a ową działalnością wspólną jednokierunkową, pełną życia i energii, którą da im federacya, ta najwyższa forma zjednoczenia państwowego. A jeden jeszcze argument za tą samą sprawą przemawia. Unia, nawet narzucona i osiągnięta przemocą, wydała już wszystkie korzyści do których była zdolna. Innemi, wyższemi spójniami jedność państwowa utrzymywana być może: swobodą i sprawiedliwością dla wszystkich składających ją ogniw.

M. E. Trepka.



Dygasiński jako beletrysta.

I.

Dzieła Dygasińskiego — to mieszanina najrozmaitszych ilości dodatnich i ujemnych, które są bardzo trudne do rozgatunkowania ścisłego. Pominąwszy bowiem nawet stosy artykułów dziennikarskich i dzieł i dziełek oryginalnych, kompilacyjnych, tłómaczonych, tyczących się pedagogiki, historyi naturalnéj lub filozofii, dostaniemy się do istnego labiryntu beletrystycznego: pilnie się tu trzeba trzymać nici Aryadny, żeby nie zbłądzić.

Czego tu nie ma w tych paru dziesiątkach tomów? Obok wcale poprawnéj powieści o tle społeczném, widzimy drobny szkic z życia zwierząt; przy rubasznéj nieco, ale charakterystycznéj humoresce, rozpiéra się poemat w prozie patetycznie pretensyonalny; rozprawka tendencyjna lub popularyzatorska w kostyumie maskaradowym noweli, staje przed nami obok powieści fantastycznéj *à la* Aymard; „bajka cudowna" idzie po wyładowaniu skłonności do karykatury; sentymentalnie moralizatorska powiastka dla dzieci sąsiaduje z wcieleniem pozytywnéj trzeźwości pedagogicznéj i t. d. Tu znajdziemy na dnie upodobania popularyzatorskie, tam tendencyą społeczną, owdzie talent naturalistyczny, gdzieindziéj jeszcze temperament humorysty, a w wielu wypadkach nic, prócz usiłowań wzruszenia lub zachwycenia czytelnika.

Przerzucając się lat temu około 15 do literatury pięknej, Dygasiński zmienił raczéj formę, niż ducha swéj działalności. Wyobraźnia jego nie pożyczyła skrzydeł od jakichś odrębnych, a tłumionych tylko do owego czasu sił ducha, lecz zastosowała się w sposób odpowiedni do wymagań, dyktowanych przez nową formę dawnym tendencyom i upodobaniom naturalisty, pedagoga i społecznika. Rozum nie złożył tu wcale władzy naczelnéj w ręce uczucia, sam się z niém nie stopił; zagłębił się on tylko bardziéj trochę w szczegóły, a przytém nadał w pewnych wypadkach humorowi władzę niby niezależną: tak ongi cezar rzymski dobiérał sobie wśród poddanych kolegę do panowania.

Dygasiński jako pisarz—to uosobienie zdrowego rozsądku i dobrego humoru, które stanowią chyba całą jego bynajmniéj nie buntowniczą filozofię życia, w pesymizmie jego bowiem trudno dojrzéć pierwiastek filozoficzny. W dziełach jego co krok napotykamy dowody inteligencyi, wiedzy, spostrzegawczości, nawet bystréj domyślności, ale nigdzie téj intuicyi, która widzi to co jest niedostrzegalne dla innych, przenika do głębin ducha niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Korzenie pomysłów jego nie sięgają wgłąb, lecz ciągną pożywienie z saméj powierzchni serca ludzkiego: pobudki uczuć i czynów w dzieciach jego ducha tak są zawsze ogólnikowo proste i pospolite, czysto niemal zwierzęce. Zaledwo parę momentów z życia jednego z bohatérów jednéj z ostatnich jego powieści zdaje się temu przeczyć.

W najlepszych nawet utworach jego nic nas nie wzrusza, nie rozmarza, nie roznamiętnia. Patrzymy na najzdrowsze owoce téj wyobraźni niby na szarość powszednią czyjegoś życia, w najlepszym razie bardziéj tylko trochę zajmującą w wyciągu, bo wymagającą mniéj czasu i trudu na przyjrzenie się jéj cudzemi oczyma. To też tu i owdzie Dygasiński w sposób nieraz pożyteczny da impuls naszéj myśli, ale serce czytelnika nad utworami jego wtedy tylko mocniéj uderzy, krew wtedy tylko pobiegnie żwawiéj w żyłach, kiedy będzie chodziło o śmiech.

Wątpliwości bowiem nie ulega, iż sam tylko humor mocen jest nadać cechę twórczości wogóle przetwórczéj tylko w dziedzinie sztuki wyobraźni D.; on tylko czyni niekiedy ze służebnicy zasad, poglądów i rozumienia rzeczy—panią niezależną, to też w tym rodzaju jedynie zdobywa się Dygasiński na szczery artyzm *sui generis.* Należy także dodać, że jak wytrwałe jego popularyzatorstwo mniéj jest spokrewnione z zapałem, niż ze zdrowym rozsądkiem, tak ów artyzm humorystyczny wypływa z temperamentu. D. potrafi opisać z iście doskonałą prawdą psychologiczną i obrazowością tylko to, co go zdaje się szczerze do śmiechu pobudzać. Satyra jego niezmiennie przechodzi

w karykaturę, a filozofia bywa tylko mniéj lub więcéj zabawném lub patetyczném rezonowaniem.

Zaznaczyć téż wypada, że samoanaliza D. w zupełnéj jest zgodzie z mojém zdaniem o jego twórczości artystycznéj. „Artysta — wykłada on — bawi się tworząc i dlatego tworzy. Bawi się — jest może wyraz najodpowiedniejszy, jakkolwiek zgorszy tych, którzy lubią w takim razie widzieć „głęboką zadumę duszy", prawić „o bólach porodu" i t. d.

II.

W dziełach D. znajdujemy też skarb jeden, skromny, ale własny; to miłość dla ziemi swojéj, miłość, którąbym nazwał żywiołową, oczywiście ze względu nie na jéj wielkość i ognistość, lecz na źródło. Ona to—nie w sercu według formuły poetyckiéj umiejscowiona, lecz każdą fibrę przenikająca — dyktuje często D. słowa, przesiąknięte poprostu barwami, dźwiękami i wonią łanów i borów naszych. Ona to każe mu lubić i lud, mocniéj od drzew do gruntu przyrosły, i chłopską „gadzinę", i wszelkie dzikie ptastwo i zwierzęta, które ta ziemia żywi. Ta miłość z tém lubieniem czynią nam Dygasińskiego swoim, a kąpiąc duszę radośnie w téj jego swojskości, gotowiśmy mu nieraz chętnie wybaczyć nietylko to, że duchowy żołądek Francuza nie wszystkoby w dziełach jego strawił, lecz i własne swoje, przykre niekiedy wrażenia.

Wyznam jednakże, że miłość tę Dygasińskiego upatruję wcale nie w owych deklamacyjnych opisach natury, które zdają się niekiedy w kilku wierszach pięknemi i poetycznemi, dopóki jakiś zgrzyt wtrącającéj się niezręcznie refleksyi nie wskaże wyraźnie, że temperatura zachwytu nie była dość wysoka, by pierwiastki nie-poezyi stopić i ulotnić.

Tak np. w prześlicznym, choć poetycznie rozpoczętym ustępie o lasach nadnarwiańskich natrafiamy raptem na zdanie: „i oto widzę przed sobą reprezentantkę naszéj szpilkowéj roślinności, sosnę", któréj opis szczegółowo botaniczny idzie daléj.

W inném miejscu przyroda, masą figur poetyckich wysławiana, „budzi dzieci swoje do czynu szafirem, fioletem, purpurą, szkarłatem, światłem, nad które nie ma nic piękniejszego. Wstańcie i pracujcie, ludzie!"

Często opis sam przez się byłby dobry, obraz wyraźny, gdyby nie okrasa z przenośni nietrafnych. Tak np. w opisie czarów nocy „niebo sympatycznie chyli się ku ziemi, niby matka nad kolébką dzie-

cięcia, kiedy zaś ziemia... strojna w brylanty rosy... mgłami owiana... wabi je ku sobie": dziecko matkę niby kochanka kokietuje.

A oto najbardziéj opracowana z tych „poezyi w prozie", poprzedzona pięknemi, aczkolwiek nieoryginalnemi rozumowaniami o znaczeniu miłości ziemi („Demon").

„Z temi myślami pozdrowiłem wspaniałą krainę. Ujrzałem przed sobą skałę, jak niebotyczny ołtarz, w wieńcu jodeł i świerków, w girlandach głogów i bluszczów — rzetelny pomnik wiekuistéj przyrody. U stóp jéj wyrastał buk rozłożysty, a przez ciemne jego liście lały się promienie jasnego słońca. W szczelinach skały ujrzałem gaiki drobnych krzewin, a w gaikach brzmiała elegijna piosnka ptaszęcia. Gaik taki maleńki, piosnka taka smutna, i przeto słuchaczowi smutno na ziemi. Przyrodo, jak ci łatwo kształcić ludzkie uczucia."

Niechby kto spróbował przeczytać ten ustęp bez podkreślonych wyrazów: czy mogłoby to nie sprawić miłego wrażenia? Ale autor filozofią swoją i poezyą skutecznie je zepsuć usiłuje. Po co np. pierwsze ze zdań podkreślonych, pretensyonalne, nic właściwie nie znaczące, a mącące wyraźność nietylko przenośni poprzedniéj („Ołtarz", „Pomnik"), ale i stosunku gramatycznego („U stóp jéj") zdań poprzedniego do następnego? A owa „elegijność" ptaszęca tuż po potędze pierwszego obrazu ze śmiesznym (jak dla mnie) zwrotem o słuchaczu!

W następnym zaraz kuplecie prozaicznym po nowym kawałku dobréj fotografii, tenże sam słuchacz, nie ruszywszy się nawet z miejsca, słyszy już, zapomniawszy zgoła o elegijności ptasiéj, „pieśni wieków zaczarowane w jaskiniach..." „Więc przestałem być smutnym — powiada — uczułem w sobie szczęście, że mi takiéj pieśni słuchać wolno." Pomimo to w dalszym ustępie ta sama ptaszyna znowu się pojawia: „wtórują jéj fale strumyka — bardy skał, co zasiadały (fale!) między łąk zielonemi brzegami. Modra niezapominajka zdami się być słuchaczem."

Daléj znów wśród innego widoku, Dygasiński „korzy się przed siłą, którą myśl jego podpatrzyła w skale"; jeszcze daléj wyraźnie już odsłania przyłbicę geologa, a całość kończy się mdłą deklamacyą.

Oczywiście to, com mówił o temperaturze zachwytów Dygasińskiego, tyczy się, jako pewnik, tylko chwili pisania, jeżeli zaś i samo odczuwanie bezpośrednie natury nie jest może tak namiętne, jakby nas o tém chciał sam pisarz przekonać, to bywa czasem ono niewątpliwie szczere i głębokie.

Kiedy w kilku prostych słowach maluje położenie jakiéjś nędz-

néj wioszczyny naszéj, widzimy ją jak na dłoni wśród ubogich niw. Gdyby się Dygasiński wysilił, mógłby w równie patetyczny sposób pisać o Alpach lub Kaukazie, jak i o skałach Ojcowa, ale tak niby nieumyślnie pokazać i dać odczuć czytelnikowi — potrafi on tylko nasze „sioła, pola i lasy". Prócz Małopolski rodzinnéj, dla niego nic chyba nie mogłoby być „piekniejse ani zdrowse nad Mazowse". Nie wzruszają mnie jego umyślne zapały ku ziemi ojczystéj, ale każde mimochodem rzucone o niéj słowo jasno mi tłómaczy, że przy niéj za nic mu wszystkie cuda świata, że milszy mu ugór rodzinny, skąpą trawą i ostem porosy, od bogatych łanów Zachodu, tak jak ciemnota przesądna mazura czy krakowiaka czuléj mu do serca przemawia od geniuszów ras obcych. J a k o a r t y s t a jest on — chcąc nie chcąc— ślepy i głuchy na wszystko nieswoje. Będzie się tylko „dziwował" toniom mórz dalekich i lasom podzwrotnikowym, jak i doskonałościom charakteru innych narodów, ale serca mu to nie poruszy.

III.

Możeby wolno odmówić Dygasińskiemu n a d z w y c z a j n e g o talentu, ale odrębność jego fizyognomii literackiéj trzeba przyznać. W książkach jego niewiele się znajdzie złego lub dobrego w sposób pospolity. Zarówno jędrna jego, dobroduszna rubaszność, jak i maniera przeplatania akcyi morałami, lub komentowania momentów psychicznych lub sytuacyi rozumowaniami z „Doboru płciowego" lub „Pochodzenia gatunków" — wszystko to jest jego własne. Nawet, kiedy mu się na czułość zbierze, nie będzie naśladował współczesnych cukierników krajowych ani zagranicznych, lecz wynajdzie sobie jakiś osobliwie naiwny sposób, jeden z tych, o których już cały świat od lat kilkudziesięciu zapomniał. Trzeba bowiem pamiętać, że w tém państwie zdrowego rozsądku i dobrego humoru uczuciowość bywa tylko nalecialością.

To też skoro ów pisarz m a j o r o w e g o t o n u rozmija się ze swojém usposobieniem, wszystko się przeciw niemu sprzysięga: myśl przewodnia kłóci się z akcyą, psychologia z sytuacyami — i w takich to wypadkach ucieka się on czasem do rozmaitych ceregieli romansowych.

„Lud i przyroda — powiada Dygasiński — nie znoszą sentymentalizmu, nie robią dla niego żadnych ustępstw. Woda i powietrze bezwzględnie każdego gotowe są ziębić, ogień parzy, w ziemi nie ma żad-

nego serca, lud żyje twardo, walkę o byt bierze surowo. Szkoda, że poeci nie znajdują téj prawdy..."

Pomijając pytanie, czy nie przestaliby oni wtedy być poetami, powiem tylko, że ustęp ten wybornie charakteryzuje trzeźwość usposobień artystycznych tego pisarza i że ilekroć sam on w niepamięć ją puszcza, my na tém źle wychodzimy. Bo gdzie jeno idzie o melodyę lirycznie rzewną, gdzie ukaże się tonacya minorowa, harmonię niechybnie wnet zmąci jakiś fałsz niemiły. Pod wpływem takich natchnień nawet pełny zwykle jasności i prostoty styl Dygasińskiego potrafi stać się napuszonym lub ckliwym.

Zdaje mi się, że zdolność twórczą Dygasińskiego należałoby sobie wyobrażać jako maszynę, która funkcyonuje dobrze jedynie przy normalném, codzienném ciśnieniu uczucia, a niech tam parę atmosfer przybędzie lub ubędzie—robota zaraz się psuje. Komórki rozpłodowe jego wyobraźni tylko w umiarkowanie chłodnéj temperaturze żyją i tworzą życie prawdziwe.

Oto preparat z jednéj z pierwszych jego nowel. „Kult światła" godzien uwagi jako reprezentant wszystkich wad pisarskich Dygasińskiego.

Pewnemu Niemcowi koloniście w połowie tego wieku gleba polska dała, prócz chleba, środki do wykształcenia syna na doktora filozofii. Syn ów już w jedenastym roku życia—pomimo braku styczności ze wszystkiém, co polskie i wbrew gorącemu patryotyzmowi niemieckiemu ojca — postanawia zostać nauczycielem w Polsce, gdzie, jak słyszy, taki brak szkół czuć się daje. Z chęci téj nie są go w stanie uleczyć ani wpływy szkoły niemieckiéj i towarzystwa, chociaż trudno zrozumieć, jak mógł on nie zapomnieć języka polskiego, nawet gdyby się zrozumiało, jak się go nauczył. Po ukończeniu nauk młody Walner zostaje nauczycielem łaciny w Pińczowie, nauczycielem wyjątkowo złym, pomimo przedwstępnych zapewnień autora, że „miał on miłość zawodu we krwi".

Podczas jednéj z wakacyjnych wycieczek naukowych na piechotę Walner, oszczekiwany uparcie, wiedziony, ciągniony za połę przez wiernego psa (jak to bywa pospolicie w anegdotkach o mądrości tych czworonogów) znajduje za wymarłą na cholerę wsią w krzewach i ukryciu chore dziecko chłopskie obok trupów ojca i matki. Oto, w jaki sposób pomaga autor przy téj okazyi czytelnikowi zachwycać się bohatérem.

„Cudowna przyroda z całym przepychem swoim nie poszczyci się ani jednym utworem piękniejszym nad wspaniałe zjawisko ludzkiego, żywo bijącego serca. Nie jest-że bowiem czysty, prawdziwy charak-

ter, dzielny umysł, wzniosłe uczucie ostatniém dziełem sił w pracy natury? Blady, o wyszlachetnionych, miękkich rysach twarzy człowiek, z dobrocią widną na licach, z troską w oku, pochylony nad umierającém, biedném chłopskiém dzieckiém, obcém mu co do plemiennego pochodzenia, cichy, skromny, spokojnie posępny, jak anioł cnoty, — otoczony zewsząd trupami, ziejącemi jady zarazy śmiertelnéj... — Ocaliłem od śmierci dziecko i potrzebuję wraz z niém spoczynku—przemawia późniéj W. do baby z wioski sąsiedniéj.

Scena wygnania idealnego Niemca ze wsi przez obawiających się zarazy mieszkańców (którzy jéj jakoś dotychczas uniknęli, chociaż sąsiedzi zza miedzy co do nogi wymarli) jest wyjątkowo niemiła, bo w celu rozczulenia nas najskuteczniejszego bohaterstwem Walnera. Dygasiński chłopów zbyt już suto uposażył w okrucieństwo bezmyślnie szydercze, nie zdobywszy się wcale na oddanie zwykłéj w takich razach grozy żywiołowéj. Zresztą autor zgóry już usiłuje usposobić nas jaknajgorzéj dla katów i jaknajlepiéj dla ofiary, bo, wiedząc zapewne, jak Walner zostanie przyjęty, przeprowadza go takiemi rozumowaniami. „Jakże przyjemnie człowiekowi zdążać do ludzi, mieć słodką nadzieję podzielenia się z nimi ciężkim trudem, usłyszenia dobrego słowa, uściśnienia ich poczciwych dłoni!"

Ale nie same tylko „tłumy gminne (!) z właściwą sobie opryskliwością" dają się we znaki Walnerowi. Całe towarzystwo pińczowskie zatruwa mu życie i zabija go ostatecznie — plotkami i prześladowaniami, które przekraczają wszelkie granice zawziętości, chociaż żaden interes rzeczywisty jéj nie podsyca. I upada pod brzemieniem niewdzięczności naszego społeczeństwa germański pionier „kultu światła" na Ponidziu, ginie gorzéj niż marnie, bo z patetyczną przemową do słońca—i swego wychowańca, — któréj nie śmiem powtórzyć ze względu na jéj rozwlekłość. Z tegoż powodu pomijam tuziny rezonowań filozoficzno-filologiczno-dydaktycznych zarówno autora, jak i bohatéra-gwebra, które melodramatyczną tę historyę aż do zbytku przeładowały.

Używając nowéj przenośni, powiem, że analiza strugi twórczości Dygasińskiego z każdym rokiem mniéj wykazuje mikrofitów owéj chęci jałowéj wyduszenia gwałtem łez z czytelnika; w utworach późniejszych rolę psucia ich biorą na siebie stopniowo rozradzające się aż do roku 95 mikroby chęci porwania i wywołania zachwytu. Należy też zanotować, że przemowy patetyczne stopniowo przeradzają się w zbyteczne często, ale naturalne w tonie — pospolitym lub humorystycznym—gawędy towarzyskie.

Myliłby się jednak, ktoby przypuścił, że wady mogą zniknąć od razu. W piątym tomiku nowel napotykamy takie zakończenie sceny śmierci:

„I oto, wśród rozdzierającéj boleści żywych ukazały się na łożu martwe, blade zwłoki kobiéty, z których już uleciała arcypiękna dusza."

I tuż obok taką charakterystykę rozczulającą „Cioci Frani": „Była to żywa świątynia prawdy, miłości i poświęcenia. Na licu téj dziewicy piętnował się jakiś szczególny gatunek wdzięku. Kto na twarz jéj spojrzał, doznawał ukojenia od pogody, rozlanéj po licach— od uśmiechu, który wzywał do miłości, — od wzroku pełnego dobroci, a zarazem powagi i inteligencyi."

Miejsce tu na następującą uwagę. Skłonność do przeplatania nawet szczerych spostrzeżeń swych artystyczno-naturalistycznych komentarzami oderwanemi, skłonność, zdawałoby się stanowczo ujemna, doprowadziła jednak Dygasińskiego do wynalezienia osobliwéj maniery, któréj próbkami najdoskonalszemi i stanowczo dodatniemi są nowele: „Dramata podwórzowe" i „Wilk, psy i ludzie". Ta ostatnia (jedna z najwcześniejszych tego autora) jestto coś, niedającego się podciągnąć pod żadną formułę twórczości artystycznéj chociażby dlatego, że głównie myśl ma na względzie. Pogadanka to, w formę wspomnień osobistych ujęta, w któréj każdemu ruchowi akcyi towarzyszą dość prawdopodobne skojarzenia myślowe w duszy opowiadającego, przerzucające się od czynów wilczych i psich do uczuć ludzkich i skarbów rzekomych naszéj etyki, filozofii i społeczeństwa. Trafność tych uwag obok naturalności zarówno w biegu wypadków, jak i myśli, jakaś odpowiedniość wzajemna formy, stylu i treści—czynią z tego rzecz zupełnie harmonijną i ciekawą, aczkolwiek tylko dla umysłu.

IV.

Nie będę się zatrzymywał nad balastem jałowym, którego do zbytku mamy w literaturze pięknéj Dygasińskiego, zanim jednak przejdę do tego, co stanowi istotną jego zasługę pisarską, skończę z najgorszym i stanowczo ujemnym jego utworem innego trochę rodzaju. Chcę mówić o zamieszczonéj w ostatnim z wydanych przez Dygasińskiego zbiorku nowel istnéj parodyi poematu, zatytułowanéj „On i Psyche".

„Jeśli mnie nie zrozumieją, poprzestanę na tém, że sam siebie rozumiem"—powiada autor, głęboko widać przekonany, iż stworzył coś

nadzwyczaj oryginalnego i wzniosłego. W istocie zaś rzecz to jest, aczkolwiek zrozumiała, ale w całém znaczeniu tego wyrazu niezwykła. Nie myśl jednak przewodnia, zarówno pospolita w nauce, jak i w sztuce, niezwykłość tę stanowi; nie styl, bo napuszoność i bombastyczność nie „On z Psyche" wynaleźli, lecz kombinacya jednego z drugiém.

Ideą tego poematu jest ściśle naturalistyczny pogląd na miłość: jakkolwiek obełgiwacie się nawzajem ideałami, marzeniami, ubóstwieniami i poświęceniami,—wiedźcie, kochankowie, że blaguje tak w was przyroda, że skoro tylko los da wam okazyą do zaspokojenia żądzy fizycznéj, wszystkie faramuszki duchowo-świetlane znikną bez śladu, jak dzień po zachodzie słońca, najidealniejsza bowiem miłość ludzka niczém się w gruncie rzeczy nie różni od peryodu zapałów téj lub owéj pary zwierząt: tylko ceregieli więcéj.

Otóż, jak wiadomo, niejeden już uczony, z pretensyami mniejszeszemi lub większemi do filozofii, ująć próbował miłość w kleszcze praw natury materyalnéj; niejeden téż poeta wydrwił ją bezlitośnie, szermując oczywiście właściwym sobie orężem. Ale Dygasiński chce być poetą praw organicznych.

W ironii Byrona lub Heinego czujemy wyraźnie ideał, marzenie namiętne o „kochaniu wieczystém", żal do siebie i natury, że w niéj „uniesienie z trwaniem" pogodzić się nie da. Poezya w takim jest właśnie stosunku do logiki naukowéj, jak geometrya wielowymiarowa do Euklidesowéj, to téż zagłębiając się naprawdę w życie, każdy poeta wyczuje w niém ów pierwiastek mistyczny, który się da z a k l ą ć w słowa czarodziejskie, lecz nigdy z a m k n ą ć w formułki nazimno obrachowane. Gdzie tylko w Zoli nawet bierze górę artysta, nikną dla czytelnika jego poglądy teoretyczne na świat i życie, na naukę i sztukę, ale dla Dygasińskiego nie ma zapału, któryby z ręki wytrącić potrafił narzędzia pozytywizmu, traktowane przezeń właśnie jako środek propedeutyczny wielkiéj poezyi.

Któż nie pamięta wspaniałych kartek owego najczęściéj chyba po salonach cytowanego filozofa. Pesymistyczny pogląd na miłość wprawia go w istną furyę poetycką. Z jakąż nienawiścią i wzgardą miota się on na to uczucie, którego źródło zdaje mu się wstrętném, cel potwornym, a skutki okropnemi. Rzekomy pesymizm Dygasińskiego zupełnie inaczéj wygląda. Widzi on błoto, ale godzi się z niém dobrodusznie, godzi się nie filozoficznie, lecz zupełnie jakoś inaczej.

Zanim przystąpimy do analizy tego rozdziału z „Doboru płciowego", przetransponowanego na styl niemniéj patetyczny od wstępu do „Komedyi Nieboskiéj", zanotuję, iż dla lepszego uwydatnienia praw

i zasad, tych istotnych bohatérów téj pieśni prozaicznéj, oderwano ją zupełnie od życia rzeczywistego, co już nawet same imiona osób działających dają do zrozumienia.

Prawda psychologiczna tak się tu przedstawia. „On" w pierwszym rozdziale („Ubóstwienie") „spotkał anioła-kobiétę i powiedział sobie: kocham ją — gdyż nie sądził, ażeby na świecie było coś godniejsze jego miłości", z czego widać, że dla napuszenia stylu „niesądzenie" może ujść za racyą kochania. Widmo jéj na jawie przyszło raz ku niemu: „ciepło lic jéj czuł z oddalenia." Przy spotkaniu mówił on do niéj tak, „pieszcząc jéj piękną rączkę: „Uczucia ludzkie mają swój rozwój i w ich przebiegu bywają wielkie chwile szału. Żar w sobie jakiś uczuwam" i t. d. Ona zaś, wyrwawszy się z objęć, tak mu na to odpowiada zdaleka. „Głos przyrody wiedzie do wyzwolenia z pęt ideału, a przytém gotuje ruinę istotnego szczęścia, upadek." Rozmówiwszy się tak dokumentnie „On" postanawia „wedrzéć się w przyrodę swoją tęsknotą, smutkiem, pożądaniem — dalszym ciągiem swojéj kochanki." Na poczekaniu zaś buduje dla niéj nowe światy „w chwilach uroczystych, w których pierś jego jest natchnień pełna" i daje przy okazyi czytelnikowi do zrozumienia, iż człowiek może ubóstwiać jakąś istotę niekoniecznie dla jéj doskonałości, lecz z powodu potrzeby wewnętrznéj, która może „przelać czyjeś piękno ducha w idealny obraz przedmiotu zmysłowego."

W rozdziale następnym („Urzeczywistnienie"), zmierzając do celu, mówi on do niéj tysiące rzeczy, które autorowi wydawały się zapewne prześlicznemi, jak np. „Psyche moja, przysuń się do mnie bliżéj, życie dokona reszty!..." „Wielkie prawa przyrody wypiętnowały się w umyśle i sercu człowieka, a obok nich podrzędnie tylko istnieją znikome, drobne i zmienne prawa społeczne..." Ale darmo tłómaczy mu ona, że „przyroda milczy, kiedy ludzie tworzą niedolę bliźniego"; zalewa on ją wodą swoich okropnych frazesów, zaklinając się na wszelkie sposoby i w przysięgach swych „kładąc nacisk szczególniéj na wieczność i nieśmiertelność (miłości), co zdawało się ją bardzo zobowiązywać." „Serdecznie umiłowane bóstwo moje, na ołtarzu którego spalam oddawna najdroższe swe uczucia... — przemawia on do niéj. — Spraw, aby mi czoło twe promień jasności zesłało, aby cudne blaski twych oczu z pociechą do mnie spływały, abym dotknięcie twéj rączki poczuł!... Przebacz mi, Psyche, że w czci dla ciebie jestem zmysłowy; ale czyż w zmysłach nie ma duszy?" To skłoniło ją, że „się czepiła jego ramienia... ręka jéj czasem mimowolnie uściskiem *dank* składała męskiéj dłoni. Ta rączka śliczna... miała cudowny kształt, białość alabastru,

miękkość puchu, gładkość aksamitu i delikatność lilii, z których (z lilii) zdały się płynąć lube ognie, co go nawskroś przenikały.

Daléj rozwlekłą już i bez tego parafrazę Mickiewiczowskiego: „serca nasze, jak w czystym widzieliśmy stoku” „On” tak rozwałkowuje (od punktu do punktu): „Widocznie jest potrzeba wzajemnego odczuwania się wiedzy o tém, co które z nas pragnie, aby dla drugiego istniało.”

Pewnego razu o zmroku znaleźli się kochankowie w ustroniu. „Tutaj pochwycił w dłonie obie jéj cudne rączki, uklęknął przed nią i jakby łaknący człowiek...” „Rączki jéj jednak nie dały łaknącemu ukojenia głodu. Jakieś drżenia lube, prądy niepojęte...” „Zmienili położenie, co jest zwyczajem w miłości.” Wreszcie „On stał się jakgdyby rozszalałym wulkanem, którego ognistéj potędze nic się oprzéć nie zdoła” i... *consummatum est*.

Teraz dopiéro zaczyna się „Rozczarowanie” jego, chociaż — prócz fizyczno-wewnętrznych — żadnych przyczyn tego nie widzimy. Psyche bowiem, któréj mądrości mieliśmy już próbki, ma być idealnie kochająca, czuła, delikatna i szlachetna. Życzy sobie jednak autor widocznie, byśmy mu uwierzyli na słowo, że inaczéj stać się nie mogło. Otóż „On”, każąc się jéj obecnie „trzeźwo zapatrywać na sprawy uczucia”, „z dniem każdym bardziéj ją zaniedbuje, lekceważy i opuszcza”; kiedy zaś ona „nie chce być naprzemiany aniołem i fraszką” od zachceń zależną”, lecz pragnie praw człowieka, „On” odpowiada „z przekąsem: łatwiéj jest zrobić z kobiéty anioła, niż jéj dać prawa.”

Oburzony wreszcie wyrzutami postanawia „uwolnić się z niewoli”, bo „spraw wyższego rzędu, ogólniejszych, nie wypada poświęcać dla osobistych, małych, samolubnych, — i zaczyna umizgać się do innéj. „Psyche — mawia coraz częściéj — muszę cię pożegnać, gdyż mnie przyjaciel oczekuje w pewnéj bardzo ważnéj sprawie.” „Dowiédz się” — powiada on innym razem—„że jeśli sułtanka chce utrzymać serce tego, kogo kocha, to już nie płaczem, nie wybuchami gniewu i zazdrości.” Nakoniec ona sama — kochając i w rozpaczy — uwalnia go od siebie i zostaje „W opuszczeniu”, który to czwarty rozdział opisuje zgryzoty jéj, a nawet wyrzuty sumienia. Żyjąc wtedy tylko wspomnieniami, upaja się takiemi np. urywkami korespondencyi dawnéj, z których dla niéj czysta poezya wionie: „Kocham cię tak, jakgdyby już nic godniejszego miłości nie było na świecie, kocham cię bardziéj nawet” (t. j. bardziéj, niż „jakgdyby już nic” i t. d.). Figura ta, jak widzimy, tak się samemu autorowi podoba, że

ją podwakroć powtarza. Ostatecznie „Psyche odzyskała spokój duszy i dawną świetność przyblakłych nieco za czas miłości i męki wdzięków—i w półroku po rozstaniu się wyszła zamąż za innego.

Z rozdziału ostatniego dowiadujemy się, że cała ta historya, niezależnie od swego charakteru ogólno-zasadniczego, opartego na „prawach przyrody”, jest rodzajem pudełka z niespodzianką, którą też i ja zachowałem nakoniec. Otóż ten egoista bezduszny, marny z punktu widzenia nietylko etycznego, lecz i poetycznego, jest... artystą, który, choć zupełnie szczery niby w téj „setnéj” z kolei miłości, dokonywał zarazem w ten sposób wiwisekcyi na kochance, zbiérając materyał do „Romansu doświadczalnego”, który też Dygasiński za niego napisał.

Jestto więc, jak widzimy, idealnie trywialne rozwałkowanie tematu, tak cudnie wyczerpanego przez Żmichowską i tak wspaniale traktowanego przez tylu innych (np. Poeta z „L'âme à nu” Haraucourt'a): zastąpił tylko Dygasiński pierwiastek poezyi pierwiastkiem pozytywności w kostyumie maskaradowym, a demoniczność owych genialnie potwornych istot, gotowych zawsze cudze łzy i krew przerabiać na piękno,—stała się u niego płaską nędzą duchową.

Należy się jeszcze parę słów stronie etyczno-praktycznéj tego poematu. „Idź w świat szeroki — doradza dobrodusznie i poczciwie Dygasiński przez usta swego bohatera — ucz się, kochaj, a nie małodusznie.” Przykazanie to z katechizmu „Don Juana” i to oczywiście jako poszukiwacza cynicznego coraz nowych rozkoszy zmysłowych, nie zaś poszukiwacza ideału niewieściego. Kobiéta w dziełach Dygasińskiego, zgodnie z takim poglądem, służy wyłącznie ku wygodzie fizycznéj mężczyzny, i głupim się zawsze okazuje u niego ten, kto pragnie uwzględnić jéj duszę, jéj „prawa człowieka”.

Jeżeli się nie bawisz tylko ciałem kobiéty—mówią dzieła Dygasińskiego — czeka cię niechybna niewola moralna, skarłowacenie ducha, spodlenie. To też użyj przyjemności, ile możesz, ale nie zawahaj się kopnąć nogą bóstwa wczorajszego: dyabli go nie wezmą! Najbardziéj bowiem kochająca, najwierniejsza, najlepsza nawet (patrz „Psyche”) kobiéta, rzucona przez ciebie w przepaść, jak kot stanie na nogi i znajdzie sobie innego.

V.

Domyśla się czytelnik, że gdyby Dygasiński był autorem takich tylko dzieł, jak wspomniane wyżéj, nie byłby z pewnością narażony na podobne ich ogólne analizy. Jeżeliśmy się nad temi płodami tak długo zatrzymali, to głównie w celu wykazania, do jakich rezultatów

może dojść rzetelny talent na zagonie nieodpowiednim odpowiedniego nawet pola. Utworów w rodzaju i stylu ostatniego znaleźlibyśmy jeszcze parę (np. „W niewoli u dzikich” (spowiedź) —ale dość już tego. Pora przedstawić to, co dało mi właśnie pochop do opracowania krytycznego całości plonów pisarskich Dygasińskiego.

Oddzieliwszy plewy od ziarna, rozsegregowałbym utwory tego pisarza stosownie do roli, jaką odgrywają w têm państwie zdrowego rozsądku i dobrego humoru ci dwaj jego władcy względem wyobraźni, owego niezbędnego pierwiastku wszelkiej twórczości.

Otóż zdarza się rozmaicie. Często zdrowy rozsądek każe wyobraźni tańczyć tak, jak tego wymagają zgóry już obmyślane tłómaczenia jéj skoków, dzięki znów czemu należycie już wytresowana wyobraźnia, niby sama przez się, zdaje się niekiedy odgadywać życzenia pana. Czasem znów wyobraźnia, przez drugiego władcę natchniona, tak się przystroi w barwy i dźwięki rzeczywistości, że pierwszy, uspokojony pospolitością prawdy namacalnéj niemal, zapomina nawet zgoła o sensie moralnym, którego dawkami, mniéj lub więcéj nieumiarkowanemi, ma on wogóle zwyczaj szpikować bajkę. W takich to chwilach powstają owe świetne, Steena przypominające nierzadko, sceny rodzajowe z bytu chłopskiego, drgające życiem zwierzęco zdrowêm i jędrnêm, lub nawet prawdziwe dramaty zwierzęce, nie zawsze ustępujące pierwszym pod względem wartości artystycznéj: w takich to właśnie chwilach Dygasiński „bawi się” szczerze.

Zresztą zawsze i wszędzie wyobraźnia, jako sługa więcéj niż dobra, umie się stosować do wymagań obu swych panów, którzy coprawda łatwiejsi są do pogodzenia, aniżeli Bóg i mamona. Rezonowania zdrowego rozsądku bywają najczęściéj przesiąknięte humorem, ten zaś nigdy nie przekracza pola widzenia pierwszego, posuwającego znów z kolei uprzejmość dla brata tak daleko, że pozwala mu przyozdabiać po swojemu nawet poddane przez życie samo, a smutne z natury swéj momenty.

Talent Dygasińskiego, niezręcznie stąpający po salonach wywoskowanych, niech tylko przemówi gwarą chłopską, a wnet zarysowują się przed naszemi oczyma postaci dziwnie wyraźne w swéj prostocie. Styl jego z pospolitego staje się wnet charakterystycznym, a indywidualności jawią się przed nami, niby żywe. Czy to chodzi o wesele lub pogrzéb, o bójkę karczemną lub sprzeczkę rodzinną—widzimy, jak w rzeczywistości, sceny i ludzi, a wszystko pełne dla nas żywego interesu pomimo największéj nawet błahości fabuły. Nie dosyć bowiem na têm, że pełnym świeżości jędrnéj i mocy językiem ludowym włada

Dygasiński nieporównanie; zna on jeszcze przytém niemniéj znakomicie byt chłopski.

I przyznać trzeba, że Dygasiński prędko znalazł swój rodzaj, bo już w jednym z pierwszych jego zbiorków napotykamy parę takich arcydziełek. W noweli np. „O groch przy drodze” mamy obraz sceny małżeńskiéj. Żona czyni mężowi wyrzuty za posianie grochu „wele drogi”. Stąd sprzeczka, w któréj baba występuje znów w obronie „świątków”, obrażanych oczywiście czapą na głowie chłopa. Zrzuconą pomiotłem magierę „świńskie dziecko”, bawiąc się wytacza na podwórze, kiedy tymczasem chłop nadaremnie szturmuje do komory, w któréj się kobiéta ufortyfikowała. Po zawarciu pokoju między stronami wojującemi w celu odnalezienia wspólnemi siłami magiery, któréj chłop sam darmo szukał w izbie; po uproszeniu wreszcie przezeń, z porady żoninéj, łaski św. Jantoniego, najpoważniejszego snać z owych świątków spostponowanych przed chwilą—zguba odnajduje się w gnojówce.

Ile w tych ciasnych ramach wyrażeń trafnych, ile rysów z natury pochwyconych! Jaką to całość harmonijną stanowi! Ile tu humoru i to w doskonałym gatunku, bo w saméj prawdzie psychologicznéj tkwiącego! Zapewne, po prawdę tę niezbyt głęboko do duszy chłopskiéj zstępował pisarz, ale wdzięczność mu się należy i za ten tak naturalnie odmalowany wybuch śmiechu.

Pozwolę sobie przytoczyć tu parę frazesów, świadczących zarówno o języku, jak i o duchu téj noweli. Oto np. jak stawia się Łuka wobec żony i jéj sprzymierzeńców ze ścian: „świątków ze ścian, wody święconéj i krédy na Trzy króle żegnanéj.”

— Przed świętościami tabym się pokłonił, ale skoro ty, beskurcyo, dopiekasz, ja ci mam za to jeszcze czapkować?”

Lub jak znamienna jest ta uwaga sceptyczna chłopa, kończąca scenę:

— Czyś ty tylko, psiakość Kaśka, nie miała téj czapki pod zapaską i nie sygnęła jéj w gnojówkę?

Inna nowela z tego samego zbiorku, o szerszym już zakresie, głębiéj trochę wnikająca w byt włościan, a jedna z najlepszych w swoim rodzaju, szczególnie dobrze wytłómaczy ową majorowość nastroju Dygasińskiego.

„Ze wsi do wsi” rozpoczyna się od śmierci i pogrzebu kobiéty, któréj mąż, utraciwszy poprzednio w ciągu pięciu lat czworo dzieci, zostaje nareszcie w chałupie sam ze starą tylko matką; pomimo taki jednak temat całość noweli ani smuci, ani przygnębia. Rzeźkie i trzeźwe usposobienie autora nie pozwala bohatérom trwonić czasu i sił na jałowe zatruwanie się bólem serdecznym, rychło łzy im z oczu ociéra

i nakazuje przejść nad smutkami do porządku dziennego, przenosząc środek ciężkości ich życia na jakieś okoliczności powszednio obojętne, lub nawet wesoło charakterystyczne. Wreszcie w samém przedstawieniu rzeczy, uchodzących wogóle za smutnie tragiczne, potrafi on zwrócić uwagę na tyle rysów o charakterze zgoła odmiennym, że jeśli nie wywoła śmiechu zamiast łez, to w razie najlepszym bardziéj nas uderzy w opisie jego surowa prawda życia, niż wzruszy sytuacya.

Z gruntu poczciwego i sympatycznego w głupocie swéj Nikodema Dudę pogrzeby do karczmy wciąż zapędzają ostatniemi czasy: „rzadko kiedy siedział on w chałupie, bo mu obrzydła śmierć i stękanie żony.” Pomimo to zajmuje się on szczerze zdrowiem Maryny, ale cóż począć, kiedy nie pomogło ani smarowanie gorącą wódką z zajęczym skromem, ani pijanie naczczo gorzałki z psiém sadłem: dopiéro puszczenie krwi obfite poskutkowało, kończąc męki chorej.

— Niech ta śpi, nie budźcie jéj, matusiu — mówi Nikodem nazajutrz rano—tyle nocy przestękała w cierpości, to odespać musi. Widno się jéj niebodze zlepszyło.

— Byłoby jéj jeszcze lepiéj, kiejby zażyła ciepłego: zwarzę jéj a to kaszy z omastą.

— Dzisz ty, Nikodem — woła w godzinę potém staruszka do syna—Maryna się nie rusza!... Nikiej ryba śnięta.

— Dyć jéj się wczora zlepszyło—mruknął Duda.

— Ano wiedziałam, tylo tera ani drygnie... Nikiej trupek do pochowku.

— Co wy pedacie, matusiu... Poterpajcie ją ino za nogę, to się ocuci.

— Ni na co się zdało!... — zawołała stara. — Dał jéj Pan Jezus śmierć cichuśką, kieby dzieciąteczku.

Potém stara postawiła na ziemi rynkę z kaszą i poczęła głośno krzyczéć:

— Oj, ożeniłam cię téż synku, ożeniła! Niś wiana nie dostał nijakiego, niś się z dzieciny pociechy doczekał!... Oj, cóż ty poczniesz w takowéj mizerności! Stérałeś i siebie i gospodarstwo na lékowanie kobiéty!... O, oj, oj!

Chłop rzuca się do żony, a przekonawszy się, że to śmierć, powiada, ociérając oczy rękawem:

— Za cóż ją téż pochowam, chudziak, kiej poszło syćko na nic! Sieląga nie mam przy dusy.

— Łatwiéj ci ją było—mówi potém—Panu Jezusowi zabrać, niżeli mnie pochować.

Ten zwrot w słowach matki i syna do życia z jego interesami i wymaganiami praktycznemi, ta zgoda z faktem dokonanym—wszystko to bardziéj zastanawia, aniżeli przeraża lub smuci. Wogóle nie indywidua lub sytuacye duszę komu u Dygasińskiego zasępią, lecz chyba refleksye własne o nędzy duchowéj ludu, tak rozpaczliwie wyzierającéj z po za humoru pisarza.

Po owym kulminacyjnym punkcie rzewności w opowiadaniu, kwestya znalezienia środków na pochówek spycha zupełnie prawie na drugi plan śmierć samą. Pożyczyć niepodobna, jedyny dłużnik oddać nie chce, trzeba więc świnkę sprzedać: szereg to scen rodzajowych, odrazu na inne tory myśl i uczucie czytelnika pociągających.

— Odsypiacie dzionek — odzywa się np. Duda do przyjaciela, którego po wielu wysiłkach udało się wreszcie dobudzić.

— Uaaa!—ziéwnął Bartek. — Zmora mię ano przycupiła dzisiak w nocy i tak ścieczona wygnietła iże bebechów ani krzty nie czuję we wnętrzu.

— Gorse na mnie licho naszło w nocy—westchnął Duda. — Nie mielibyście wy, Bartku, jakuchnéj rady?

— Cóże was takiego potkało?

— A dyć Maryna moja uświerkła chudziątko. Nie słychaliście to jesce?

— Taj w babie duch się ledwie telepał. Nijakiego pożytku z takiego życia, co się ochwierutało.

— Sprawiedliwie gadacie; inoby się patrzyło obmyśléć pochowek, i bez tom do was przyszedł.

— A czy to nie wiecie sami, jako uczynić?... Polećcie do Poradowa i kazujcie zbić trumienkę; to jest najpierwsze... Potém dopiéro podpiszecie na plebanii...

— Dobrze wam mówić, tylo co ja przemogłem się i wczora ostatnie sześć czeskich ochfiarowałem temu ze Skrobocic, co krwi upuszcza.

— Taże wiem, bo sobaca i mojéj babie łeb zawrócił, iże z dziewuchom obie kazowały sobie po półkwarciu upuścić. Może ta i na zdrowie poszło, bo tak z nich sikało, aże do powały.

Samo przehandlowanie świnki jest niegorsze. Ów niby dobroduszny karczmarz-mieszczanin, wyzyskujący nieszczęście chłopa, usiłujący nawet na krzywdę jego towarzysza i przyjaciela podkupić—odrazu samym komizmem wymowy swéj „kuldońskiéj" i chytrości nadaje barwę scenie, w któréj frazes każdy jest doskonałością w swoim rodzaju.

Rozmowy dwóch przyjaciół podczas pogrzebu i po nim o marności życia, o obyczajach pogrzebowych są téż znakomite, lecz wszystko

razem wzięte — to tylko wstęp do opowieści właściwéj. Prawdziwym wątkiem noweli jest przeniesienie przez Bartka z Nikodemem świątka „Ze wsi do wsi”, t. j. z pod bogatego Poradowa pod ubogie Samborze. Urąganie w karczmie (po pogrzebie rodziny) chłopów poradowskich Samborzu wywołuje sprzeczkę i zakład pomiędzy nimi a Bartkiem, że na Samborzu do rana stanie figura: to jest powodem do imprezy. Samo to przeniesienie, gawędy w Poradowie o cudzie, sądy o nim sołtysowe, scena z tego powodu małżeńska w karczmie, wyrzuty sumienia Nikodema, czującego się winnym „świętokrajstwa”, wreszcie próba nieszczęśliwa odkradzenia świątka przez pohańbionych poradowian — oto treść drugiéj połowy, szereg obrazów wspaniale humorystycznych dzikości i ciemnoty ludu naszego.

Dałoby się naliczyć jeszcze kilka nowel tegoż rodzaju i ducha, nieustępujących téj pod względem artystycznym. „Na zwłokach zwierzęcia” — to walka ludzi dorosłych, dziecka i psów o padlinę krowy, walka, która wydałaby się potworną, gdyby nie wyglądała tak zabawnie; „Żerty chłop” to studyum biédaka poczciwego o zbyt wielkim apetycie, który go naraża kolejno na wyrzuty żony, na pośmiewisko i wzgardę ludzką i na śmierć nagłą nareszcie; „Beldonek” — to „uciesznе przygody” jednego z najdoskonalszych typów D., przebiegłego „dziada Florka z chłopcem w drodze do Częstochowy”; „Na ziemi i w niebie” — jeszcze bardziéj ucieszny wizerunek ciemnoty przesądnéj ludu. To są rzeczy, które położyłbym na pierwszém miejscu w wyborze nowel Dygasińskiego, jako stanowiące całości najbardziéj harmonijne.

To utwory pisarza o temperamencie humorysty i wyobraźni naturalisty. Nie szaleją tu nigdzie namiętności indywidualne: działają tylko siły przyrody. Wyobraźnia nie sięga poza granice fizyologii, ale w tym zakresie jest, jak u siebie w domu, co krok składa dowody niezwykłéj spostrzegawczości i przenikliwości autora. Nic tu nie obudzi zapału, ale każdy niemal ustęp zelektryzuje uwagę czytelnika, utkwi w pamięci. Do najlepszych téż pod względem bytowym zaliczyćby można jeszcze nowele „Złodzieje”, „Złodziéj leśny” i „O krowę.“ „Jarmark na św. Onufry”, wyborny miejscami, zakrawa znów gdzieniegdzie na farsę, nie rachującą się gwoli komiki z prawdopodobieństwem. Policyant przykłada tam np. podczas jarmarku na ulicy miasteczka ucho do ziemi, nasłuchując, czy gubernator nie nadjeżdża. Daléj, prócz przesady karykaturalnéj psują nowelę tę niezręcznie wklejane wykłady popularno-naukowe.

VI.

Na uwagę nie o wiele też mniejszą zasługują zwierzęta w utworach D., gdzie występują one czasem w rolach drugorzędnych, ale niekiedy i w bohaterskich, chociaż prawie zawsze na tle stosunków z ludźmi. „Lis", „W górze i u dołu", „Kwiatek", „Targaj" — cały to szereg scen wybornych z powszechnéj tragikomedyi zwierzęco ludzkiéj, cała galerya typów czworonogich i dwunogich z pierzem i bez pierza.

Epopeje czy romanse zwierzęce D., na miano utworów artystycznych zasługujące, nie mają nic wspólnego z bajkami—ludowemi lub nieludowemi—zajmują się bowiem zwierzęciem lub ptakiem bez względu na morał dla ludzi, nie narzucając mu ani warunków życia, ani psychologii ludzkiéj (pod tym względem D. czyni odwrotnie), ani nawet języka ludzkiego: stąd zbliżenie do historyi naturalnéj. Od opisów jednak właściwych téjże różnią się opisy D. tém, że pierwsze mają zawsze na względzie rodzaj i jego zwyczaje, drugie zaś indywidua i ich losy i dusze. Zapewne, są i u D. znakomite opisy (np. jastrzębia „W puszczy") przypominające nadzwyczajnie Wodzickiego, jak mamy też pomiędzy jego nowelami „A u t o b i o g r a f i ę osła", wyglądającą na naśladowanie nieudolne powiastki tegoż tytułu z „Biblioteque rose", nawet dla dzieci dziesięcioletnich zbyt naiwne, — ale są to tylko wyjątki.

Jak wiadomo materyałem do charakterystyki ogólnéj całego gatunku muszą być oczywiście spostrzeżenia nad osobnikami. U Brehm'a chociażby co krok spotykamy takie studya nad okazami rozmaitych gatunków. Otóż od takich nawet opisów różnią się nowele D. przedewszystkiém tak, jak rysunek od fotografii. U D. znać wszędzie grę wyobraźni, kombinującéj losy danego indywiduum z życiem otoczenia, dzięki czemu czytelnik musi się interesować bardziéj tém, co ono robi, co się z niém dzieje, wreszcie charakterem jego, jako osobnika, aniżeli jego typowością, jako przedstawiciela gatunku: inaczéj mówiąc, budzi się tu interes artystycznéj bardziéj, niż naukowéj natury. Wreszcie najciekawsze typy zwierzęce D. są to istoty zdemoralizowane czy też oswojone, przez człowieka, który na ich charakterze położył piętno swojéj zbiorowéj zmienności. U D. znajdujemy np. nie psa naturalnego, psa prototyp., występują tu psy rycerskie tchórzliwe, zacięte łagodne, szczere i chytre, wesołe i ponure, łańcuchowe i swobodne, pańskie i chłopskie. Widzimy tu pewien stopień zróżnicowania się ducha przez przystosowanie się do sztucznych i niestałych stosun-

ków, wytwarzanych przez władcze otoczenie ludzkie, stopień zróżniczkowania się, aczkolwiek nader mało złożony, ale już występujący z granic właściwéj historyi naturalnéj.

Od powiastek znów o zwierzętach, w które tak obfitują literatury europejskie dla dzieci, różnią się utwory D. brakiem konwencyonalności, surowym realizmem i zupełną zgodnością z nauką ścisłą. W każdym zaś razie w naszém piśmiennictwie oryginalność D. jest tak samo niewątpliwą pod tym względem, jak i pod względem sposobu traktowania tematów ludowych.

Doskonale charakteryzuje tę stronę twórczości D. nowela „W górze i u dołu.” Pyszne są typy tych dwóch psich przyjaciół, Tyrana, buldoga z pałacu, i Łaty, kundla z chaty wiejskiéj. Ów Łata, pomimo najweselszego temperamentu, najpoczciwszy stróż domu, inicyator zwykły wszelkich generalnych oszczekiwań wiejskich, pełny szacunku dla sukmany a nieufności dla obleczeń żydowskich i pańskich,—traci zawsze na fantazyi i przycicha na odgłos szczekania tubalnego z pod pałacu. Na widok towarzyszącego baronowi potwora psiego z podgardlem obwisłém i zębami wyszczerzonemi kojarzy on wnet ów głos straszny z ujrzaną jeszcze straszniejszą postacią. Ale przerażenie pierwszego spotkania zmienia się stopniowo w duszy Łaty na ufność i życzliwość nawet dla ociężałego Tyrana, który konającego ze strachu, nagle z drémki wyrwanego kundla na zwykły psi sposób, aczkolwiek ze srogą miną powitał; który nawet w obronie swego pana owych kłów wiecznie obnażonych nie użył. Wybornie odtworzone jest przejście od znajomości przypadkowéj do przyjaźni. Arystokrata zaczyna zbiegać codzień ku plebejuszowi „na dół” z pałaców sterczących dumnie. Harce po borach i polach, oczywiście bez względu na rodzaj dojrzéwającego na nich zboża, urozmaicają ataki na rozmaite zwierzęta domowe. Wreszcie rozzłoszczeni włościanie, przydybawszy przyjaciół na niemiłosiernem szarpaniu trzody, zabijają drągami rozżartego buldoga. Darmo czeka nazajutrz Łata, któremu udało się umknąć w porę z miejsca katastrofy i późniéj tylko okrutną karą cielesną opłacić swoję lekkomyślność. Stęskniony kundel decyduje się nareszcie udać się ku pałacowi na poszukiwania. Dostrzegłszy poturbowanego niegdyś przez siebie barona, któremu ongi Tyran towarzyszył niezmiennie, łazi on za nim po ogrodzie, dociéra, nawet strach przemagając, aż pod pałac, gdzie go z rozkazu pana któryś ze sług strzałem na miejscu kładzie.

Oczywiście zaledwo warto dodać, że analiza duchowa w tego rodzaju utworach D. wydaje się nam tak świetną nie dlatego, że jest głębszą i subtelniejszą, aniżeli analiza analogiczna ludzi tegoż pisarza. Wrażenia nasze tłumaczą się wyłącznie tém, że chodzi tu o dusze two-

rów, które za bezduszne zwykliśmy uważać, któremi tylko w sferze interesu materyalnego lub sympatyi bezpośredniéj zwykliśmy się zajmować. To téż zjawienie się ich w sferze bezinteresowności naszéj bezwzględnéj robi wrażenie niezwykłości, na którego tle owo zajęcie nas duchownością i losami tych istot „niemówiących" wytwarza w nas iluzyą jakiéjś bezdenności przenikania w rzeczy. Tymczasem tego właśnie u D. nie ma wcale. Prawdy namacalnéj znajdziemy u niego dużo, ale po za nią—nic.

O stopniu artyzmu, o stopniu jego wzruszalności stanowi nie przedmiot odmalowany, tylko stan duchowy tego, który malował. Widz wyczuwa nieświadomie to wytężenie się, że tak powiem, wzroku duszy artysty, to przenikanie głębin i mroków, ukrytych za powierzchownemi tonami i barwami, — i zaraża się poprostu psychicznie tym najcudowniejszym rodzajem drugiego wzroku. Otóż przeanalizowawszy i tę kategoryą dzieł D. przyjdziemy do przekonania, że treścią swéj treści nie różnią się one od innych tegoż pisarza. Oryginalność téż jego pod tym względem bardziéj przypomina postawienie jajka, aniżeli odkrycie Ameryki.

Umiejętność odtwarzania powierzchni dusz prostych zwierzęco-ludzkich każe domyślać się umiejętności analogicznéj odtwarzania typów dziecięcych, pewno téż zawsze niemniejsze mistrzowstwo i tu potrafiłby rozwinąć D., gdyby mu nie stawały najczęściéj na przeszkodzie tendencye pedagogiczne i, co gorsza, w związku z niemi występująca skłonność do karykatury. Z tą karykaturą pedagogiczną spotykamy się co prawda tylko tam, gdzie chodzi o sferę t. zw. wyższą, bo dzieci chłopskie, jak Beldonek np., nie pozostawiają nic do życzenia.

Samo już przyjście na świat bohatéra „Wojtusiowych nieszczęść", potomka nader niepokaźnych próbek szlacheckiego rodzaju, w taki oto np. zabawny sposób nastraja styl autora. „Rozumie się, iż medycyna miała tu szerokie pole do zasłużenia sobie na wdzięczność całego ludzkiego gatunku za ocalenie tak wartościowego organizmu w gubernii radomskiéj." Domyśla się oczywiście czytelnik, że chodzi tu nie o klacz rozpłodową, lecz o matkę Wojtusiową.

Daléj w karykaturalny, choć trafny sposób opowiada D. historyą tresunku wychowawczego dzieci w domu i w szkole. Szczególnie ta ostatnia otwiéra upusty jego humoru. Już gapiostwo Wojtusia podczas egzaminu zachęca nas usilnie do pękania od śmiechu, sam zaś pobyt malca w zakładzie prywatno-naukowym piętrzy jedną na drugą przygody najzabawniejsze, ciągłością swą samą i ilością wychodzące z granic prawdopodobieństwa. Cierpi na tém oczywiście tendencya, tracąc na wyraźności, całą zaś tę farsę pedagogiczną kończy D. śmiercią Woj-

tusia na szkarlatynę, dodając na zakończenie—jako pendant do wysiłków lekarzy i rozpaczy matki — śmierć bez poratowania i żalów niczyich, zamarcie ulicznika pod ławką na skwerze. I tak ginie bohatér wcale nie z winy pedagogiki domowéj lub szkolnéj, która była mu tylko źródłem zabawy lub przykrości. Ma on właściwie dwóch tylko wrogów: prześladuje go dziedziczność, a gubi przypadek.

Typ podobny dziecka niedołężnego, rachitycznego, pozbawionego wszelkich zdolności normalnych zarówno fizycznych jak i umysłowych, odtwarza znów D. w sposób już poważny w noweli „Jeszcze jeden niezdara.” W tém godném uwagi i uznania studyum, nic mającém coprawda nic wspólnego ze sztuką, liczne przygody nie przeszkadzają bohatérowi wyróść na idyotę: daremnie pijana mamka dziecię z kołyską wywraca, a zakochana niania przez okno wyrzuca; daremnie później wypada chłopak-Staś z bryczki na bruk a Staś-młodzieniec truje się strychniną!

VII.

Wyniki téj analizy dałyby się streścić w sposób następujący. Żywych bohatérów dostarczają D: najciemniejsza warstwa ludu, zwierzęta i dzieci bardzo proste umysłowo. Natchnieniem płodném bywa mu skłonność do obserwacyi naturalistycznéj i humor. Wyjście ze sfery ciemnoty, przesądów i dzikości nie płuży pięknu w utworach D.: i szlachcic może mu się niekiedy udać, ale musi być niemniéj od chłopa najgłupszego bliskim stanu zwierzęcego, chociażby wina zamiast gorzałki używał. Dziedzina większego zróżniczkowania się duszy, wymagająca głębszéj i subtelniejszéj analizy psychologicznéj oraz intuicyi artystycznéj—dostępną nie jest D. stanowczo. Potrafi on czasem scharakteryzować jakiś typ komiczny wyższego porządku, lecz tylko określeniami oderwanemi, nie zaś sposobami artystycznemi (np. Dębołucki w noweli „Świat i ślepa dziewczyna”). Ale jego artyści, literaci, nie mówiąc już o arystokratach, wogóle ludzie o wyższych niby potrzebach i zasobach duchowych—to coś lichszego nawet niż maryonetki: pajace to, podrygujące w śmiesznie przykry sposób przy niezręcznych pociągnięciach za sznurek. Narzędzia artystyczne D. zbyt są grube i proste do roboty delikatniejszéj. Nie piłą i siekierą rzeźbi się w drzewie. Szczególnie powieści niektóre nastręczają tę uwagę.

Śpieszę jednak powiedzieć, iż nie wszystkie postaci D., z téj sfery są zupełnie nieudatne, działalność jego na tém polu nie różni się duchem od téj, którąśmy się dotychczas zajmowali. Niekiedy powieści jego uderzają nawet pewnym ładem, świadomością celów i znajomo-

ścią środków. Możnaby je też, jak i nowele, podzielić na studya naturalistyczno bytowe nad danym typem i studya społeczno bytowe nad daną dziedziną życia społecznego. Oczywiście mówię tu nie o matematyczie ścisłém odgraniczeniu, lecz jedynie o charakterze dominującym.

Próbą najlepszą pierwszéj z tych kategoryi jest „Pan Jędrzéj Piszczalski.” Historya to całego żywota — od kolébki do mogiły — zamożnego, ale zupełnie głupiego szlachcica. Prototypem Piszczalskiego jest prawdopodobnie Nabłocki, bohatér noweli p. t. „Z psiarni, pola i kniei.” Takież nieuctwo zupełne, toż zamiłowanie do psiarni i stajni, taż awanturniczość, tenże brak bezwzględny wszelkiéj myśli wznioślejszéj, interesów wyższych. Tylko Piszczalskiego przeniósł autor o jakie parę dziesiątków lat wstecz od Nabłockiego, mógł go więc uposażyć w większą dozę skłonności atawistyczno-szlacheckich. Jednéj z osób działających wkłada D. następującą opinię o bohatérze, która wygląda na jego własną.

„Piszczalski jest typem szlachcica... To człowiek, na którym można polegać: dla zysku nie poświęci on nigdy godności osobistéj, duma i żądza sławy, fantazya poety i męstwo rycerza nigdy nie znalazły dla siebie lepszego siedliska. Tylko tacy mogli chodzić na wyprawy krzyżowe, oswobadzać Wiedeń od Turków, bić się pod Warną... Ten dobry, spokojny typ rycerza, wobec rozwoju nauk i wynalazków, jest ośmieszonym Donkiszotem. Uczony, przemysłowiec, kupiec mogą nazwać Piszczalskiego głupim; ja twierdzę, że to jest człowiek zaginionéj epoki, czysty gotyk.”

Otóż jabym się na to nie pisał. Zapewne, przy odpowiedniém zarażeniu się psychicznem, byłby z Piszczalskiego dobry żołnierz, ale cech jego prawdziwie rycerskich nie pokazał nam autor wcale. Nigdzie nie spotykamy się tu ze śladem jego zdolności do poświęceń, tęsknoty do służenia jakiemuś ideałowi, rwania się z ciasnéj klatki, do jakiéj go los zamknął. Marzenia jego o wojnach i walkach bohaterskich dadzą się sprowadzić do radziwiłłowskiego łgania o rzekomych swych przygodach wojennych, do tytułowania się rotmistrzem i wogóle utożsamiania siebie z ojcem, starym żołnierzem napoleońskim. Zdaje mi się, że zarówno od szczerego rycerstwa bez trwogi i zarzutu, jak i od donkiszoteryi różni się on zupełnym brakiem ideału, jako impulsu wewnętrznego do bohaterstwa. Wszystkie czyny jego wyjątkowe wypływają z samolubstwa i próżności, od świata zaś ucywilizowanego dzielą go nie popędy rycerskie, lecz poczucie swéj ciemnoty obok instynktów i upodobań rubasznych.

Biorąc rzecz na logikę, rozumiał D., że natura niezwykła a niezgodna z formami życia, przez los narzuconemi, musiała je rozsadzać,

stając się źródłem wielu nadzwyczajności, to też piętrzy je on na drodze pana Jędrzeja; są to jednak przypadki, wymyślane według sposobu tworzenia „bajek cudownych”, lecz nie mające żadnego związku koniecznego z duszą bohatéra: nie z niéj one płyną.

Więcéj może od samego Piszczalskiego wart w téj powieści Horda-Drakiewicz, wyborny typ pieczeniarza, który przehulawszy własny majątek pomaga do tego innym. Łgarz ten i facecyonista, uosobienie obżarstwa, opilstwa i humoru szlacheckiego, ucywilizował się o tyle, że do karciąt jest chętny i do umizgów skory. Na jego intencyą wystudyował nawet D. sposób mówienia wołyńsko-poleski. Typ to na wskroś komiczny i dzięki temu prawdziwém życiem przez autora obdarzony i nawet oryginalny, co po Falstafach i Zagłobach rzeczą jest nie małą.

Innéj powieści-studyum dał D. za bohatéra wyżła „Asa.” Rzecz to słaba, wciąż utykająca na szkopułach trywialności i nienaturalności. Zarówno stare panny, pierwsze właścicielki bohatéra, jak i drugi jego właściciel ze swojém myśliwstwem odświętném — są to karykatury pospolite z jakiegoś świstka dla śmiechu, tragedya zaś małżeńska owego p. Albina, dla któréj rozwiązania użył D. oprócz wyżła swojéj psychologii chłodno-rozsądnéj—razi poprostu niewielką wartością swéj treści i formy. Dom leśniczego Sarmaty, dokąd dostaje się bohatér na wychowanie, najlepiéj się jeszcze przedstawia. I sam Sarmata (*nomen-omen!*), grubaśny i obżarty leniuch, i brat jego, „mądry” niedołęga, i gospodyni z synem—są to nader zręcznie, choć zgruba, naszkicowane postaci, ale już hrabski pałac, dokąd się po wielu przygodach As dostaje, wygląda bezbarwnie. Sam wreszcie bohatér tytułowy, którego autor pozbywa się wreszcie przez spalenie go w sposób bajecznie nadzwyczajny, ustępuje wielce pod względem charakterystyczności innym współplemieńcom u Dygasińskiego. Snać psia dusza nie mogła dostarczyć wątku do całéj powieści.

Niektóre powieści drugiéj kategoryi odznaczają się charakterem bieżąco-społecznym. Np. emigracya brazylijska staje się u nas kwestyą tak wielkiéj wagi, że dla zbadania rzeczy na miejscu jedzie Dyg. za ocean i wnet zużytkowuje zdobyty w ten sposób materyał na odzwierciedlenie całości ruchu emigracyjnego. („Na złamanie karku”). Całe miasto i kraj nawet wielce się zajmuje skandalicznemi a starannie ukrywanemi nadużyciami w pewném przez grono obywateli-gorzelników założonem towarzystwie rektyfikacyjnem — i oto D. pisze „Gorzałkę.”

Charakter tendencyjny tego rodzaju natchnień D. wyraźnie się odbija na płodach téj kategoryi. Sytuacye bywają tu zbyt często nie

kombinacyą momentów duchowych, lecz przedewszystkiém zjawiskami społecznemi; osobistości wyglądają niekiedy nie na osobniki o jakimś wewnętrznym zbiorniku impulsów działania, lecz na kółka w machinie społecznéj, opisane ze strony zewnętrznéj. Postaci jego różnią się tu wyraźnie czynami i rozumowaniami, poza któremi nie uda się nam jednak wyczuć pierwiastka emocyonalnego, stanowiącego właśnie duszę artyzmu. Tu bardziéj nawet niż w humoreskach bytowych, pisanych niby dla ochłody w skwarach życia, czuć się daje brak „ukrytego ciepła,” jakby powiedział fizyk.

Trafnych spostrzeżeń tu moc; logicznych rozwikłań kolizyi — nie brak; charaktery najczęściéj bardzo konsekwentnie są przeprowadzone (o ile oczywiście jakaś teorya lub zasada nie każe rzekom płynąć wstecz), ale wszystko to, razem wzięte, daje nam p o j ę c i e tylko o danéj stronie życia, pojęcie, które równie dobrze dać by nam mogła porządna analiza oderwana. Jeżeli się zaś natrafi w powieściach tego rodzaju na scenę nacechowaną artyzmem, będzie tam znowu chodziło o humor; jeżeli napotkamy typ nie protokularno-anegdotycznie przedstawiony, będziem mieli niechybnie typ szczerze komiczny, lub okaz nieświadomego zwierzęcia ludzkiego.

Najharmonijniejszą z takich powieści publicystycznych jest niewątpliwie „Na złamanie karku.” Cały przebieg emigracyi gromady chłopskiéj opowiedziany tu jest za pomocą dyalogu i bez niego, od chwili rzucenia odezwy przez agenta ładnéj dziewce z Rokitnicy aż do powrotu do kraju szczęśliwszych z nieszczęśliwców. Etapy w Bremie i w Rio-Janeiro, wszystkie nędze i trudy biedaków pod zwrotnikami są tu opisane niemniéj jasno, lecz bardziéj wyczerpująco niż w „Listach z Brazylii” tegoż autora. Wszystkie chyba możliwe typy emigrantów naszkicował autor wybornie. I piękna bałamutka Grzędzianka, kończąca rozpustą w Rio-Janeiro; i energiczny a wytrwały niezłomnie młody parobek Wicek Strzała; i Głodzikowski, stary chłop pijak, gwałtem córce dorosłéj młodą dziewczynę za macochę dać chcący; i złodziéj Cierniak; i nawpół święty starowina Kobylak; i poczciwy Kuc z takąż Jagną—najdoskonalsze typy parobka i dziewczyny; i krawiec złośliwy z szewcem blagierem — wszystko to są postaci, nader trafnemi rysami naszkicowane przez człowieka rozumnego, znającego się doskonale na rzeczach i ludziach; nie ma tu tylko ani jednéj duszy, odtworzonéj artystycznie. Opisy pobytu emigrantów w Bremie i w barakach brazylijskich oraz podróży morskiéj—wierne to wprawdzie szkice spostrzegacza bardzo sumiennego i niemniéj inteligentnego, ale grozy, jaką tylko artyzm prawdziwy mógłby wywołać,—nie czujemy tu wcale: w i e m y

tylko, że to było okropne. „Gorzałkę”, napisaną z większą trochę werwą, psuje znów bardzo przeładowanie nadzwyczajnościami i tendencyjność. Zarówno luminarzowi gorzelnictwa, bogatemu obywatelowi, którego dewizą jest takt, jak i księdzu, ascecie-fanatykowi, najstraszniejszemu wrogowi „gorzałki” — daje autor za braci nie już gałganów, lecz rzezimieszków skończonych; z tego źródła tryska tysiąc niespodzianek, przypadkowy tylko związek z gorzałką mieć mogących.

Najlepszemi i najbardziéj żywemi postaciami w powieści są doktór filozofii Koperkiewicz i chłop Maruda. Pierwszy—to szczerze komiczny typ fałszywego poczciwca, z temperamentu i blagi krewny duchowy prostaka Hordy Drakiewicza, różniący się od tego protoplasty swego większą przedsiębiorczością skierowaną przytém ku nabiciu kabzy nie zaś ku użyciu chwilowemu i, co zatém idzie, trochę podlejszy. Drugi—to stary chłop robotnik przy gorzelni „taktownego” Strumskiego, kierujący się w sprawach fachu zwierzęcym niemal instynktem, który często okazuje się mądrzejszym (jak twierdzi autor) od wiedzy gorzelanego i dziedzica z ich instrumentami. Chłop to uparty, jak mazur, a zawzięty, jak dwa mazury. Mimochodem opowiedziane okrucieństwo jego względem córki uwiedzionéj; daléj stosunek surowo-miłosny do jéj syna; nienawiść i wzgarda dla uwodziciela pijaka, dziedzicowego brata, spływające na całą rodzinę jego po części — wszystko to stanowi nader trafne i naturalne połączenie rysów tego pół dzikusa. Pijaństwa jego—z bójką czy bez bójki—z Ksawciem Strumskim, owym zięciem z lewéj ręki, rozmowy z wnuczkiem Tomusiem opryskliwe czy łagodne, kłótnie z gorzelanym i dziedzicem, podpalenie przez zemstę gorzelni ukochanéj, z któréj go wygnano na starość, powrót wreszcie z kryminału i sceny z poczciwym a podejrzewanym o „zciaraszenie się i zhardzenie.” Tomusiem, który dzięki księdzu i córce dziedzicowéj wyszedł tymczasem, jak to mówią, na ludzi — wszystko to są doskonałe momenty, zmuszające nas do żywszego trochę i serdeczniejszego interesowania się tą postacią. Ta prosta, gruba a swojska natura osobliwie jasno snać została przez autora nietylko zrozumiana, ale i jakgdyby odczuta. Czy jednak choć Maruda jest postacią artystycznie wzruszającą? Zdaje mi się, że on jeden stoi tu już na rubieży sztuki.

Powieści D. nie mają pierwszych i drugich planów. Wszystkiemi osobami działającemi zajmuje się umysł jego zarówno, jednakich środków używając do ich scharakteryzowania. Przypominałoby to George Elliota, gdyby nie było takiéj różnicy olbrzymiéj w stopniu artyzmu. W każdym razie tylko powieści-studya posiadają wyraźnie bohaterów. Uwzględniając jednak punkt, ku któremu głównie zmierzają wy-

padki w „Gorzałce", za bohatéra jéj możnaby uznać Augusta Strumskiego, „dziedzicowego" syna, wyrodnego niby na początku, potém zaś nagle stającego się nieodrodnym. Młodzieniec szlachetny, bezinteresowny, niezależny, skrajnie przytém radykalnych—żeby nie powiedzieć więcéj—zasad, potępiający otwarcie i gwałtownie gorzelnictwo ojca, którego wstydzi się, jako wyzyskiwacza i rozpajacza ludu — staje się za jednym zamachem najgorliwszym zwolennikiem i poplecznikiem tego ojca, dzięki miłości dla cudnéj niby duszą i ciałem kobiety. Ciska on odrazu w kąt, jako błazeństwo, rozpoczęte dziełko przeciw gorzałce i bierze się natomiast do innego, wysławiającego rolę jéj kulturalno-dobroczynną. Tak więc „algebra psychologiczna" D. daje tu: szlachetne idee × szlachetne uczucie = podłe samolubstwo.

Godzien jest uwagi sposób, w jaki dochodzi autor do tego rezultatu. Rozdział VIII (t. IV) rozpoczyna on od wykładu logarytmów, jako zamiany działań trudniejszych na łatwiejsze i przeprowadzenia analogii pomiędzy algebrą a życiem, i następnie do téj teoryi, która wcale dobrze by wyglądała w zręczném streszczeniu aforystyczném, nałamuje sytuacyą i duszę ludzką. Młody Strumski, po zerwaniu stosunków z ojcem i nadaremném choć krótkiém poszukiwaniu pracy, którąby mu umożliwiła rozwiedzenie ukochanéj i ożenienie się z nią, przychodzi do przekonania, że ta wzniosła droga jest szeregiem działań trudniejszych, wobec których przydałby się „logarytm życiowy." Idą więc precz przekonania, które zastępuje tylko myśl o własnym interesie; godzi się on z ojcem i gotów jest nawet siostry godność i szczęście zaprzepaścić, byleby swego dopiąć. „Gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podléźć"; „cel uświęca środki"—przytacza D. odpowiednie formułki logarytmów życiowych.

Zdaje mi się, że taki nagły przewrót w istocie zupełnie świadoméj nie da się całkowicie usprawiedliwić. Można się tu tylko zastanawiać, co skłoniło D. do wytworzenia takiego nieprawdopodobieństwa. Może chodziło o myśl, że dziedziczne instynkty pijawkowo-gorzelnicze musiały prędzéj czy późniéj tryumfować nad wszelkiemi naleciałościami idealnemi, jakkolwiekby szczerze i trwale wyglądały? Może grała tu rolę teorya o upośledzającéj sile miłości? W każdym jednak razie możnaby powiedzieć, że tendencya zbyt gwałtownie z worka wyłazi, dziedziczność zaś działa zbyt piorunująco, niby jad wścieklizny. Najlepszą powieścią D. jest, jak mi się zdaje, jedna z ostatnich, nie wydana jeszcze w odbitce, p. t. „Dramaty lubądzkie." I tu jednak wyższy nieco stopień naturalności w biegu wypadków i toku uczuć i myśli osób działających mąci pewien właściwy D. rodzaj cudowności, w którą przedzierzga się niezwykłość. Myślę o tym jąkale, któremu wyma-

wianie zamiast „pieszczoszka”—„pieczonka“ nie przeszkadza być wysoce elokwentnym, nie mówiąc już o dobroci genialnéj, udającéj tylko po hamletowsku niejako głupotę. „Pieczonka” ów wszystko przewiduje, wszystko wyczuwa, jest nietylko sercem i sumieniem, lecz poniekąd i opatrznością wioski, dzięki téż temu staje się jéj męczennikiem. Przypomina on mocno, aczkolwiek na korzyść Dygasińskiego, owego idyotę genialnego Konopnickiéj, Franka; na różnicę składają się tu marzycielstwo smutne Konopnickiéj i zdrowy humor Dygasińskiego. W każdym jednak razie w historyi żywota tego Pieczonki są momenty, które, pomimo zupełnie określonych poglądów na talent Dygasińskiego, skłoniły mnie do podejrzewania tu w nim jakiegoś osobliwego drgnienia duszy, pod osobliwym jakimś wpływem. Byłbym nawet tego pewny, gdybym nie wiedział, co może inteligencya przy dokładnéj znajomości techniki. Takie poprawne sympatycznie nowele, jak: „Przy kościele” lub „Cud na roli” odrazu zdają mi się możliwemi do wytłómaczenia przez dobrze zrozumiany konwensans, ale inaczéj się dzieje z taką np. sceną, w któréj oburzony rozpaczliwie na patrycyat wioski Pieczonka, idąc za dwoma jego członkami, nie może powstrzymać swoich zapędów prorockich. Zapewne, prorokować tak nie mógł jąkała—pół-idyota, ale ten ustęp działa na nerwy. W zaciętości szalonéj téj wzgardy dla złego brzmi jakiś akcent dramatyczny, na który sam tylko humor i rozum-by się nie zdobyły. Wspomniałem „Cud na roli”, muszę się więc zastrzedz, że gdyby mnie autor chciał zapewnić, że i ta nowela zrodziła się z innego jakiegoś źródła, że dało jéj początek jakieś niezwykłe tchnienie ducha — nie śmiałbym przeczyć.

Wracam jednak do „Dramatów Lubądzkich”. Całość téj powieści charakteryzuje ludność wiejską, jak zwykle, pijactwem, przesądnością, ciemnotą, okrucieństwem, dzikością, nie okraszoną nawet jakiemiś instynktami l u d z k o - społecznemi. Wszystko, co dobre, nietylko ginie, lecz zginąć m u s i, wszystko co złe — zwycięża. Zdawałoby się, że z owego występku ukaranego i cnoty tryumfującéj dawnych pisarzy sentymentalno-moralnych Dygasiński zrobił sobie tu formułę, tylko odwrotną.

VIII.

Z rozdziału poprzedniego nie wyprowadził chyba czytelnik wniosku, że ja powieściopisarza stawiam w Dygasińskim wyżéj od nowelisty. Przeciwnie. W nowelach jego spotykamy się częściéj z czémś

nowém i oryginalném, z czémś artystycznie charakterystyczném, z czémś, co nas zajmie, zapisze się w pamięci jako wrażenie estetyczne, aczkolwiek niegłębokie. W powieściach zmuszeni jesteśmy nieraz ocenić zręczność wielką w układaniu planów ogólnych, w wikłaniu wypadków, w potoczystém rozwijaniu akcyi, w umiejętnie stopniowaném posuwaniu naprzód historyi jakiegoś szeregu zjawisk społecznych, środowiska lub osobnika, ale wszystko to jest przeważnie tak obojętne artystycznie, aczkolwiek interesujące życiowo-społecznie. Wogóle zdaje mi się, że Dygasiński nowelista więcéj może zwrócić na siebie uwagi przyszłego historyka literatury, niż Dygasiński powieściopisarz.

Jeżeli Dygasiński jest największym artystą z pomiędzy naturalistów, to jest téż największym naturalistą wśród artystów. Osobniki są dla niego bądźcobądź nie w mniejszym stopniu okazami gatunków, jak artystycznie pojętemi i odczutemi typami.

Naturalistą téż nie przestaje on być oczywiście i wtedy, kiedy chodzi o ludzką rodzinę w ogólném plemieniu czworonogów i ptaków. Jeżeli zaś życie „w gnieździe ludzkiém" zdaje mu się czasem bardziéj interesującém, to jedynie ze względu na większą stosunkowo ilość środków i potrzeb istnienia, na bardziéj złożone kombinacye i sztuczniejsze maskowanie zasadniczych instynktów zwierzęcych.

Dzięki temu wyobraźnia jego lubuje się szczególnie w takich typach ludzkich, które mogą służyć za dowód oczywisty teoryi Darwina. Chłop, najczęstszy i najdoskonalszy przedstawiciel rodzaju ludzkiego, w dziełach Dygasińskiego — to troglodyta, szkicowany przeważnie w swéj ciemnocie śmiesznéj, niekiedy nawet potwornéj.

Nie znajdzie się chyba nikt, komuby się nie zdarzyło być świadkiem jakiegoś bezinteresownie szlachetnego czynu, jakiegoś szczytnego słowa, płynących z „prostéj, miernéj duszy", jak mówi Konopnicka, ale Dygasiński zdaje się nic o tém nie wiedzieć. Żaden instynkt, nietylko ideał, nie nadający się do wyprowadzenia bezpośrednio z instynktów zwierzęcych, tak samo nie kieruje nigdy Maćkami i Bartkami Dygasińskiego, jak i jego Asami i Targajami. Wielkie, wprost z serca natury czerpane uczucia i myśli „maluczkich" i „ubogich duchem" obce są téj wyobraźni, zahypnotyzowanéj przez tak dobrze dopasowane do duszy poglądy pozytywne, których charakteru zmienić nie mogą rzadkie zakusy panteistyczne. Jeżeli wśród ludzkich bohatérów jego znajdzie się jakaś miłość—macierzyńska czy téż inna—lub przyjaźń, to w takim jedynie stopniu, jakim obdarza niemi Dygasiński psie czy ptasie matki, małżonki czy przyjaciół.

Otóż wyznaję, że ta niwelacya duszy, choć chłopskiéj, aleć zawsze człowieczéj, do poziomu zwierzęcego razić może niekiedy uprzedzenia nasze na korzyść k a s t y ludzkiéj w wielkiéj społeczności zwierzęcéj na ziemi. Jeżeli jednak autor zapomni na ten najogólniejszy swój pogląd nacisku zbyt silnego położyć komentarzem odpowiednim, kupuje nas całkowicie jego otwartość i szczerość, omal nie naiwna. Bo i cóż on winien ostatecznie, że takie właśnie strony duszy i życia, a nie inne, pobudzają jego twórczość? Dopiéro wtedy mielibyśmy prawo mieć żal, gdyby nam powiedział, że, według niego, c a ł y ch ł o p jest w jego dziełach, tymczasem zaś winniśmy mu wdzięczność za tę trochę prawdy i piękna, jakie nam dał.

Józefat Nowiński.



...I trochę przezorności.



P. Wacław Kloss występując w swym artykule „Trochę godności" („Ateneum", styczeń, 1897 r) przeciw naszej francuzomanii, poruszył sprawę ważniejszą i wszechstronniejszą niż się na pozór zdaje. Idzie w niéj bowiem nie tylko o nasze popisy literackie, nad Sekwaną i Loarą, o wychowanie na francuską modłę, czyli o te kierunki a wpływy, jakim ulega społeczeństwo nasze pod działaniem nauczycielek i nauczycieli, z „paryskim akcentem", (niezbędnych dziś nie tylko w arystokratycznych domach lecz w szlacheckich nawet dworkach, skoro jest możność zapłacenia guwernantce od 120 do 150 rs.) następnie zaś pod działaniem literatury francuskiéj (właściwie beletrystyki), jedynéj z obcych jako tako ogółowi znanéj; lecz idzie tu także o te — jeśli się tak wyrazić wolno—stosunki międzynarodowe, jakie oświecone społeczeństwa zawiązują z sobą za pośrednictwem wymiany myśli naukowéj, literackiéj i artystycznéj, wskutek znów czego każde społeczeństwo wyrabia sobie pewne stanowisko w świecie ucywilizowanym. A nie jest do pogardzenia to stanowisko, umysłową przewagą zdobyte. Wszak malutka Grecya starożytna do dziś i po wieki brać będzie udział w życiu naszém intelektualném, dzięki samemu geniuszowi swych mistrzów. Mały księgozbiór hebrajski, Biblia, wpłynął potężnie na losy wszechświata.

Niepodobna odmówić p. W. K. słuszności w zasadzie: trzeba strzedz godności własnej przedewszystkiém i nadewszystko, bo to je-

den z najdroższych skarbów. Trudno też nie podzielać jego oburzenia na naszę... jakby to grzecznie powiedzieć?... Ale po co obwijać prawdę w bawełnę?.. Nazwijmy rzecz po imieniu! przeciw naszéj głupocie, która tylko zagranicznym stemplom i dyplomom wierzy. Niemniéj słuszne są zarzuty pod adresem Francuzów, ale — pomimo to wszystko — czy podobna zasklepić się w dumném milczeniu i powiedzieć sobie: niech o nas myślą i mówią co się im podoba: „to nas ani ziębi ani grzeje, a przynajmniéj ani grzać ani ziębić nie powinno?”.

Francya zdobyła sobie stanowisko takie, z jakiém się liczyć potrzeba, chociażby w tém jéj powodzeniu grało większą rolę szczęście niż zasługa. Opinia, jedna z potęg dzisiejszych, wpływa nie tylko na losy jednostek. Po klęsce sedańskiéj Francuzi zrozumieli to pierwsi i zaczęto nawoływać w szkołach młodzież, by starała się być świadomą tego, co się o nich (to jest o ich kraju) za granicą mówi. Nawoływania te, i żywém i drukowaném słowem, nie przebrzmiały bez echa. Porobiono rozmaite kroki, by garnąć do siebie cudzoziemców, zwłaszcza przybyłych na studya. „Wrażenia młodości są głębokie“ pisze jeden z profesorów-pedagogów — „szczęśliwe są narody, umiejące przyciągać do siebie młodzież innych narodów! Przysparzają one sobie przyjaciół w przyszłości. Nikt ich tyle nie potrzebuje, jak my... trzeba się nam o to postarać: staranie to jest niezbędne, bo nas obmawiają za granicą i obmawiamy sami siebie [1]),.... w tém dziele obmowy mamy bardzo gorliwego spółpracownika, prasę cudzoziemską... Istnieje gdzieś biuro główne potwarzy, połączone nicią z biurami pomocniczemi, które się znajdują wszędzie......

„Wabmy do siebie obcokrajowców i obchodźmy się z nimi uprzejmie. Mamy względem nich obowiązki, któremi powinniśmy się przeniknąć... a ponieważ tu mowa o studentach, powiem, że nie zadajemy sobie dość pracy dla przyciągania ich... sami tylko zyskamy przysparzając sobie przyjaciół.”

Słowa te tém lepszym wstępem do rzeczy być mogą, że pochodzą z kraju mającego nie jedną przewagę nad nami a pomimo to rachującego się z tém „co ludzie mówią”, i że my, podobnie jak oni, bywamy czernieni przez „gadzinową prasę.” A jeśli prawdę powiada przysłowie, że „kto milczy ten się zgadza”, czyli jak w tym razie: robione sobie zarzuty uznaje za słuszne, więc, nie ma innéj rady jak protestować, jeśli nie chcemy uchodzić za dzikich ludzi, za barbarzyńców za — *quantité négligeable.*

---

[1]) Nous avons des fantaisies extraordinaires et qui font grand tapage: fantaisies en politique, fantaisies dans les lettres, fantaisies dans les arts. Nous étalons nos décadents, nos impressionistes, nos incohérents et le général Boulanger.

Prawda, że „dzisiejsza Francya” nie zna nas — że „nic o nas nie wié i wiedzieć nie chce”, że do zrozumienia i ocenienia naszéj literatury i dziejów nie posiada „odpowiedniego przygotowania”; ale nawet i wobec tego nie należy rąk opuszczać, bo na tém stracimy więcéj sami niż oni.

Podobnie jak jednostka, nawet najszczodrzéj obdarzona moralnie i materyalnie, nie zdoła wystarczyć sama sobie, tak i społeczeństwo, nawet najzasobniejsze pod wszystkiemi względami, zwyrodniałoby, gdyby się otoczyło murem chińskim, niedopuszczającym komunikacyi ze światem.

Ale nie dość jest: b r a ć; trzeba nawzajem d a w a ć.

I znów do porównania wyżéj zrobionego powrócić wypada, bo potrzeby społeczne, państwowe, wszechludzkie, są potrzebami jednostki, tylko rozszerzonemi na bezmierną skalę, rozwiniętemi we wszystkich kierunkach, podniesionemi do najwyższéj potęgi.

Jak jednostka przyjmująca materyalny zasiłek bez zwrócenia go, jest nieszczęsnym żebrakiem lub nikczemnym oszustem, albo jak inna nie przyczyniająca się niczém do dobra ogólnego jest zerem, obie popomijane, lub nawet pomiatane; podobnie i naród, nie biorący czynnego udziału w żadnym z objawów życia powszechnego, jest albo w dzieciństwie albo w rozkładzie, z takiemi inne narody liczyć się nie będą.

Ponieważ „literatura nasza stanęła już na tym szczeblu, że chyba nie potrzebujemy się jéj przed obcymi wstydzić”, dlaczegoż tym dorobkiem nie zaznaczyć przed nimi naszego udziału w ogólnym rozwoju ludzkości?... Nie przez nędzną próżność lecz dla przekonania uprzedzonych i niechętnych, że umiemy czuć, myśléć, pracować na równi z innymi, że posiadamy swą własną indywidualność, że nie tylko brać lecz i dawać możemy, że... że, jedném słowem, nie jesteśmy zerem.

Prawda, że bardzo wiele „trudu, zachodów, co gorsza, po prostu upokarzających próśb, często nawet i protekcyi, kosztuje każde zdobycie kącika w dzienniku francuskim dla utworu polskiego”, ale i dla początkujących Francuzów dostęp nie o wiele jest łatwiejszy. Nie jeden i nie jedna z głośnych dziś i czytanych zaznał głodu i chłodu— i to przez czas dłuższy — zanim się wybili na wiérzch. O pewnéj, bardzo teraz znanéj powieściopisarce, opowiadali dobrze znający sprawę, że „przez lat siedm marła głodem, zanim wydrukowano pierwszy jéj romans.” Od tego rodzaju niesprawiedliwości żaden kraj, żadna epoka nie jest wolna, niestety! We Francyi nie poznano się odrazu na Sienkiewiczu. Brunetière powiedział o powieści „Bez dogmatu“, że *c'est un cheveux coupé en quatre.* Osiński twierdził o „Dziadach” że:

„Cicho wszędzie, głupio wszędzie,
Nic nie było, nic nie będzie.“

Chléb to powszedni w artystycznym zawodzie takie wyroki i liczbę ich na setki można rachować. Jeśli wierzyć mamy pogłosce, to jednemu z pierwszych dziś pianistów, Eugeniuszowi Albert, nauczyciel (którego nazwiska nie pomnę) wręcz odmówił talentu. Matejce miał też rzec któryś z jego przewodników: „mój Jasiu, weź się raczéj do szycia butów" niż do malarstwa.

Wogóle pierwsze kroki na drodze artystycznéj nie bywają łatwe, zaś w tym razie, który nas obchodzi, są one trudniejsze, może nie z literackich nawet pobudek. Nieznajomość warunków miejscowych ma tu swe znaczenie.

Francya wogóle nie zna Słowiańszczyzny, a o nas wié, jeśli nie mniéj niż o innych, to za to gorzéj niż o innych. Cała nasza przeszłość streszcza się dla niéj w smutnéj pamięci „*liberum veto* i nierządzie"; nadto Francuz praktyczny, trzeźwy, krewki, rzutki, z natury swéj jest mniéj zdolny do pojęcia i odczucia pewnych stron naszéj indywidualności. Frazes, z którego p. W. K. szydzi nie bez słuszności — *un coin curieux de l'âme slave*—to w dobréj wierze sformułowane wrażenie, którego przyczyny są rzeczywiste i głębokie. D u s z a s ł o w i a ń s k a — (zatrzymujemy wyrażenie użyte przez Francuzów) w danym razie ograniczamy się tylko do lechickiéj—bogatsza jest od galijskiéj w pewne dźwięki ze sfery uczuć (uboższa może za to w pewne uzdolnienie praktyczne), jest w niéj daleko więcéj idealizmu, marzycielstwa, subtelności i szlachetnego, podniosłego entuzyazmu; do odmalowania zaś tych wszystkich odcieni mamy też odpowiedni zapas wyrazów, których Francuz nie posiada, bo, nie odczuwając ich lub bardzo słabo, nie doznaje potrzeby ubrać ich w słowa. Tak np. t ę s k n o t a, która się u nas stosuje do wszelkiéj kategoryi uczuć głębokich, im prawie jest nieznaną, ich *Nostalgie* ma bardziéj określone znaczenie. Czasownika: t ę s k n i ć, t ę s k n i ę, t ę s k n i ł e m, mowa francuska nie posiada wcale. Francuz używa wyrażenia *j'aime*, czy mówi o żonie, którą kocha, czy o polędwicy, która mu smakuje, czy o pantoflach, które mu nie rażą nagniotków: my zaś mamy dwa czasowniki stanowczo różne w znaczeniu: lubię i kocham, ten ostatni nawet poparty staropolskim miłuję. Bywa też, iż sama forma zewnętrzna jakiegoś uczucia, odmienna od naszéj, pozwala się domyślać pewnéj różnicy w głębi: tak naprzykład uszanowanie, jakie u nas dzieci okazują rodzicom w sposobie mówienia lub przez ucałowanie rąk, wydaje się Francuzowi, mówiącemu *ty* do ojca lub matki, serwilizmem, zabytkiem wschodniéj nie-

wolniczości, gdzie z jednéj strony despotyzm wytwarza brak poczucia godności w drugiéj.

Zważywszy, jak ogromne miejsce uczucie zajmuje w życiu jednostki, trudno zaprzeczyć, iż mniéj lub więcéj szlachetne a poważne onego pojęcie oddziaływa nietylko na stosunki domowe, rodzinne, lecz na całą jedną stronę życia społecznego, a w literaturze nadobnéj gra ono pierwszorzędną rolę, jest niby tą pierwszą siłą rzutu, która wywołuje cały ruch. Każda literatura odtwarza tę siłę w takim stopniu i z takiém zabarwieniem, jak się ona przedstawia w rzeczywistości, a odbija w tajnikach własnéj istoty autora. Jeśli do tego potężnego czynnika, jakim jest miłość, dodamy pewne właściwości rodzime, zwyczajowe i obyczajowe, tło lokalne, typy swojskie, urobione temi wszystkiemi warunkami, jakie urabiały samo społeczeństwo, to — rzecz prosta — iż dla cudzoziemca odmiennych usposobień z natury, a mało obznajomionego z przedmiotem, wiele rzeczy wyda się inaczéj, niż jest rzeczywiście.

Gruntowny i badawczy umysł Niemca — pisze p. W. K. — oglądałby się ciekawie za komentarzem: prawda. Francuz dzisiejszy potrzebuje, aby mu dorobiono komentarz. Zgodziwszy się jednak na to, że społeczeństwa nie powinny się zasklepiać w sobie, jak gąsienica w swéj przędzy, lecz owszem, stanąć z innemi w szeregu i wziąć udział w pokojowym „europejskim koncercie” granym na polu wiedzy, literatury, sztuki, przemystu — to potrzeba znaléść jakiś sposób do zajęcia miejsca na koncertowéj estradzie.

Są szczęśliwcy, o których udział dobijają się wszyscy; są znów inni, o których nikt nie dba. Na wielką skalę dzieje się toż samo, co się dzieje z jednostką. Gdy jest bogata i na wysokiém stanowisku, to tłumy koło niéj krążą, jak psy koło obficie zastawionego stołu; gdy uboga, wegetuje gdzieś w kącie na nizinach hierarchicznych, to nikt na nią nawet nie patrzy. Lecz téj jednostce przysługuje prawo—byle wola a ochota—do pokuszenia się o stanowisko takie, jakie uważa za stosowne dla siebie. Wolno jéj pozostać w kącie, wolno dążyć wyżéj i daléj. W obu jednak razach czeka ją wiele trudów, zachodów, przykrości, upokorzeń. W pierwszym razie będą nią pomiatać jak zerem, w drugim — jak intruzem; ale intruz z razu, może przekonać z czasem, że nie jest gorszym wcale od tych, co, wyruszywszy wcześniéj, stanęli pierwsi u mety.

Myśmy w położeniu téj ubogiéj czy zubożałéj jednostki, o którą się nikt nie troska i która zginie marnie, jeśli się nie zatroska sama o siebie. Nikt do niéj się nie potrudzi, ona powinna potrudzić się do innych.

Ale na co daléj szukać przykładów i dowodów w téj mierze, jak we Francyi?... Ta Francya, sławna, bogata, dumna z siebie, przeceniająca nieraz siebie, zawiązuje głośną dziś w całym świecie *Alliance française*, nie szczędzi trudów, ni kosztów, by szerzyć drogą pokojową, za pomocą szkoły, języka i piśmiennictwa, znaczenie i wpływy swoje śród obcych.

Pan W. K. oburza się najsłuszniéj na „amputacye" literackie, przyswojenie bowiem obcego utworu nie powinno być jego przeinaczeniem; ale, niestety! w literaturze podobnie jak w gramatyce, trzeba porobić pewne od ogólnéj reguły wyjątki. Jeśli chcemy, by nas czytano, musimy, przynajmniéj w początkach, rachować się bardzo z ową nieudolnością a niechęcią (o których wspomniano wyżéj) i wejść z niemi w jakiś kompromis: ustąpić część, by nie narazić całości. Zainteresowawszy raz czytelnika, może się uda zwrócić jego baczniejszą uwagę i dojść do tego, że sam zechce zapoznać się bliżéj i głębiéj z przedmiotem, a wtedy amputacya okaże się niepotrzebną, a komentarze zbyteczne.

Drażliwa to niezmiernie strona i dla miłości własnéj autorskiéj i dla miłości własnéj narodowéj, owe amputacye, ale, Bogiem a prawdą, nieraz, z korzyścią dla utworu, a przyjemnością nawet dla polskiego czytelnika dałoby się wytrącić lub streścić to i owo. Krytyka wskazuje owe usterki (nawet taki wielbiciel Sienkiewicza, jak hr. Stanisław Tarnowski, który „Rodzinę Połanieckich" niby obrok duchowny zaleca („każdemu kawalerowi, zabierającemu się do stanu małżeńskiego, ksiądz przy przedślubnéj spowiedzi powinienby nakazać, żeby pilnie i do późnego wieku odczytywał i rozpamiętywał trzeci tom, a w nim zwłaszcza rozdział ósmy i dziewiąty") — nawet on robi uwagę, że za dużo trochę erudycyi w „Quo vadis"; co znaczy, że bez szkody dla powieści możnaby coś z niéj wytrącić [1]), ale nie ma prawa wykreślić słabszych ustępów, więc

---

[1]) P. Józefat Nowiński w ten sposób kończy swą ocenę o „Quo vadis" („Głos", N. 34, 1896, str. 34) „zdaje mi się, że „Quo vadis" przetrwa najdłużéj w jakiéjś przeróbce odpowiedniéj. Kto wié, czy istotna doskonałość takiego skrócenia nie postawiłaby téj powieści w bibliotece dla młodzieży obok przeróbek „Don Kichot'a" i „Chatki wuja Toma". Wspaniałe opisy wjazdów, wyjazdów, przedstawień cyrkowych i uczt podniosłyby do wysokiego stopnia wartość kształcącą téj książki."

Te słowa są jednym dowodem więcej, że w pewnych razach, dla pewnych kół czytelników, dozwolone być mogą zmiany w oryginale. Należałoby tylko porozumiéć się co do tego z autorem, lub w razie niemożności, uprzedzić czytelnika co się mu podaje: czy oryginał w całości, czy ustępy niektóre, czy też „adoptacyę".

pozostają one sobie jak chwasty w łanie zboża. Że to prawo przywłaszczył sobie który z tłómaczów, tego naturalnie, pochwalić bezwarunkowo nie można; w utworach pierwszorzędnéj, wartości taka samowola powinnaby stanowczo być wzbronioną, lecz pozatém, doprawdy trudno za to rzucić kamieniem potępienia, zwłaszcza zważywszy wszystkie okoliczności, w jakich się przekłady odbywają.

Co do wymagań redakcyjnych pamiętać potrzeba, że wszystkie redakcye czasopism i francuskich i naszych posiadają (nie pytam słusznie czy nie słusznie) władzę czy prawo, zaprowadzania zmian w drukowanych przez się artykułach. Niektóre z naszych pozwalają nawet sobie nie tylko wykreślać lecz i dodawać coś od siebie w imieniu autora, nie uprzedzając wcale ani autora ani czytelnika o tém; i zdarza się, że taka w s t a w k a jest „ni w pięć ni w dziewięć" (przepraszam za wyrażenie) a nadto bywa w sprzeczności z poglądami i zasadami piszącego!... Z dwojga złego, lepsza „amputacya" od takiéj niespodzianki. Nadmienić wreszcie potrzeba, że pewne redakcyjne zastrzeżenia we Francyi jednako się stosują do krajowców jak i do przybyszów. Niektóre czasopisma nie przyjmują dłuższych nowelek nad pewną określoną ilość wierszy; np. od 250 do 350; inne, krótszych od pewnéj ilości stronic i zdarzało się, że utwory wartościowe odrzucano dla braku... wymaganéj długości... Opowiadają, że Buloz (ojciec) tak stał przy swojém prawie (czy przywłaszczeniu) do poprawek iż nie znalazłszy nic, pewnego razu, do zmienienia w tekście jakiéjś powieści, pozmieniał... imiona bohatérów. Nie ręczę za autentyczność tego opowiadania, lecz gdyby nawet było prostym wymysłem, źródła jego szukać należy we wspomnianém prawie (czy przywileju), którém założyciel „Przeglądu dwóch światów" dał się we znaki spółpracownikom swego czasopisma.

Że wobec tylu przeszkód, to wspólnych z innymi to specyalnych, „zdobycie kącika w dzienniku francuskim dla utworu polskiego" nie należy do najłatwiejszych — to nie ulega wątpliwości — ale znów też nie należy do niepodobieństw. Rzeczy polskie nie są — co prawda — w modzie, istnieją przecież ludzie zajmujący się niemi. Przed kilku laty prof. Kolegium francuskiego p. Ludwik Léger poświęcił dwuletni swój wykład rozbiorowi „Pana Tadeusza". P. Karol Léger, dyrektor teatru poetów zwrócił się pierwszy o przedstawienie Balladyny do p.

Tym sposobem uczyniłoby się zadość, ile można, słusznym prawom autora i nie mniéj słusznym potrzebom czy wymaganiom publiczności. Jeśli w tworzeniu artysta może się nie krępować żadnemi względami, idąc za swojem tylko natchnieniem, to tłómacz musi się rachować, nieraz nawet bardzo ściśle, z wielu postronnemi okolicznościami.

Wacława Gasztowtta, tłómacza tego dramatu. Miesięcznik „Bulletin polonais" bywa pilnie czytywanym przez poważnych ludzi. W polemice wynikłéj z powodu Hoene-Wrońskiego, między dwoma uczonymi, p. Józefem Bertrand i p. P. L. Burthe, obie strony interesowały się tém co prasa nasza trzyma o ich sporze. Arykuły polskie (z „Kraju", „Słowa", „Kuryera Warszawskiego") były nawet przetłómaczone (jak mię upewniano) dla jednego z wymienionych polemistów. Artykuł p. Dicksteina ogłoszony w kwietniowym zeszycie „Bulletynu" nie minie niepostrzeżony w gronie specyalistów, a z nas tu każdy sobie powtarza raz, iż dobrze się stało, że w kwestyi tyczącéj się naszego uczonego zabieramy głos poważny, (byle tylko Francuzi złudzeni brzmieniem nazwiska, nie wzięli p. D. za Niemca lub Anglika!..), dotąd bowiem zwykle zachowywaliśmy skromne milczenie piętnastoletniéj dziewczki. To téż gadają na nas „co komu ślina do ust przyniesie." Gdyby zaś raz drugi i dziesiąty dano należytą odprawę, to paszkwilarzom jak Sacher Masoch, to kłamcom jak Marbot (mówimy o tém co pisał Marbot o Polsce) to ludziom źle poinformowanym, zmusiłoby się nie jednego do oględności a nawet do gruntowniejszych studyów. Nie miła to bowiem rzecz mieć sobie wytkniętą czarno na białém, nieświadomość traktowanego przedmiotu. Na to zaś potrzeba posiadać albo wyrobiony wstęp w prasie francuskiéj, albo organ własny. To co my sobie powiemy, po polsku, w dziennikach polskich, nie tak się łatwo przedostaje do cudzoziemców.

Na miejsce słusznie potępianego przez p. W. K. naszego względem Francyi wassalstwa trzeba postawić równość; a tę równość zdobytą rozwagą, rozumem, nauką, zaakcentować. Nie usuwać się z pola, na którém pracować możemy, lecz przeciwnie, wstąpić na nie liczniejszym i zwartszym szeregiem; nie zrywać z cywilizacyą zachodu, lecz dowieść, żeśmy umieli iskrę stamtąd przyniesioną rozniecić i podsycać dotąd. Godności to nie ubliży, że zniesiemy wytrwale nie jedno zdanie, nie jedną przykrość. Przezorność każe pamiętać o jutrze a doświadczenie uczy, że ona jest i dobrodziejką następnych pokoleń i dzielną podporą godności.

Litawor.



KRONIKA ARTYSTYCZNA
krajowa i obca.

I.

Salony warszawskie.

Robiąc przegląd prac znajdujących się w naszych salonach artystycznych za czas nawet dłuższy, napróżno oczekujemy spotkania czegoś tak wybitnego, tak jaskrawo ponad przeciętną miarę występującego, że sprawozdawca z prawdziwą przyjemnością bierze pióro do ręki, by podzielić się z czytelnikiem doznanem wrażeniem.

Szaro, cicho, powszednio—oto tymczasem ogólne wrażenie, jakie się wynosi z długiej wędrówki po wystawach.

Trudno też wyodrębnić i zaznaczyć jakiś kierunek ogólny, jakiś prąd wielki, wspólny wszystkim pracownikom sztuki, któryby ich niósł wartkim potokiem ku wyższym dziedzinom piękna. Prawda, że w całej Europie takiego wielkiego ogólnego prądu, zarówno w sztuce jak i w literaturze bieżącej doszukać się trudno; niemniej jednak są tam ludzie o jaśniej znaczących się tendencyach, są tam jakieś dążenia do jakichś zmian na lepsze, są tam wreszcie pewne swoiste kierunki w sztuce, związane ściślej z całokształtem zjawisk społecznych i estetycznych, zachodzących wśród danej grupy ludz-

kiéj, a będących, jak chce Taine, odbiciem ich natury i przyrody, jaka ich otacza.

Mamy tam nakoniec nader liczną falangę malarzy i rzeźbiarzy, dających prace silne, nie banalne, pełne fantazyi nieprzeciętnéj, skończone w kompozycyi i technice. Malarstwo francuskie, niemieckie i angielskie dni naszych, liczy spory zastęp malarzy, będących głębokimi myślicielami, szczerze odczuwającymi piękno artystami, których prace nie na dzień jeden się oblicza.

Są to dzieła, co przetrwają, co się do historyi sztuki zapiszą.

Spytajmyż się obecnie, co u nas się robi? Senne omdlenie, efemeryczne produkcye, robione na prędce, na sprzedaż, powódź prac bez myśli i kompozycyi, nieraz technicznie wybornych, boć talentów u nas nie brak, tylko... są już to niedouczone, czy może zbyt pospiesznie osiągnąć pragnące Vanderbiltowskie fortuny.

Przejdźmy wszystkie wystawy nasze, szperajmy po galeryach prywatnych, a zaledwie gdzie niegdzie doszukamy się obrazu o głębszéj kompozycyi, w którym artysta ujawnił się nie tylko jako mniéj lub więcej wierny kopista natury, ale jako myśliciel i twórca.

Liczebnie rzecz biorąc, przeważa u nas rodzaj pejzażowy, krajobraz sam w sobie lub z balastem nieraz najzupełniéj niepotrzebnym paru figur, mających podobno ożywić tło.

Wobec takiéj przewagi krajobrazu w sztuce dzisiejszéj, zdawałoby się, że konkurs urządzony przez Salon artystyczny na krajobraz powiedzie się znakomicie...

Tymczasem... dano nam szereg prac bardzo słabych, zaledwie przeciętnych.

Wyrok, ferowany przez głosowanie artystów (jedna nagroda) i publiczności (druga nagroda) wypadł bardzo nietrafnie, cały zaś konkurs pozostawił po sobie niemiłe wspomnienie nieudatnego przedsiewzięcia.

Pospieszam dodać, że nie wszyscy matadorzy téj gałęzi malarstwa wzięli udział w konkursie. Większość wystawiających, rekrutowała się z pośród najmłodszych sił naszych, nie rokując bynajmniéj świetnych o sztuce na przyszłość nadziei.

Przyglądając się tym dwudziestu obrazom, widz czuł się dziwnie skrępowanym, było mu duszno, czegoś mu brakowało...

Może powietrza w tych niezawsze szczęśliwie rozwieszonych obrazach, najwięcéj zdaje się jednak szczerego odczucia, prostoty i podchwyconego dobrze nastroju odtwarzanych szmatów ziemi.

Jednym z lepszych był tu, zdaniem mojém, krajobraz J. Rapackiego „Droga do miasteczka", będący pomimo tego, jedną ze słabszych prac z pomiędzy ogółu dzieł artysty.

Daje to miarę wartości prac konkursowych.

Ta droga do miasteczka w jesienny, błotny dzień, z jedną figurą pierwszoplanową stojącego na środku drogi żyda, malowana tonami surowemi, niedociągnięta, jakby zbyt pospiesznie szkicowana. Bryczka, rogatki w głębi bardzo słabo rysowane, w całości mało było prawdy i nastrojowego charakteru.

Dwie wiosny bardzo barwne: jedna E. Wrzeszcza, druga Oknińskiego z tytułem „Brzezinka" nie dawały widzowi uczucia zmartwychwstania przyrody po zimowym mroźnym śnie; były to raczéj popisy kolorystyczne, dość śmiałe, nie mające jednak w sobie przyrody. Woda p. Wrzeszcza, bardzo dobra, była jedynie popisem kolorystycznym, śmiałym i efektowném rozbarwieniem, więcéj z pamięci robionem niż szczerze odczutém. Zdawało się, że obraz ten był przemalowywany z dawnego szkicu, dobrze podpatrzonego, ale wrażenie pierwsze dawno minęło. Artysta nie czuł w sobie tych barw, tego słońca, tego rozradowania przyrody, którą chciał oddać i ratował sytuacyę uczoną mieszaniną kolorystyczną.

„Brzezinka" to studyum świeże i poprawnie malowane, w planach pierwszych, z zaniedbaniem tła dalszego i powietrzni.

Jeśli idzie o nastrój, to znalazł go do pewnego stopnia p. Popowski w „Świcie". Jego „Świt" był bardzo szczęśliwie schwycony, Gama świateł oddana nader subtelnie. Ale mocno szwankuje plan pierwszy, sitowia i woda bardzo słabo perspektywicznie wykréślona. Rybak z łódką płynący po niéj, za pierwszém uderzeniem wiosła spadłby w otchłań bezdenną, tak się linia strumienia gwałtownie łamie w połowie.

Bardzo dobrze i bezpretensyonalnie oddał to co zamierzał p. Stanisław Jarocki, którego obraz na równi z obrazem p. Rapackiego postawić należy, a może nawet oddać mu pierwszeństwo.

„Wichura" tego młodego artysty jest doskonale schwycona, oddana nader prostemi środkami, bez uciekania się do sztuczek efekciarskich.

Całość jest nieco monotonna w tonie; ma jednak dużo siły w rozmachu wichru, co gnie drzewa i pędzi ku chmurom odłamy gałęzi; dużo powietrza i obszaru wyróżnia ten obraz bardzo szczęśliwie z pośród całéj konkursowéj słabizny.

Gorzéj na tym samym pomyśle wyszła p. Offmańska. Jéj „Burza”, rwąca kłęby chmur o szczyty skał, przypomina nieco „Wiatr halny” Witkiewicza.

Tylko że Witkiewicz dał przepyszny obraz o głębokim nastroju, odczuty szczerze i prawdziwie, pani Offmańska zaś porwała się, powiedzmy odrazu, na rzecz, która stanowczo zakres jéj sił przewyższała.

Nie ma u niéj ani miękkości w skłębionych masach chmur, które wiszą sztywne, brudne, nieruchome, refleksy dolne na pierwszym planie zbyt silnie akcentowane, całość pomimo pewnej brawury w malowaniu, niedociągnięta i nieszczera.

Taka niejednolitość obrazu, może brak dokładnych studyów, przebija się silnie i u p. Br. Wiśniewskiego w jego „Burzy”, która bardzo małe o tém zjawisku daje pojęcie. Ciemne masy pozujące na chmury, są zbyt jednolite i przygładzone, dobrze zaś studyowane głazy, leżące na pierwszym planie nie mogą mieć przy oświetleniu górnéj części krajobrazu tak jasnych i pogodnych barw. Robi to wrażenie, że głazy sumiennie malowane, stanowiły zasadniczą myśl kompozycyi, do którego to tematu dorobiono późniéj niby burzliwy widnokrąg.

Noc bardzo szczęśliwie oddał p. Małachowski, w swojém studyum z lasu, podszytego u stóp drzew pięknemi paprociami. Ślizganie się księżycowego światła po pniach i oddanie głębokości perspektywicznéj przy użyciu bardzo skromnych efektów, udało się niemal zupełnie artyście. Szkoda tylko, że obraz cały jest nieco sztywny i zimny.

Karola Klopfera „Po deszczu“, pomimo uwieńczenia nagrodą konkursową, jest pracą słabą; woda perspektywicznie źle wykreślona, spada, nie leży w płaszczyźnie, ton i koloryt ubogi, jedynie pierwszoplanowe trawy i krzewy w miarę mokre.

O reszcie obrazów przemilczéć wolę, nie mając zbyt dużo miejsca na powtarzanie tych samych zarzutów: a więc braku perspektywy, niedociągnięcia w kolorycie, wad rysunkowych, nieraz bardzo znacznych.

Pośpiech w robocie, niedostudyowanie — oto wady wspólne. Zadziwia zaś doprawdy zupełne lekceważenie rysunku i perspektywy. Ta ostatnia nigdy chyba nie jest prawidłowo wykreślaną. Pozostawia się ją „na odczucie.” I byłoby to może dobre, gdyby odczuwano istotnie to co się maluje, ale u większości malarzy naszych szczerość w malowaniu jest bardzo rzadka. „Robi” się więcej niźli się tworzy. Czyżby wobec tego nie było lepiéj wykreślić sumiennie

wszystkie plany i rysować w perspektywicznéj siatce, zamiast dawać obrazy gdzie woda spada, chaty się walą (Stasiak) i t. d.

Jestto wysoka niesumienność w wykonaniu, najlepiéj świadcząca o nieprzejęciu się pracą, o rzemieślniczéj robocie polegającéj na zafarbowaniu płótna na zimno, bez żadnego uczucia, bez żadnego wewnętrznego impulsu, coby choć na chwilę rozgrzał krew artyście. I dlatego właśnie konkurs dał nader ujemne wrażenie.

Widziało się tutaj nie tylko ubóstwo środków ekspresyi, ale co gorzéj i smutniéj, ubóstwo ducha.

Malarstwo nasze, które jak i literatura nosi na sobie jeszcze jakiś patryarchalny odblask dawnych czasów, nie umiejąc wznieść się na wyżyny kompozycyi poruszającéj jakieś ogólniejsze, większe idee, grzęźnie ciągle w sielankowych szlachecko-wiejskich scenkach lub widoczkach rodzinnéj gleby — tym razem nawet w tym ulubionym swym kierunku, a raczéj w téj ulubionéj swéj manierze nic dodatniego wykazać nie mogło.

Mieliśmy najdoskonalszy obraz naszéj czczości duchowéj, pretensyonalnéj często, a jednak zawsze miernéj w treści. To téż z prawdziwą przyjemnością wchodziłem na wystawę prac Wyczółkowskiego, czując że tu od téj banalnéj, jednomiernéj, zaśniedziałéj w swém jednostronném poszukiwaniu wiecznie tych samych efektów, lichéj nie twórczości ale „produkcyi", odpocznę, odetchnę wobec dzieł talentu prawdziwego, który jak każdy istotnie twórczy duch nie znosi rutyny i formuły, lecz ciągle szuka, niespokojny wiecznie.

Zdanie powyższe charakteryzuje, o ile mi się zdaje, całą twórczość Wyczółkowskiego.

Leon Wyczółkowski jest jednym z tych nielicznych malarzy polskich, co obdarzeni prawdziwym talentem, na laurach zdobytych zasypiać nie chcą, co przed swoją własną indywidualnością, przed zaszczytami i dorobkiem, widzą przedewszystkiém sztukę, jéj tylko służą i dla niéj tylko żyją.

Cała karyera Wyczółkowskiego to ciągła gonitwa za coraz nowemi udoskonaleniami, to ciągłe poszukiwanie nowych form i wyrazów, mogących uplastycznić bogaty umysł twórcy, czułego na każdy prąd nowy, na każdy świeży zwrot, w którym przypuszcza jakąś pożyteczną i owocną dla sztuki nowość.

Wyczółkowski lubuje się w stawianiu przed samym sobą coraz to nowych trudności, coraz to nowych zagadnień, z roskoszą prawdziwego lubownika piękna rozwiązywanych, nigdy nie odpoczywa-

jąc, brzydząc się rutyną, raz ukutą formą i manierą, o któréj grzecznie się zwykle mówi, że jest *genre*'m danego artysty.

Wyczółkowski *genre*'u mieć nie chce, szkoły tworzyć nie chce, on ciągle szuka, wysila się ciągle, aby znaléźć jak najszersze i najodpowiedniejsze uzmysłowienie i oddanie tych dwóch wielkich bodźców, co go do ciągłéj pracy popychają, a któremi są przyroda i koloryt.

Wyczółkowski jako malarz tylko, formalista w swym fachu, szuka przedewszystkiém koloru. Pod tym względem dochodzi on do wirtuozostwa prawdziwego w oddawaniu subtelnych, delikatnych tonacyi, czy je będzie nam dawał w szerokich rysach, zakładając ton płaszczyznami, czy w wibrystycznych, plamkowych popisach, gdzie obraz drży cały w świetnych barwnych kontrastach, dających jednak ogólny nastrój kompozycyi.

Artysta lubujący się sam w stawianiu przed sobą prawdziwych przeszkód do zwalczenia, chce od widza więcéj niż każdy inny malarz. Myśl kompozycyi jest u niego, szczególnie w ostatniéj dobie jego twórczości, nie przeciętna, nieraz jednak trudna do zrozumienia na pierwszy rzut oka.

Rzuciwszy się do modnego kierunku impresyonistycznego, Wyczółkowski odrazu schwycił zasadniczą, podstawową ideę tego kierunku, samą formę urabiając stosownie do swego temperamentu. Stara się więc działać na widza nastrojem ogólnym obrazu, zmuszając go do subiektywnego, własnego sądu, i współdziałania duchowego z artystą.

Dając swą kompozycyę—lwią jéj część, bo odczucie i zrozumienie zostawia Wyczółkowski uwadze i indywidualności widza, przedstawiając mu tylko surowy materyał, który on sam musi sobie urobić i przyswoić. Jeszcze silniej ujawnia się to w wibrystycznych popisach artysty.

Tu téż najwięcéj jest Wyczółkowski jednolitym. Technik-malarz idzie tu w zupełności ręka w rękę z artystą psychologiem.

Kocha on naturę i jéj jest malarzem, lubi niezmiernie dawać ją w swych obrazach, w drobnych nawet szmatach ziemi i nieba, odtwarzając ją napozór z drobiazgową, fotograficzną ścisłością, starając zda się uchwycić tylko ton, koloryt, wybierając go umyślnie niezwykłym, trudnym do wykonania, aby zwyciężywszy trudności, dać świetny popis techniki malarskiéj.

Ale po za tą formalistyką pozorną leży coś jeszcze. Wyczółkowski szuka przedewszystkiém nastroju. Jego martwe natury jego krajobrazy po za popisem kolorystycznym, nieraz dziwnie wy-

branym, dają nam pewne nastroje, mimowoli zmuszają do odczuwania tego co drgało w duszy artysty w chwili tworzenia, a że tematy są dziwne, dziwić się nie należy, boć oryginalną jest i dusza twórcy. I tu zresztą jest Wyczółkowski zgodny z wymaganiem, a raczéj z prądem chwili.

Wyszukiwanie nastrojów, to jeśli nie modny chwilowo, w każdym razie znamiennie dzisiejszy kierunek. Zdaje się, że umysłowość ludzka, zawsze cyklami rozwijająca swą działalność, idzie długo w pewnym kierunku po to, aby wrócić do czegoś, co już było w nieco odmiennéj formie, ale co jednak dawniéj już znano; ludzkość doby teraźniejszej po mistycyzmie wieków średnich, po kulcie ciała w dobie Renesansu, po realizmie sztuki wczorajszéj, powraca powoli do epoki bardzo dawnéj...

W tych odległych momentach przeddziejowych, gdy się formowały i kształtowały kulty i religie, przyroda, z którą się człowiek ciągle i bezpośrednio stykał, wielki, nadmiernie wielki miała nań wpływ.

Każdy nastrój przyrody, każde jéj drgnienie człowiek odczuwał natychmiast, odbierał bezpośrednio i dawał mu w swojéj duszy jakąś określoną formę, jakiś określony wyraz...

To była epoka powstawania bogów...

Burza, pogoda, niebo chmurami czarnemi zasłane i lazur spokojny, wichry i ciepły wietrzyk, fale cicho drzemiące jezior i zbałwaniona toń morska, każdy taki żywiołowy przejaw, każdy taki wielki przyrody objaw, odmiennym nastrojem napełniał dziewicze dusze pierwotnych ludzi, coraz to inne budząc w nich myśli i uczucia, coraz to nowsze odkrywając przed nimi horyzonty.

Te zbyt silnie działające nastroje przyrody, co potężnie wstrząsały duszę pierwszych ludzi, tak im się wydawały wielkiemi, że z nich poczynili sobie bogów.

Nastroje groźne były bogami wielkich groźnych zjawisk; nastroje miłe, łagodne, roskoszne dały niebu jego młodych, pięknych bogów i bożków miłości, wesela, radości...

Przyroda miejsca na rodzaj tych bogów silnie wpływała.

Bogowie ponuréj Skandynawii, pod czarném, groźném niebem północy wyrośli, wśród poszarpanych, dzikich skał powstali, są mroczni i ponurzy.

Ich walki, ich dzieje, to wielkie żywiołowe zapasy. Zaledwie mają czas kochać się, co pół istnienia zabiera wesołym jasnym bogom Grecyi...

Do pierwotnego niemal odczuwania tych nastrojów, do poddawania się przyrodzie, powraca ludzkość dzisiejsza.

Tylko że dzisiaj, jak wielki lubownik, człowiek wyszukuje w przyrodzie nastrój duchowi swemu odpowiedni.

Literatura dzisiejsza, malarstwo, cała sztuka wreszcie, stara się nawiązać nić bezpośredniéj łączności z przyrodą, wykazując jéj działanie na człowieka w każdém stadyum jego życia, malując jéj dziwny, odległy na pozór a tak bliski wpływ, tajemniczy, wielki, groźny, żywiołowy.

To wykazywanie wpływu przyrody, dzisiaj nieco fałszywie, okultystycznie branego, stanowi zdaje się, treść i istotę całego symbolizmu, całéj dzisiejszéj literatury najnowszéj.

Maeterlinck, Hauptmann, Ibsen, cała plejada mniéj lub więcéj znanych poetów, dramaturgów, wszyscy nowsi malarze wszystkich krajów, cały ruch umysłowy dzisiejszy ilustruje pogląd powyższy.

Czuły na każdy ruch nowy, chłonąc w siebie wszystko, co może dać coś jeszcze nieznanego, Wyczółkowski, przejął się i tym objawem ruchu umysłowego Europy. Widzimy go naprzód mrocznym w swych pierwszych pracach historycznych, w których stara się dać nam nastrój poważny zamierzchłéj przeszłości.

Tu będą „Maryna Mniszchówna“, „Św. Kazimierz uśpiony na modlitwie.”

Potém przerzuca się Wyczółkowski do mistyczno-fantastycznych kreacyi o wyraźnym nastroju ekstatycznym. Z téj seryi obrazów wymienić należy „Chrystusa w grobie.“

Tu nagle następuje zwrot dziwny w twórczości Wyczółkowskiego, od religijno-ponurych, mistycznych tematów, przechodzi do salonów, daje eleganckie buduarki, maluje swe „Zwierzenia“, aby z kolei przejść na łono przyrody, dając cały cykl „Rybaków“, „Wesołych pacholąt“ i motywów ukraińskich.

Teraz znowu daje on nam czyste nastroje jasnéj, czystéj pogody, słońce co raz jaskrawo opromienia rybaka nad wodą pochylonego, to znowu świeci nad zgiętymi przy pracy chłopami, to znowu oświetla wesołe igrzyska dworskich paziów w efektownych kostyumach z XVI wieku.

I potém rzuca tą zieleń, to kipiące jasnością i weselem życie i wraca do przyrody ciemnéj, groźnéj; tym razem daje on nam prawdziwe nastroje przyrody — bo maluje przyrodę martwą, kamienie spiętrzone w dziwacznego „Druida skamieniałego” a nakoniec krzyże średniowieczne z poczerniałemi przez czas Chrystusami...

Tu temat i oddanie służą mu do podwójnego celu: raz do wydobycia ulubionych efektów kolorystycznych, które umyślnie jeży sobie trudnościami, powtóre do dania uczucia grozy i smutnego, pełnego melancholii dziwnéj nastroju, w tych obrazach, co nic nie mówią na pozór, a mimowoli dużo odczuwać każą.

I tu staje się przed pytaniem, co się mimowoli pod pióro nastręcza: co przeważa w indywidualności Wyczółowskiego, malarz-technik, świetny kolorysta, czy myśliciel starający się oddać głównie nastrój. Patrząc na obecnie wystawiony obraz „Sarkofagi" przychodzimy do wniosku, że w twórczości Wyczółkowskiego malarz-kolorysta przeważa nad myślicielem, bez wiedzy niemal autora.

Czuje się, że artyście chodziło o nastrój poważny, grobowy, czuje się myśl, która wyborem tematu kierowała, ale widzi się jednak, że strona techniczna, świetność kolorytu tak porwała artystę, że nastrój który miał oddać i który go do namalowania obrazu pobudził, przy pracy osłabł i popis kolorystyczny górę wziął.

Ta piwnica, lochy kościelne, w których leżą dwie królewskie gotyckie figury, pyłem i pajęczyną pokryte, dało artyście pole do wykazania bogactwa swego kolorytu.

Jemu też poświęcił nastrój, dla niego natłoczył szereg figur polichromią pokrytych, po których przepysznie ślizga się światło.

Ale te figury są niekonsekwentne w obrazie. Robią one wrażenie istot żywych, ciekawie wpatrzonych w wieczny sen królewskiéj pary, odwracają uwagę widza i rozrywają wrażenie.

Całość daje uczucie zimna, chłodu piwnicznego, ale nie daje tego, czego by się tu oczekiwało; stoi się przed świetnie wymodelowanemi, wspaniale plastycznemi i sztywnemi figurami grobowca, pokrytego kurzem i pajęczyną, ale brak uczucia co by myśl w zamierzchłą przeszłość zwrócilo, ku dawno minionym dniom przeszłości; nic nie każe szepnąć *sic transit gloria mundi*, nic nam nie mówi o znikomości rzeczy ludzkich. Zapomnienie, pustka, opuszczenie przez krótko pamiętającą ludzkość, cały tragizm zejścia z widowni nawet tych co wczoraj błyszczeli, nie bije z tego obrazu.

Zimno tu jak w lochu, martwo. Popis kolorystyczny zabił nastrój. Przed takim obrazem nawet Hamlet nie mógłby marzyć o znikomości rzeczy ludzkich. Jeśli w „Sarkofagach" artysta zwycięsko wyszedłszy jako kolorysta, nie zwyciężył duchem odczucia, to za to w wielkim „Chrystusie na krzyżu" złączyć potrafił i jedno i drugie.

Ten stary krzyż wawelski, czarną krepą przysłonięty na srebrnéj blasze wyciskanéj umieszczony, ma w sobie tyle bólu, tyle

cierpienia, taki okrutny nieokréślony wieje odeń tragizm, że przed nim głosy milkną i widz staje niemy, patrząc w zachwycie.

A popis techniczny jest tu niezrównany. Tonacya blachy jest poprostu przepyszna. Może zamało wydobył Wyczółkowski samą postać, tak że nieco wsiąka wgłąb obrazu.

Wiele bólu, świetna jako studyum martwéj natury jest „Głowa Chrystusa“ z kawałkiem ramion krzyża, niezmiernie dużo charakteru ma archaiczna, stara rzeźba Chrystusa, w szkarłatnéj kapie.

Naiwna ta drewniana figura została przez Wyczółkowskiego wystudyowana znakomicie, dając mu pole do kolorystyki przepysznéj w fałdach i składkach płaszcza, oraz w martwéj tonacyi saméj głowy.

Te trzy prace, oraz „Sarkofagi”, pokazują nam tu zwrot ku nastrojom martwéj natury, głównie studyowanéj przez artystę.

Podobnym, jako nastrój, jest szkic opuszczonéj chatki w lesie pełnéj smutku, świetnie malowanéj na tle leśnego gąszczu tajemniczego i głębokiego. Gamą jasnych tonów, symfonią barw rozsłonecznionych, biją studya w *plain-air*'ze.

Tu widzimy całą subtelność kolorytu Wyczółkowskiego, który jeden i ten sam temat setki razy obrabia, drobne jeno czyniąc w nim zmiany, studyując efekt świetlny w przeróżnych grach koloru, przejrzystości powietrza, w sile jego tonu, zależnego od drobnych zmian pory dnia lub miejsca obserwacyi.

Rybacy, pacholęta, przeistaczały się w coraz nowe studya, coraz inaczéj grupowane i oświetlane, po to tylko, aby dać artyście możność wydobycia coraz to innych efektów świetlnych.

Mamy więc i tu „Rybaka” siedzącego nad wodą, oświetlonego przepysznemi barwami zachodzącego słońca. W tym obrazie wirtuozyę kolorytu doprowadził Wyczółkowski do istotnego mistrzowstwa.

Ruch pyszny i koloryt świetnie jasny, charakteryzuje postać kobiécą „Przy krokiecie“, gra barwami obraz, przedstawiający chłopa siedzącego w polu zasianém burakami.

Z pomiędzy kilku studyów portretowych, wyróżnia się przedewszystkiém pełen siły, energii i prawdy, portret własny autora. Jest tu niezmiernie dużo brawury przy minimalnych środkach technicznych.

Cała wystawa Leona Wyczółkowskiego, to najlepsza lekcya dla większości malarzy naszych, którzy zaniedbują i koloryt i rysunek i kompozycyę, skoro tylko do jakiegokolwiek dojdą uznania.

Wyczółkowski najlepiéj dowodzi, że tylko ciągłą pracą, życiem w ciągłéj gorączce, naprężeniem nieustanném myśli, ku horyzontom, skąd ma nowa zajaśnieć dla sztuki zorza, malarz-artysta prawdziwie kochający piękno i artyzm czysty, nowe zdobywać może dla siebie skarby.

Wyczółkowski to talent potężny i prawdziwy, tém większy, że bezustannie nad sobą pracuje, wciąż się rozwija i ciągle idzie naprzód, szukając nowych kierunków, coby na najwłaściwsze tory sztukę popchnęły...

Od dzieł artysty, który przedewszystkiém szukaniem dróg nowych odznaczy się w historyi naszéj sztuki, obowiązek kronikarski każe mi przejść do pracy malarza wszechświatowéj niemal sławy, który swą karyerę zaznaczył właśnie nieruchomym akademickim konserwatyzmem.

José Garnello, profesor szkoły sztuk pięknych w Barcelonie, jest jednym z tych malarzy co do sławy dochodzą po wystawieniu jednego dzieła.

Znany i u nas „Przerwany pojedynek“, zrobił malarzowi hiszpańskiemu rozgłos europejski.

Stając przed dzisiaj wystawioną u nas pracą Garnelli, przedstawiającą „Kolumba“, widz, prócz dokładności rysunku, nic tam więcéj nie znajdzie.

Duży ten obraz przedstawia chwilę, kiedy w jasny, pogodny dzień Kolumb, w otoczeniu starszyzny i służby okrętowéj, wychodzi na brzeg przyjmować dary od grupy tuziemców. Postać Kolumba, ugrupowanie innych figur, koloryt wreszcie są tak banalne, tak dekoracyjne, tak wreszcie cały ten obraz ze swym monotonnym spokojem i harmonią w liniach nuży i nudzi, że, odwróciwszy się odeń, widz szuka mimowoli odpoczynku w innych obrazach.

Dzieło Garnella — to dekoracyjny fragment poprawnie, chociaż oschle malowany, dobrze rysowany, nieprawdopodobny historycznie i psychologicznie.

Inaczéj zupełnie przedstawia się chwilowo tylko wystawiony i zaraz daléj wysłany obraz monachijskiego malarza, ukrywającego się pod pseudonimem Arnolda, zatytułowany „Obezwładnienie czarownicy”.

W ciemnéj sali, pająkiem starożytnym od góry doskonale oświetlonéj, widzimy wśród grupy żydów postać młodéj kobiety,

rozciągniętéj na stole, którą jeden z obecnych tnie uroczyście, wypuszczając z niéj krew do trzymanéj pod nią miednicy.

Ciemny ten fragment ponurych zabobonów średniowiecznych, dał artyście pole do namalowania szeregu pysznie modelowanych figur w charakterystycznych kostyumach. Oświetlenie doskonale rozdziela jasne refleksy na twarzach i torsach zgromadzonych,ześrodkowując się na ciele ofiary, najsłabiéj może malowanéj.

Jest jednak w niéj dużo prawdy i subtelności w ruchu, malującym rozpacz gnębionéj, nie mogącéj wyrwać się wśród okrutnych męczarni z rąk przeważającéj liczby dręczycieli.

Kilka profili i typów świetnie schwyconych, malowanie szerokie, płynne, pewne, robią z tego obrazu pracę wysokiéj wartości artystycznéj.

Temat, który wydaje się gonić za sensacyjnością, mniéj może szczęśliwie wybrany.

Gonitwa nietylko za sensacyjnością, ale wprost za reklamą charakteryzuje, niestety, dzieło, o którém teraz mówić mi wypada.

W pięknym budynku, przypominającym gmachy z pierwszéj doby renesansu, ozdobionym bardzo dobremi rzeźbami i płaskorzeźbami dłuta utalentowanego rzeźbiarza p. Leopolda Wasilkowskiego, mieści się obraz J. Styki „Golgota“.

Budynek, postawiony przez panów Paderewskiego i Roszkowskiego, został zbudowany według planu jednego ze zdolniejszych budowniczych warszawskich, p. Karola Kozłowskiego.

Obraz półkolisty, przedstawiający „Golgotę“, był wykonany, o ile mi wiadomo, w sposób następujący: pomysł i kompozycyę dał J. Styka, jego dziełem jest też część figurowa. Krajobraz malowali pp. Popiel i Rozwadowski.

Przyjrzyjmy się obrazowi.

Niebo ciemne, chmurne, ponure, rzuca cienie na cały krajobraz. Na lewo pustynne, dzikie skały i piachy ciągną się w dal; na prawo zaś widnieją mury Jerozolimy, z wystrzelającemi do góry wieżami i dachami znaczniejszych budynków. Więc wznosi swe szczerbate tarasy twierdza Antoniusza, widnieje szczyt świątyni Heroda, daléj pałac Machabeuszów. Zamyka obraz z prawéj strony wspaniały pałac Heroda, u stóp którego szkli się sadzawka Amygdalon.

Ciemne, groźne niebo, rozświeca jednak w środku obrazu pęk trzech jasnych promieni. Padają one na białą, wysoką postać, wokoło któréj skupia się akcya obrazu.

To Chrystus...

Stoi on na wzgórzu z podniesioną głową, spokojny i obojętny, nie widząc krzyża, który przed nim przygotowują, nie widząc stojącéj daléj grupy N. Maryi Panny, Maryi Kleofasowéj, Świętego Jana, Marty i Magdaleny.

Nie widzi on i napuszonéj grupy Sanhedrynu, który w lewo od niego roztacza bogate swe wschodnie stroje.

Kompozycya obrazu jest bardzo symetryczna. Lewa część naga i pustynna, z figurką pielgrzyma i gospodą dla pielgrzymów, prawa — mury miasta i targ obok sadzawki Amygdalon. Środek obrazu przedstawia trójkąt, którego jeden bok, zajmujący pół obrazu, wolny dla widza. Prawy kąt dolny trójkąta zajęła grupa wiernych, podobno wstrzymywana przez wojsko. Daléj, ramię trójkąta z prawéj strony ogarnia grupę świętych niewiast i Longina na koniu; z lewéj strony od dołu widzimy grupę Sanhedrynu, punktem zaś zbieżnym kompozycyi, jest postać Chrystusa...

Tak się mniéj więcéj przedstawia widzowi obraz.

Spytajmy się teraz, jakim on jest?

Są temata, których sama nazwa tyle mówi, które w jedném słowie tyle mieszczą treści, tak nieraz zespolonéj z najgłębszemi istoty naszéj tajnikami, że cokolwiekby ręka lub umysł ludzki z tematów tych starał się zrobić zawsze, wydadzą się one dla nas zamałe, zawsze nie dorosną do ideału, którą w sobie nosimy.

Z pomiędzy wszystkich momentów historyi ludzkości, najtragiczniejszy, największy może jest krwawy dramat Golgoty.

Postać Chrystusa, reformatora i odnowiciela ludzkości, który słowem tylko, a nie mieczem i orężem potrafił zmienić postać świata, jest tak wielką, tak olbrzymią, że doprawdy, stojąc przed każdym jego wizerunkiem, mimowoli mówi się: „to nie to".

Dał tego najlepszy dowód niedawno odbyty w Berlinie konkurs na temat „Chrystus".

Nadesłano sporo obrazów, pojęto zadanie rozmaicie i były prace naturalistyczne, akademickie, impresyonistyczne, prerafaeliczne—ale nie było ani dobrego studyum, ani postaci Chrystusa.

Tyle wogóle. Stojąc przed „Golgotą" p. Styki, zapytałem się w duchu, czy artysta odpowiedział zamierzonemu celowi, czy dał nam nietylko mniéj lub więcéj wierny krajobraz Jerozolimy i wzgórza, na którém się ta wielka tragedya odegrała, ale czy potrafił oddać ducha, nastrój chwili, czy potrafił wlać w dzieło swe ową grozę i olbrzymią dramatyczność tego niepowtórzonego w dziejach momentu?

I odpowiadam: nie!

Na dwie strony należy zwrócić uwagę w „Golgocie", jeśli się na to dzieło zapatrywać tylko z artystycznego punktu widzenia (o innym pomówię później): strona czysto techniczna i historyczna oraz nastrojowa, oddanie ducha momentu. Przyjrzyjmy się przedewszystkiém kompozycyi.

Chwilę, którą p. Styka przedstawił, jest wbijanie krzyża w przygotowany nań dół, z obu stron którego już tkwią w ziemi dwa krzyże dla Dyzmy i Gezmy, dwóch łotrów, mających zawisnąć po obu stronach Chrystusa.

Dało to autorowi pole do unieruchomienia niejakiego grup, zatrzymanych w oczekiwaniu.

To oczekiwanie, ta pełna grozy chwila, stanowi treść ideową obrazu.

Ale napróżno tego oczekiwania, tego niepokoju szukalibyśmy w dziele Styki.

Tu wszystko stoi równo, swobodnie. Widzowie téj wielkiéj sceny—to doskonale wyćwiczeni statyści, zgrupowani w piątym akcie opery przed ostatniém *cis* tenora-bohatéra, co stoi spokojnie, bo wié, że ten krzyż—to wojsko, ten lud, ta śmierć, co go czeka — to udanie, że zaraz kurtyna spadnie i przedstawienie się skończy.

Wprawdzie jest tam grupa wiernych, których wstrzymuje żołdak, ale robi to obojętnie, powoli, zagradza im drogę ot, tak, ażeby coś robić, a bo téż i oni właściwie wcale się nie pchają.

Na dole targ wre w najlepsze; grupa Sanhedrynu obrabia sobie spokojnie jakieś poufne interesy, niektórzy odwrócili się tyłem do bohatéra chwili i zupełnie swobodnie gawędzą na boku.

Święte niewiasty idą powoli, ale w ich postaciach nie ma ani bólu, ani rozpaczy; ot, wyszły na spacer, a że grunt skalisty stąpają ostrożnie.

Nakoniec, sam Chrystus stoi zadumany, patrząc się w górę, obojętny i zimny.

I takim jest téż cały nastrój obrazu.

Ustawienie grup, kompozycya ich ruchów, wyrazy twarzy, nakoniec rozmieszczenie grup, niczém nie wskazuje wielkości chwili.

I rozmieszczenie to nietylko jest sztywne, konwencyonalne, ale, co więcéj, fałszywe z punktu widzenia historycznego.

Skazanie Chrystusa — to nie był wypadek pospolity, to było zdarzenie pierwszorzędnéj wagi politycznéj. Człowiek, co uzdrawiał setki, co za sobą prowadził lud cały, człowiek, co lud ten miłował i bronił od napaści możnych, co mu tłómaczył, że tam w króle-

stwie jego na równi, a może wyżéj od bogaczy siedziéć będzie, taki człowiek nie był ludowi obojętny.

Setki zakryły wzgórze Golgoty w dniu tracenia jego. A tego tłumu nie dał nam Styka.

Tłum ten wrzał nienawiścią, tłum ten chciał odbić mistrza, ruszał się, żył, a tu stoi ładnie zgrupowany w efektownych, malarskich czysto pozach, bez życia, czczy, znudzony i apatyczny.

Nakoniec, sam Chrystus. Pamiętajmy, czém była droga na Golgotę; oplwany, zwalany błotem, kilkakrotnie upadając pod ciężarem krzyża, z czołem ociekającém krwią, w porwanéj szacie, stąpał męczennik powoli na straszne miejsce kaźni...

A tu stoi On przed nami czysty, biały, aktor świéżo przebrany, który przeszedł przed chwilą z za kulis na scenę. Nic w figurze Chrystusa nie ma prawdziwego, nie ma fizycznego wyczerpania, nie ma moralnych walk, nie ma natchnienia, ani poezyi. Przyjrzawszy się bliżéj głowie téj postaci, widzimy tylko fantazyjną maskę, z oczyma wzniesionemi do góry, zadumanemi może, z ustami dziwnie złożonemi, nie do modlitwy, ale do cmoknięcia!

Jeszcze jeden szczegół: kostyumy. Nie są one wierne. W owych czasach kapłani żydowscy i lud nie nosili dzisiaj używanych wschodnich strojów. Znać tu odrazu, że szkiców dzisiejszych, nie starano się przerobić w duchu odtwarzanéj epoki.

Przejdźmy teraz do szczegółów roboty technicznéj.

Stanowczo najlepszą częścią całéj panoramy „Golgoty“ jest krajobraz... a ten dziełem pędzla pp. Popiela i Stanisławskiego.

Najlepszą zaś jego częścią jest strona lewa, oraz dalsze plany nieba. Słabe bardzo, twarde i ciężkie są trzy promienie nad głową Chrystusa.

Teren, mury, są malowane bardzo dobrze.

Niebo nie ma może kolorytu wschodniego, nie ma tego téż i krajobraz, ale jeśli gdzie, to t y l k o t u czuje się grozę, przygnębienie i jakiś dziwny niepokój. Przyroda mówi tu lepiéj, niźli masa figur. Krajobraz traktowany szeroko, efektownie, dobrze odczuty i szczerze wykonany.

Natomiast mocno szwankuje perspektywa. Po lewéj stronie obrazu, na tarasie domku znajdują się dwa olbrzymy niesłychanéj długości; wiemy dobrze, że na Wschodzie wejścia są zwykle niskie, ale ci panowie żadną miarą nie zdołaliby się przecisnąć przez malutkie drzwi; są oni przytém śmiesznie nieproporcyonalni w stosunku do figur Sanhedrynu, wziąwszy pod uwagę oddalenie

Grupa świętych niewiast, ś. Jan, są większi od pretora i liktora, stojącego pod krzyżem, pomimo że są o wiele dalej od nich. Na tarasie prawym starzec i niewiasta, będąca przy nim, są za wielcy w stosunku do figury, siedzącej obok nich na murze.

Przejdźmy teraz do ogólnego wrażenia, jakie się odbiera z „Golgoty“.

Stając przed tym obrazem, widz napróżno czeka jakiegoś silniejszego uczucia. Zajmie go to ten, to inny szczegół, takie naprzykład dwa osiołki w dziedzińczyku gospody pielgrzymów najlepiej może z całego obrazu wykonane, jak żywe, tu znowu jakaś pojedyńcza figura, to szczegół fałszywego terenu... Ale ani dusza jego, ani oko nie pójdzie odrazu do głównej postaci; zobaczywszy ją, nie przejmie nas dreszcz dziwny, nie doznamy uczucia grozy i trwogi. W obrazie tym dramatu nie ma, a dramat miał być treścią! Stojemy przed szmatem dekoracyi, doskonałej w krajobrazie, słabej bardzo w części figurowej.

Istotnie, krajobraz groźny i pełen potęgi żywiołowej odchodzi bardzo wgłąb, ucieka gdzieś daleko, a tu na planach bliższych do fałd terenu pierwszych i drugich planów poprzyklejano wycięte z papiéru płaskie figurynki.

Streszczając com wyżej nadmienił, powiedzieć można, że „Golgota“ przeszła siły twórcy, że zamiar był zawielki, twórczość wykonawcza za mała.

A jednak zrobiono temu obrazowi reklamę niesłychaną!

Pismo ilustrowane, mające pretensyę do prawdziwego artyzmu, poświęciło Styce cały numer.

Dowiedzieliśmy się tam, jak Styka natchnione wiersze pisze, jak po błogosławieństwo jeździ przed rozpoczęciem swej pracy, jak...

Jednem słowem, powiedziano nam: oto stoicie przed obrazem, owocem natchnienia wyższego, mistrza, co tak mówi o swym pędzlu:

„Kiedy ze wzrokiem, zatopionym w niebie
Chwytam za ciebie,
Wtenczas w modlitwę świętą ciebie zmienia
Chwila natchnienia (?),“

człowieka, co stworzył arcydzieło nietylko malarskiej, ale i religijnej doniosłości.

Ten niby etyczny wpływ „Golgoty“ miał być głównym bodźcem do zuchwałej reklamy, w której heroldami sławę Styki i jego dzieła trąbiącemi, byli znani i cenieni literaci nasi!

Co ich obałamuciło, nie wiem!

Stanowi to jednak smutny przyczynek do dziejów naszego artystycznego rozwoju, w których bezkrytyczność i obałamucanie ogółu gra pierwszorzędną rolę.

Dlatego słuszną mieć można pretensyę do wszystkich głosicieli sławy Styki, którzy wywyższając jego zupełnie mierną pracę, dawali publiczności fałszywe sądy, pacząc i tak mało wyrobiony u nas smak estetyczny.

Należałoby raz zaprzestać bawienia się w reklamę i protekcyonizm sztuki i zacząć dawać ogółowi trzeźwe i prawdziwe sądy, wolne od wszelkich prywat i koteryjnych przyjaźni, a któreby raz zdyskredytowały coraz więcéj rozpiérającą się lichotę i wypleniając ją, dały miejsce pracom prawdziwie artystycznym.

Reklama, urządzona Styce, była wprost wstrętna i niegodna artysty.

Sztuka powinna mówić sama za siebie. Zachwytu tłumów nie zdobędzie się szumną pochwałą przez przyjaciół pisaną. Są dzieła, które same zniewalają do tego, aby módz przed niemi zgiąć kolano; tylko takie reklam zwykle nie szukają!...

Nie miały téj reklamy Tatry, a jednak stokroć wyżéj pod względem artystycznym stoją od Golgoty.

Obraz ten, którego pomysł wyszedł od d-ra Henryka Lgockiego, został rozpoczęty przez znanego artystę bawarskiego Bollera, łącznie z krakowskim artystą, p. Antonim Piotrowskim. W lecie 1894 roku Boller, Piotrowski oraz Janowski z Krakowa, przygotowali szereg szkiców, z których w czasie zimy 1895 roku wykonany został ogólny plan kompozycyi. Do składu wykonawców weszli teraz panowie Radziejowski i Żelechowski, oraz Wanke i Kotowicz, a do części figurowéj Axentowicz.

Przeniósłszy się do Monachium, cała drużyna artystyczna zabrała się do pracy, przy któréj poniósł śmierć nieodżałowany Boller, spadłszy z rusztowania.

Przewieziony do Warszawy obraz, został rozmieszczony przez p. Janowskiego w specyalnie dlań postawionym budynku. Pod kierunkiem tego artysty, oraz p. Rajzachera, wykonano fałszywy teren, o którym powiedzieć można, że jest wyborny, ma zaś tę tylko wadę, że nie został doprowadzony pod same nogi widza.

Wówczas miałoby się zupełne złudzenie znajdowania się na jakimś skalnym tarasie, okolonym dla bezpieczeństwa baryerą żelazną.

Trudno podawać topograficzny wykaz wszystkich szczytów skalnych i dolin, jakie nam przedstawili artyści. Powiemy tylko, że Tatry są dziełem wysokiéj artystycznéj wartości, tak pod względem wykonania, jak i doskonałego i wiernego odtworzenia natury.

Złudzenie chwilami jest zupełne. Oświetlenia, zagłębienia skalne, szczyty groźne i zębate, śniég na skałach leżący są przewybornie wykonane. Za to szwankuje nieco część figurowa.

W ogólności jednak już nie jako panorama, ale jako krajobraz stanowią Tatry bogaty i trwały dla sztuki naszéj nabytek.

Kończąc niniejszą kronikę, muszę słówko powiedzieć jeszcze o ostatnim konkursie malarskim, ogłoszonym przez Towarzystwo zachęty sztuk pięknych.

Konkurs ten przyniósł niewiele...

Właściwie przyniósł nowinę smutną, że coraz mniéj u nas ludzi zdolnych i twórczych.

Nad malarstwem naszém wieje jakiś zły powiew; jest wyjałowienie myśli w doborze i treści tematów, jest zubożenie w środkach ekspresyi.

Stawiają przed nami trzydzieści obrazów i komisya sądząca nie daje nikomu pierwszéj nagrody. Czy fakt ten jest wykładnikiem wartości prac konkursowych? I tak i nie.

Nie, gdyż nader często, szczególnie u nas, pierwszą nagrodą zostaje obdarzona praca żadną miarą do odznaczenia nie kwalifikująca się (jak to miało miejsce na konkursie krajobrazów). Tak, ze względu na to, że w tym wypadku gremium sądzące miało słuszne powody do nieprzyznania nagrody pierwszéj.

Drugą nagrodę otrzymał p. Tetmajer za tryptyk „Kolęda". Środkową część zajmuje gromada chłopaków, śpiewających kolędę, znajdującéj się wśród nich promiennéj postaci Matki Boskiéj z Dzieciątkiem na ręku.

Figury, kompozycya cała szczera i prosta, bardzo nasza, swojska, bezpretensyonalna.

Matka Boska, to chłopka w typie i kostyumie, taka, jaka żyje i istnieje w pojęciu ludu naszego. Ta część obrazu jest najlepsza, głęboko odczuta, szczera i doskonale malowana.

Słabszą już jest lewa część tryptyku, przedstawiająca grupę chłopów obchodzących domy z kolędą. Brudne to nieco w kolorze i zaniedbane pod względem rysunkowym.

Zupełnie zaś jest słabą prawa strona, mająca wyobrazić wigilię w wiejskiéj chacie, źle oświetlona, pobieżnie rysowana i zupełnie nieudolna pod względem kompozycyi.

Całość niedociągnięta, nierówna, myślowo prawie niezwiązana; dobrze byłoby, sądzę, rozbić obraz na trzy odrębne części, z których najlepszą zawsze będzie środkowa, dwie zaś boczne przerobićby i dopełnić należało.

Krajobrazy mniej lub więcej udolne dała większość stających do konkursu.

„Pustkowie“ p. Stankiewicz dobrze odczute i pełne nastroju. Niebo dobre, pochmurne i deszczowe bardzo prawdziwe; pnie, droga, opuszczona, biedka na drodze jednak to przeszarżowane w tonie.

Za to „Zachód słońca“ téjże autorki, to chaotyczna fantazya, nie mająca ani odrobiny prawdy, krzycząca i brutalna w kolorze.

„Zagajnik“ p. Bozdziecha ma zapewne bardzo dużo wad. Śnieg za twardy w tonie, bruzdy na śniegu nienaturalne, ale jest tam dużo szczerości i odczucia. Dalsze plany, kawał nieba, zagłębienia mroczne i zimne pomiędzy sosenkami, co się czernią na białéj płachcie śniegu mają w sobie dużo bardzo prawdy, a co ważniejsze nastroju, który zastanawia, przykuwa na chwilę i zmusza do baczniejszego przyjrzenia się temu obrazowi.

Znać tu kogoś, co pomimo wielu niedociągnień i „niedouczeń“ maluje śmiało, z polotem, bo czuje.

Nie śmiem przesądzać, co będzie z p. Bozdziecha, ale zdaje się, że gdy odpowiednie studya utrwalą wrodzone poczucia malarskie, przybędzie nam w nim bardzo zdolny i szczerze odczuwający przyrodę artysta.

Stasiaka „W zamczysku“ kompozycyą swą przypomina nieco „Króla złota“ tegoż autora. Jest to niezrozumiała fantazya, słaba w rysunku, pomyśle i wykonaniu.

„Tatry o zachodzie“ Rapackiego są stanowczo jedną z najlepszych prac konkursowych. Bardzo dobry w kolorze, efektowny, a mimo to szczery obraz ten korzystnie odbija od nagromadzonéj w sali lichoty.

Różowe szczyty gór na dalszym planie są najlepszą częścią tego obrazu, w którym natomiast pierwsze plany są zbyt plamami traktowane i skały tam wyobrażone nie mają odpowiedniéj bryłowatości.

Ciekawą bardzo jest praca p. Alchimowicza. Przedstawia on nam temat pseudo-historyczny, zamurowywania westalki, co czyniono z temi ochronicielkami ognia świętego za popełnienie wielkiego przestępstwa. Widzimy więc damę przeciągającą się w teatralnym ruchu, obok której w lochu stoi wygodne rzymskie posła-

nie, górę zaś obrazu zajmują twarze oprawców, właśnie mających zamykać otwór.

Nieprawdopodobny to w scenery i całej obraz, rysowany słabo, w gruncie rzeczy nie przedstawia nic.

Westalka zamurowywana musiałaby mieć jakiś wyraz rozpaczy, bólu, czy rezygnacyi. Wszakże to kaźń, kara okrutna!

A dama p. Alchimowicza przeciąga się wdzięcznie jak kotka i nic, żaden muskuł nie drga na jéj twarzy!

Takiéj twardości, szorstskości w kolorze, takich płatów barw, jakby zeskorupiałych, sztywnych, martwych dawno nie widziałem.

Cóż dopiéro mówić o obrazie p. Piątkowskiego z damą rozsadzającą ramy, o twarzy już nietylko bez wyrazu, ale bez koloru, kości, mięśni. Planów, w tym niby widoku placu teatralnego, nie ma wcale, perspektywa, powietrzna to rzecz zupełnie zbyteczna.

Odetchnąłem po tym obrazie przy utworze p. Niewiadomskiego „Pejzażu", dobrym bardzo w części dolnéj, gorszym nieco w części górnéj, studyowanym jednak sumiennie. Za to w portrecie damy tenże artysta nie podołał materyalnemu obszarowi zadania, rysując dobrze, ale rozlewając i tak potężną postać w jakąś białą plamę.

Pomijam inne, bardzo słabe obrazy, wspomnieć zaś jeszcze muszę o szczerze i z prostotą malowanym obrazku p. Masłowskiego, może nie jednym z najlepszych prac tego utalentowanego artysty, zawsze jednak bardzo miłym.

W ogólności konkurs robi, jak już powiedziałem, wrażenie ujemne.

Z tém uczuciem smutku kończę przegląd niniejszy. Coraz rzadziéj krytyk może znaléść pracę istotnego talentu. Większość, to mierna przeciętność, bezbarwne i bezmyślne produkcye, lichota na sprzedaż robiona.

Z tych prac historya sztuki naszéj nic nie zapisze. A z nią podobno liczyć się należy, panowie artyści!

K. Daniłowicz - Strzelbicki.

II.

Salon paryski Niezależnych artystów.

Z początkiem każdéj wiosny (od 1884 roku) podwoje swe uchyla trzeci paryski przybytek sztuki, powyższe niosący miano. Wystawa ta gromadzi płody, czasami twory... artystów, których w stosunku do salonów oficyalnych (*Champs-Elysées* i *Champs de Mars*) własnowolnymi odszczepieńcami należałoby nazwać.

Widoczną jest analogia secesyonistów monachijskich z paryskimi malarzami „*Indépendants*". Racye wyodrębnienia się ich od salonów oficyalnych, możnaby w różnych zapewne upatrywać powodach; najważniejszemi atoli są: akademiczność jednego, a koteryjność drugiego; dwie okoliczności utrudniające przystęp malarzom, którzy „niezależnie" od elizejskiego kryteryum obrazy swoje zwykli malować, jak również je wystawiać bez względu na wszelką prywatę, jaką przy przyjmowaniu obrazów, salon marsowy się rządzi.

„Niezależni" tedy — w artystycznym swoim wyjawie — całkiem „niepodlegle" postępują, dumni z własnéj odwagi wobec przysięgłych i uświęconych już kapłanów sztuki.

Rodzi się tutaj pytanie, czyby owo odszczepieństwo głębiéj uzasadnioném nie było?

W gronie malarzy „*Indépendants*" jest wielu zapewne, którzy dla względów ubocznych w skład tego towarzystwa wchodzą; większość wszakże, a może i nie większość, ale duch „niezależnych" jednolicie jasnym się okazuje; streścić go można, mojém zdaniem, w ten sposób: „Sztuka akademicka, wychodząc z tezy, że ponieważ do Rzymu wiele, ale pewnych zawieść może dróg, przeto ona (sztuka akademicka) od alfy począwszy, na omedze spoczęła, w tém przeświadczeniu, że całe abecadło sztuki sumiennie przeszedłszy, zdobytych wrzekomo tajników jéj, spokojnie zażywać może, prawa nawet dyktując, ufna bowiem w nieomylność swoją. My, artyści niezależni, odmienne w tym wypadku mamy zdanie, a mianowicie, ponieważ ich akademicko zdobyta omega — ukojenia artystycznym pragnieniom naszym wcale nie daje, zatém sądzić wypada, że Rzym nasz na żadnéj jeszcze nie wytknięty karcie, czyli że i abecadło ich — by doń prowadzić mogło w niewłaściwym pewnie ułożone zostało języku.

„Otóż my, artyści, niepodlegli świadomie, utarte omijając ścieżki, nowych dróg szukamy, azali nie natrafimy na ślad téj naszéj ziemi obiecanéj: chociaż względem jéj zdobycia jesteśmy sceptykami tendencyjnymi, pomnąc na to, że ideał osiągnięty, przestaje już nim być; my zaś przed sobą wiecznie ideał widziéć chcemy — ideał niezdobyty, bo skrzydła nasze ikarowe, i choć się do lotu zrywamy, to jednakże nie szybujemy na wysokościach, z których *on* swoje promienie roztacza. W mocy jest tylko naszéj z mniéj lub więcéj trwałego wosku ulepić sobie skrzydła i mniéj lub więcéj umiejętnie do lotu je rozwijać. Pociecha to napozór mała, wszelako po nad ów akademicki, mdły, spowszedniały, wrzekomy ideał, przekładać należy — świéże i nieznane nam odsłaniające krainy—nowe nasze drogi, choć do wielkiego ideału, przypuszczalnie tylko, wieść mogące."

Takie wyznanie wiary przemawiać się zdaje z obrazów rozwieszanych co roku—z wielką czasami odwagą — przed oczyma publiczności paryskiéj przez malarzy „niepodległych", — z odwagą, powtarzam; bywa bowiem, że atrakcyą ich główną jest komizm pobudzający do śmiechu, żądnych jakiéjkolwiek wesołości Francuzów. Dla téj to jedynie pustéj zabawy, publiczność się ta kupi gromadnie przed tak popularnym wystawcą, jakim w salonie niezależnych—dawno już—jest H. Rousseau.

Wszelką dolegliwość z serca francuskiego — gdyby ona tam chwilowo tkwiła — Rousseau wyplenia, to téż smutni zarówno jak i weseli — przed obrazami jego stając — śmieją się... bez względu nawet na poważny wiek sześćdziesięciokilkoletniego autora.

Śmieją się chociaż to nie malarz-humorysta... przeciwnie odpowiedziałby, gdyby go kto zapytał, że właśnie on tylko sztukę „na seryo" traktuje; jedniby się z tego śmiali znowu, inni przyznaliby słuszność, a my na ducha „niezależnych" pomni — w niemożności przystosowania doń jakiegokolwiek kryteryum — ograniczymy się tylko do opisania objawu. Otóż śmiech wywołuje Rousseau nie tyle dziwacznością swoich pomysłów, ile techniczném wykonaniem, które w najwyższym stopniu jest naiwne. Niedołężność w zarysach linii i zabarwieniu obrazów Rousseau'a przechodzi najprymitywniejsze malarstwa zaczątki.

Pominąwszy kilka małych obrazeczków, oraz dwa portrety, w których po za autorem, odwagę również osób portretowanych podziwiać trzeba — wystawił Rousseau w tegorocznym salonie większych rozmiarów obraz zatytułowany „La bohémienne endormie." Omyliłby się, ktoby sobie wyobraził, że płótno to przed-

stawia cygankę, jaką zwykliśmy oglądać latem za warszawskiemi rogatkami—nic z tego; rzecz się na pustém dzieje polu, księżyc w pełni niby ludzkiém swojém obliczém spogląda ku dołowi, gdzie obok stojącego glinianego garnuszka i porzuconéj gitary, leży przedmiot ludzkie przypominający kształty. Śmiesznego istotnie wyglądu bezpłciowy ten człowiek zdrętwiały ma głowę, ręce i nogi koloru czarnéj, glansowanéj rękawiczki, a czerwone u palców paznogcie; usta acz czarne są także — w odróżnieniu jednak od glansowności skóry—zaciągnięte atramentem, matowo, widocznie jak gdyby przez to gorączką spieczone być miały...

Sukienka zlepiona z jasnych pasków różnokolorowych—gdzieniegdzie nawet harmonijnie zestawionych — ubiéra tę czarną i bez życia leżącą postać, przez stojącego tuż lwa — o bardzo sterczącym ogonie — obwąchiwaną...

Trudno dorozumiéć się tendencyi, jaką w malowaniu tego obrazu powodował się autor, jeżeli jednak wyrażać ma, że ową cygankę-artystkę, gorączka upragnionéj sławy — w postaci lwa śnionéj—piecze, to zauważyć trzeba, że bólów w swém wnętrzu już pewnie nie czuje — spaliła się na węgiel... barwne bogactwo sukienki jeno ocalało, dla potomności chyba w upominku, by właścicieli szat takich blaskami tęczy lśniących — po głuchém szukano polu...

Drugim niemniéj oryginalnym malarzem „niezależnym" jest skandynawczyk Ed. Munch, wystawiający dziesięć średniéj wielkości obrazów; z tych — śmiałością pojmowania nastrojów ludzkiego uczucia—wyróżniają się dwa głównie: *Baiser* i *La mort*. Oryginalność pojęcia pierwszego w tém właśnie leży, że się tutaj wcale nie całują, widzimy tylko dwa tułowia splecione w uścisku; głowy się zlały w pocałunku, że tworząc jedną bezkształtną i bezkolorową plamę.

W obrazie drugim obok—leżącego na tapczanie i przysłoniętego całunem — trupa, poustawiał autor bliskich nieboszczyka — członków zapewne rodziny — wywołując w nich rozpaczliwe przygnębienie nietylko wyrazami twarzy, lecz i zabarwieniem głów, jednych kolorem czerwonym, a drugich białym, z ustosunkowania czego nastrój niezmiernéj grozy wieje z obrazu.

Malowidła Rousseau'a zarówno jak Muncha nie normalnie widza uspasabiają; pierwszy niedołężnością swoją dziwną śmieszy, drugi obłąkania przedsmak daje. U obydwóch przeważa pierwiastek—upraszczającego środki—symbolizmu; nad pobudkami czysto malarskiemi, czego powiedzieć nie można o Guy Maynardzie, który jedynie za sprawą umiejętnie użytéj techniki (nie zwyczajnéj) dał

studya głów i martwéj natury wprost mistrzowskie. Doskonale zharmonizowanemi centkami, wydobył obrazy nie jaśniejsze od czarnych niemal, a przecie nie czarne, bo kolorowe i czyste; jego wazon z ciemno niebieskiego szkła, albo też serwis metalowy, zdumiewające robią wrażenie prawdy, siły i efektu, głowy zaś: męska, dziewczęca i chłopca bretońskiego—oprócz powyższych zalet—nacechowane są pysznemi wyrazami. Wszystkie to obrazy małe, z wielką malowane i rysowane finezyą. Szorstkie natomiast i ordynarne na pozór zdają się być—tuż obok wiszące — rodzajowe sceny Rafaela Lewisohn'a, choć pełne wyrazu i charakteru w postaciach: dzieciaków, kobiety z koszem na plecach i tańczącéj młodéj pary bretońskiej.

Obrazy te niby kielnią i wapnem nakładane z dużą zdawałoby się niedbałością; to też malarz — chcąc się widocznie uchronić od tłomaczenia nieumiejętnością autora, tej rzucającéj się w oczy brutalności traktowania — zawiesił śród obrazów studya swoje akademickie, któremi wykazuje, że sumiennie i z całą subtelnością rysować umié. Opuszczając tę uprzywilejowaną salę—na ścianach któréj indywidualności Muncha, Espagnata, Lewisohna i Maynarda się kłócą, a do innych oddziałów przechodząc, chętnie stajemy przed ciemnemi obrazkami Bessona, w których serdeczność i smutek bezgraniczny panuje. „Le denier de la veuve", „Le vieux pilon" i „Bouquetière" to momenty ludzkiéj biédy z głębokiém pochwycone odczuciem. Ta ostatnia to nie zwykła kwiaciarka; w zbiédzonéj jéj młodéj twarzyczce, widna jest troska o chléb powszedni nie tylko dla siebie; odbiegła myślami od tych kwiatów wystawionych na sprzedaż. Bliscy pewnie sercu, a pożegnani w domu o głodzie może, pochłaniają teraz całą niepodzielnie uwagę, tego smutkiem pociągającego dziewczątka.

Inny znowu malarz Marcel Mangin w swojéj „Fête de jeune fille" — dając więcéj niż głowę, bo całe pół postaci siedzącéj dziewczyny—przedstawił młodziutką dekadentkę... kompozycyą akcesoryów i tła, dziwnie mdłém i delikatném ukolorowaniem malowidła, subtelném nareszcie skończeniem jego, wyobrażając jakieś życie téj dziewczyny egzotyczne, niezwykłe...

Jacques Martin, wystawiając dziesięć bardzo szkicowych studyów martwéj natury, kwiatów i kobiét, popisał się brawurą techniczną i świeżym a ciepłym kolorytem. „La réussite" i „Femme aux fleurs" szczególniéj się odznaczają — malarzowi temu właściwemi — zaletami. „Etudes dans mon jardin" są to obrazki w liczbie pięciu Karola Frechon'a; czuć w nich roskoszne cieplo słoneczne, jakie wi-

docznie w swoim głównie ogrodzie, autor ukochał i w widokach — ze zmienionym tu i owdzie motywem—oddał.

Siedm pejzażów pastelowych Leona Sonnier uczy nas o tém, jak—przez umiejętne użycie tego matowo-suchego materyału malarskiego — dobre można namalować krajobrazy. W słonecznych tych widokach pełno czuć powietrza, a w robocie smaku, jaki we „Friches dorées“ i „La ravageuse“ zwłaszcza widoczny jest. Pierwszy, to odłóg, ale bujnie okwieconą trawą obrosły, druga, acz niszczycielką jest nie nazbyt psychologicznie wyrażoną, to jednak maleńki ten obrazek z pochyloną ku przodowi śliczną—w luźnéj sukni fioletowéj—niewieścią postacią, nader oku miłe daje wrażenie.

Obrazów rozmiarami wielkich jest dwa: „Mytilène” Alfreda Mullera i banalny „Chrystus na krzyżu” Serendat de Belzima. W obrazie Mullera porozkładały się w różnych pozach — przeważnie plecami do widza—ciemne i brudne w kolorze niewiasty niby zapatrzone w ciemny i brudny widok pejzażowy; obraz cały manierowany na Puvisie de Chavannes, jeno od obrazów tego ojca symbolizmu—gorszy naturalnie.

Stosowném mi się téż wydaje podzielić się z czytelnikiem wrażeniami, jakich doznałem od obrazów polskiemi podpisanych nazwiskami. Przedewszystkiém więc zanotować pragnę, że kilkoletni już wystawca w salonie niezależnych p. Antoni Austen roskosz nam prawdziwą w tym roku sprawił; choć wypieszczone te obrazy małych są przeważnie rozmiarów, to przecie jasność od nich i ciepło — szeroko się rozchodzi, napawając oczy weselem i serce w paryskim okopcone dymie—radością. Nad te pola gryczane i jesienne widoki, trudno sobie coś piękniejszego w pejzażu wyobrazić.

Zarzucają niektórzy, że malowidła p. Austena słodkie są i do natury nie podobne. Cóż by na to rzec można? — żeć przecie sztuka ani naturą nie jest, ani jéj naśladować nie ma mocy, obowiązku ni potrzeby, bowiem o ileby to być mogło—przekładalibyśmy zawsze naturę żywą nad robioną, a pono sztuka chce mieć od natury wartości więcéj.

Wartości owéj cząstka mieścić się zdaje w pewnéj odmienności sztuki od natury — odmienności umiejętnie pojętéj i oddanéj, a tą właśnie nacechowane są pejzaże p. Austena.

Istotnie w obrazach tych jest „słodycz” ale to nie ta słodkość którą powszechnie „wylizaniem“ malowidła zwą.

P. Austen nie gładzi ale „nakłada“ (nawet dość grubo) farby na płócienka swoje—wytworną przytém władając techniką, dał pejzaże ogromnie czyste i nie słodkie lecz „pieszczotliwe” powiedział-

bym, jeżeliby o charakterystyczny ich przymiot chodziło. Jest w nich to wszystko co się podoba.

Nie należy nareszcie zapominać, że p. Austen jest malarzem „niepodległym” i że taki jego rodzaj malarstwa (jak na téj właśnie wystawie) nie jest jego pierwszym, ani ostatnim pewnie rodzajem. Nie znam osobiście p. Austena, wszelako prace jego — stanowczo różne—zdarzało mi się widzieć.

Przed kilku laty, kto zwiedzał wystawę Tow. Zach. temu zostało dzisiaj—miłe i dla autora pełne uznania—wspomnienie, z oglądanego wtedy obrazu pastelowego, przedstawiającego naturalnéj wielkości kobietę w stroju ukraińskim, pełną życia, oraz podobieństwa do natury (jeśli tak chcą skrajni i surowi realiści). W obrazie tym p. Austen był w zgodzie z naturą, kierunkiem malarstwa ówczesnym i z sobą ówczesnym może. W jakiś spory czas potém, absolutnie co innego; inny obraz i zupełnie w nim inne malowanie; nie ten to soczysty — jak poprzednio — kolor, lecz surowy i w specyalny kładziony sposób. (Myślę tutaj o dużém płótnie, wyobrażającém dwoje biednych ludzi — z dzieckiem w kołysce — we wnętrzu izby o świcie, przy płonącej lampie).

W obrazach zawieszonych teraz — widzimy porzucenie szkoły stosowanéj w drugim obrazie, ale niekoniecznie przez to powrót do stylu pierwszego; w dzisiejszym czuć poważną — ostatnich lat kilku pracę i rezultat bogaty: choć ustalonego miejsca — na kameleonowéj palecie p. Austena—nie znalazł pewnie; wierzyć bowiem trzeba, iż palety téj inne jeszcze podziwiać będziemy błyski.

Zmienności p. Austena — dodatnie notując objawy — przyklaskujemy i niech nam wolno będzie nadzieję żywić, że w nieprzewidywane te zapuszczając się drogi, „niezależnych” kolegów francuskich wyprzedzi.

Łącznie z pejzażami, wystawił p. Austen dwa studya głów dziewczęcych: olejne i pastelowe; to drugie po za pobieżnością w traktowaniu policzka w świetle i ręki nieco bezwładnej — jest robotą nader artystyczne sprawiającą wrażenie. Subtelność ust, wyrazowość oczu i odczuty układ obrazu, o dobréj stanowią całości. Delikatne to dziewczę, pod wpływem mądrości—w trzymanéj wielkiéj księdze (zapewne pisma świętego) zawartéj — w marzeniach jakichś świętobliwych jest zatopione. Studyum olejne to portret młodéj panienki, dobrym zalecający się rysunkiem.

P. Kazimierz Markiewicz — drugi rok z rzędu w salonie niezależnych wystawiający—wymalował tym razem portret żony odznaczający się dużém podobieństwem. Choć niedbała to robota, świad-

czy jednak o niemałych zdolnościach w chwytaniu lokalnego koloru i charakterystycznych cech przedmiotu. Większa sumienność studyów—przy niezaprzeczonym talencie p. Markiewicza — w niedalekiéj wynagrodziłaby się przyszłości.

Laureat monachijskiego „Szklanego pałacu” (przed paru laty „mention honorable” tam zdobywszy) p. Leopold Andrzejewski, wystawił u „niezależnych” dwa krajobrazy, z których większy „Poranek”—jest odczutym nastrojem. Dobrze wyrysowane na rzece dwie duże łodzie rybackie, doskonale modelowany, choć nieco za suchy i zimny w kolorze brzeg rzeki gęsto zarosły trawą, daléj łąka, gdzie na żerdziach schną rozpięte sieci, a wszystko to oblane słońcem zamglonem — w pewnych tylko rankach przyświecającém — każe nam stwierdzać, że p. Andrzejewski poważne przeprowadza studya pejzażowe i sporą w tym kierunku rozporządza już maestryą.

Oryginalnie wyobrażonym jest portret własny p. Zygmunta Badowskiego. Wyrazistość głęboko patrzących oczu, refleksyjne—jak gdyby umyślnie nienaturalne — zabarwienie głowy, całość wreszcie wyróżniającego się się z otoczenia obrazu—mówi o bardzo niezwyczajnéj indywidualności autora.

Do uzupełnienia tego skromnego liczebnie kompletu obrazów wystawionych przez malarzy polaków, wypadnie mi dodać i niżej podpisanego obraz p. t. „Pająk“ (w postaci dużéj, nagiéj kobiety usymbolizowany).

Niemal półtora tysiąca dzieł, wylicza katalog tegorocznego salonu, sprawozdanie zaś moje o kilkudziesięciu zaledwie wpomina, przyjętym atoli zwyczajem, podnosimy to tylko, co ze względów artystycznych (i narodowych) interesującém jest dla nas.

Salon „Niepodległych“—ze świeżych duchem i ciekawych jutra indywiduów się rekrutując — zapowiada świt sztuki przyszłéj. Czy, i na jakich potęgach zajaśnieje ta sztuka, trudno przewidzieć.

Bolesław Nitecki.

Paryż, 9 kwietnia 1897 r.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Marcin Ernst, dr. filozofii. „Astronomia gwiazd stałych.“ Warszawa, nakładem redakcyi „Prac matematyczno-fizycznych“, 1897 r.

Do rzędu nader nielicznych u nas prac, dotyczących astronomii, przybyła książka bardzo sumiennie i obszernie obrobiona.

Układ dzieła jasny i systematyczny; zarzuciłbym jednak jedną wadę: brak rysunków i ilustracyi. Chociaż autor, jak sam mówi w przedmowie, rozmyślnie opuścił wszelką pomoc ilustracyjną, motywując to tém, że rysunki astronomiczne muszą być albo bardzo dokładne, albo nie powinno być ich wcale, że zaś wydawnictwo popularne nie może ponosić kosztów tak znacznych, jakieby pociągnęło za sobą sporządzenie takich ilustracyi, przeto wolał pominąć je zupełnie, przypuszczając, że opis zastąpi rysunek; jednakże sądzę, że byłoby o wiele lepiéj, gdyby chociaż pewna ilość rysunków była dodana.

Astronomia jest nauką tak mało u nas spopularyzowaną, zjawiska, które opisuje i prawa, któremi się rządzi, a dla wyjaśnienia których potrzeba zasad matematyki wyższéj, wszystko to tak dalece wychodzi po za zwyczajny zakres naszych wiadomości, że wszelkie środki, dążące do rozjaśnienia i uprzystępnienia wykładu, są dobre i pożyteczne.

W pierwszym zaś rzędzie stoją tu rysunki, uplastyczniające to, co wykład, chociażby najlepszy, zaledwie zaznaczy.

Przypuszczam więc, że autor przy następnych wydaniach swéj książki uwzględnić zechce tę potrzebę.

Należy jednak oddać mu sprawiedliwość, że lubo bez rysunków, praca jego jest nader jasno i przystępnie napisana.

Czuje się, że p. E. szczerze umiłował swój przedmiot, dużo poświęcił mu czasu i napisał rzecz swoją żywo, barwnie i bardzo umiejętnie.

Zaczynając od ważniejszych wiadomości z optyki, zaznajamia czytelnika z teoryą widma, z aparatami astronomicznemi, w końcu zaś rozdziału podaje najgłówniejsze podstawy teoryi i znaczenie analizy spektralnéj.

Przechodząc następnie do opisu sklepienia niebieskiego, wykłada teorye zjawisk absorbcyi, refrakcyi atmosferycznéj oraz scintilacyi, czyli migotania gwiazd.

Z pomiędzy hipotez objaśniających to ostatnie, jedno z trudniejszych do zanalizowania zjawisk, podaje p. Ernst hipotezę intereferencyjną Arago, teoryę promieni odbitych Montigny'ego, ciekawe domniemanie Andries'a, który przypuszcza, że migotania powodują miliony igiełek lodowych, unoszących się w wyższych warstwach atmosfery, niewidzialnych dla oka, w których promienie gwiazd załamują się, zanim dojdą do naszych oczu.

Z kolei przechodzi do ustanowienia i objaśnienia terminologii astronomicznéj. Wykłada więc o spółrzędnych astronomicznych, mówiąc o układzie poziomowym, równikowym i ekliptycznym, daléj objaśniając stałe, określające położenie tych układów, więc: poziom, widnokrąg, almukantary, koła wysokości; zenit, nadir, oś świata, biegun nieba, równik nieba i t. d.

Objaśniwszy następnie zjawisko ruchu sklepienia niebieskiego, a właściwiéj mówiąc cofanie się punktów równocnych, oraz określiwszy istotę nutacyi, t. j. kołysania się osi ziemskiéj, przechodzi do ugrupowania gwiazd i do katalogów, z których wylicza: największy katalog układu Argelandera, obejmujący wszystkie gwiazdy do 9.5 wielkości, razem oblicza 324,198 gwiazd. Pracę Argelandera prowadzi daléj Schönfeld. Katalog powyższy zawiéra gwiazdy leżące pomiędzy biegunem północnym a drugim stopniem zboczenia południowego; dla półkuli południowéj, podjęli tę pracę Gould i Thome w Argentynie.

Obecnie jednak podjęto daleko większe zadanie, mianowicie ułożenie fotograficznego katalogu nieba. Pracą tą są zajęte największe obserwatorya astronomiczne wszystkich części świata. Liczba gwiazd objętych tym katalogiem wyniesie zapewne parę milionów. Najdokładniejszy spis gwiazd widzialnych gołém okiem ułożył Heis; obejmuje on wszystkie gwiazdy, widzialne gołém okiem w środkowéj Europie, w liczbie 5,422.

Katalog ten dopełnia wspaniały atlas tegoż autora. „*Atlas novus coelestis*" na 12 kartach obejmujący wszystkie gwiazdy katalogu.

Następne rozdziały poświęca autor fotometryi gwiazd, t. j. określaniu stosunkowéj ich siły świetlnéj, daléj zastanawia się nad ich odległością, przyczém zaznacza, że najbliższe gwiazdy odległe są od nas przynajmniéj 100,000 razy więcéj, aniżeli słońce, stąd zaś wypływa, że światło gwiazdy pierwszéj wielkości potrzebuje 6.8 lat, aby dojść do ziemi; światło gwiazdy 2-éj wielkości 10.6 lat, 3-éj wielkości — 17 lat, 4-éj wielkości—42.6 lat, 6-téj wielkości — 67.6 lat; gwiazdę zaś 16-éj wielkości moglibyśmy obserwować jeszcze w 6,800 lat po jéj zagaśnięciu.

Opisując następnie ruchy własne gwiazd, bieg słońca w przestrzeni, układy gwiazd podwójnych i wielokrotnych, daléj mgławice i gromady gwiazd, przechodzi do badań widmowych gwiazd stałych, do barwy, temperatury, jasności rzeczywistéj i rozmiarów gwiazd. O temperaturze gwiazd wnioskować można, opierając się na istnieniu pewnych linii widmowych. Stwierdzono bowiem, że pewne linie widma giną, inne znów stają się widoczniejsze przy rozżarzaniu się niektórych ciał.

Przez analogię, badając widma ciał niebieskich, znajdując lub nie mogąc się doszukać pewnych linii, wnioskować można o przybliżonym stanie rozżarzenia tych ciał i znając mniéj więcéj temperaturę rozżarzonych ciał ziemskich, można hypotetycznie określić temperaturę ciał niebieskich.

Jednakże dowodzenia p. Ernsta nie są tu zupełnie pewne. Nieco arbitralnie może jest postawioną temperatura iskry indukcyjnéj, obliczona na 20,000 do 30,000 stopni, wskutek czego nie wydaje się bardzo pewną temperatura słońca, oraz gwiazd typu II a określona jako niższa od temperatury iskry indukcyjnéj, którą to temperaturę posiadać mają gwiazdy I-éj wielkości, jak naprzykład atmosfera Syryusza.

Ilości te jednak są tak wielkie, że, zdaniem mojém, nic nie mówią. Przechodzą one tak bardzo nasze zmysłowe pojęcia, że stają się jedynie czémś nieskończenie wielkiém, co jakiś przestrach i zdziwienie jedynie wywołuje, ale w gruncie nic nie objaśnia, bo przechodzi wszelkie granice ludzkiego poznania.

Pozostają więc takie cyfry jedynie pięknemi dowodami potęgi obliczeń matematycznych, ale są zawsze niepojętemi i czy dodamy, czy odejmiemy od nich kilka zer, wielkość rzeczywista dla nas się nie zmieni, bo zawsze będą jeszcze za granicami poznania.

Rozdział o meteorach nie zupełnie jest właściwy w astronomii gwiazd stałych.

Wprawdzie niekonsekwencyę ową motywuje autor tém, że meteory krążą prawdopodobnie w całym wszechświecie, niemniéj jednak wiedziéć o nich możemy dopiéro wtedy, gdy wschodzą za nasz układ słoneczny, w astronomii więc tego układu jest dla nich właściwe miejsce.

Może za mało jasną jest cała teorya analizy spektralnéj, niezrozumiała dla nieprzygotowanego czytelnika, ale zdaje się wogóle, że do czytania téj książki trudno przystąpić bez uprzedniego ogólnego ogólnego przygotowania z fizyki, a optyki w szczególności.

Dużo jest u p. Ernsta hipotetycznych, bardzo nawet niepewnych poglądów, jak powyżéj przytoczone zdania o temperaturze gwiazd; trudno jednak dawać rzeczy pewne w nauce, która cała na hipotezach w swych badaniach stoi.

W każdym razie książka p. Ernsta zasługuje na rzetelne uznanie i rozpowszechnienie. *K. D.-S.*

Książki dla ludu.

Z prawdziwą przyjemnością rozpatrujemy się w wiązce książeczek, jaką właśnie mamy przed oczami. Od czasu, jak autorzy nasi, a głównie autorki, pióra swoje oddali na usługi maluczkich, mamy mnóstwo powiastek, opowiadań na tle mniéj lub więcéj historycznem, geograficznem, społecznem, z obfitą porcyą obroku duchowego, którego poczciwe chęci są najlepszą okrasą i ta zawsze łagodzi ostrze krytyki nie zupełnie pobłażliwéj. Ale takie książeczki, jak p. M. Brzezińskiego, w których autor stara się uprzystępnić dla szerokich kół czytelników elementarne zasady meteorologii i wytłómaczyć im zjawiska, których są codziennymi świadkami, wychodzą po za granice zwykłego szablonu. Taką np. książeczkę: „O powietrzu i zjawiskach w niém zachodzących", „O zaćmieniach słońca i księżyca" przeczyta każdy z przyjemnością i skwapliwie zechce być pośrednikiem w udzieleniu téj wiedzy innym, dla których samodzielnie czytanie jest jeszcze połączone z niejaką trudnością. Toż samo powiemy o pracach tegoż autora z dziedziny praktycznéj czyli stosowanéj zoologii opisowéj, mianowicie: „Nasi wrogowie i przyjaciele wśród ptaków", oraz „Owady i ich znaczenie w gospodarstwie." W krótkich tych opisach znajdujemy sprostowanie upowszechnionych mylnych pojęć o szkodliwo-

ści niektórych ptaków do rzędu drapieżnych należących, oraz dowiadujemy się, że i pomiędzy osławionemi owadami są takie, które wypowiadają zaciętą wojnę znanym szkodnikom, a więc są pożyteczne.

D-ra Ludwika Natansona wykład higieny p. t. „Rady dla rzemieślników ku zachowaniu zdrowia" zawiéra szereg zbawiennych przepisów, co do mieszkania, odzieży, odżywiania się, a głównie utrzymania czystości ciała. Jak na teraz są to jeszcze *pia desideria*, które jednak może kiedyś, kiedyś, gdy dobrobyt klasy rzemieślniczéj wzrośnie, a oświata się rozprzestrzeni, staną się faktem dokonanym.

„Upominek dla matek i gospodyń przez Antoszkę". W pierwszéj króciutkiéj części autorka mówi o higienie niemowląt, w drugiéj--jeszcze krótszéj—o ochronkach wiejskich, w trzeciéj—najdłuższéj—znajdujemy przepisy pieczenia chleba i ciasta, oraz przyrządzania rozmaitych potraw, należących już do wykwintniejszéj nieco kuchni. Wzmianka o barszczu, żurze, kapuśniaku, kluskach, wreszcie o kiełbasie, boczku i schabie byłaby tu wystarczającą. Drób, zwierzyna, kotlety, klopsy i t. d. stanowią u nas jeszcze potrawy zbyt wykwintne dla kuchni ludzi niezamożnych.

Wspólną zaletę wszystkich książeczek stanowi dobry papiér i druk wyraźny; rzecz to niezmiernie ważna w wydawnictwach tego rodzaju. Szary, niegładki papiér i druk drobny, ścisły obniżałyby wartość chociażby najlepszéj popularnéj książki. *R.*

„O księdzu Boduenie, opiekunie dzieci opuszczonych i nędzarzy." Napisał doktór Antoni Puławski (str. 32). Uwydatniwszy we wstępie bolesny los dzieci nieślubnych, opowiada następnie autor bardzo przystępnie o młodości ks. Boduena, o jego przybyciu do Warszawy, o zakupieniu kamienicy, zwanéj dziś pałacem Karasia, gdzie urządził przytułek dla swoich sierotek, następnie o wybudowaniu nowego gmachu, przezwanego początkowo Szpitalem generalnym, a potém szpitalem Dzieciątka Jezus. Drugą połowę książeczki wypełnia obraz dzisiejszego stanu tego szpitala, przyczém autor stara się rozproszyć uprzedzenia klasy biednéj do tego gmachu, gdzie krają trupy, a studenci na chorych robią doświadczenia. W końcu mówi o potrzebie uczczenia pamięci księdza Boduena przez wzniesienie mu pomnika na placu Wareckim. Cały wykład odznacza się jasnością i popularnością; p. Puławski stara się wyrazy cudzoziemskie objaśnić za pomocą swojskich i przemawiać tak, żeby go mniéj ukształceni łatwo zrozumieć mogli. Parę usterek językowych wartoby w przyszłém wydaniu usunąć.

„W sieci pajęczéj", powieść Klemensa Junoszy (str. 110). Jestto skrócona przeróbka powieści tego autora p. t. „Czarnebłoto". Wysta-

wiono tu, jak nieopatrzność i skłonność do pijaństwa lub procesowania prowadzą do ruiny, ponieważ złe skłonności, wyzyskiwane przez sprytnych lichwiarzy, co siecią pajęczą całą ludność wiejską otoczyć i skrępować umieją, najgorszymi są doradcami człowieka. Chłop Rokita, nie mogąc wybrnąć z długów, przywiedziony do rozpaczy utratą całkowitą mienia, zamierzywszy się na Chaskla, zabija go niechcący, idzie do więzienia, traci przytomność i umiéra niebawem. Wypadek ten pobudził stateczniejszych gospodarzy do zastanawiania się, jakby to dopomódz tym biédakom, co jak muchy w sieć pajęczą uwikłani zostali, myślą kasę przy gminie zasilić, oszczędności swoje tam składać, aby w razie potrzeby przyjść z pomocą zagrożonym przez udzielenie im uczciwéj pożyczki. Dodawano wszakże, iż pożyczka, choćby najdogodniejsza i najtańsza, nie zbawi, jeśli ten, kto ją bierze, nie wejrzy w siebie, nie zrzeknie się złych nałogów, nie dołoży pracy i zapobiegliwości. Znany talent Junoszy w malowaniu żydów i chłopów czyni tę książkę wielce zajmującą, a pogodny humor nieraz rozaśnia chmurne widoki, jakie wśród smutnego położenia ogółu wieśniaczego z konieczności odrysowane być musiały. Język jest nieposzlakowany, styl płynny, jasny, wyrazisty i charakterystyczny, jak w innych utworach Klemensa Junoszy, tak i w tym na wysokie uznanie zasługuje. *P. Ch.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= **Szekspir w Polsce**. Zebrał i zestawił *Jan Zahorski* (Lwów, 1896). Jestto odbitka z wydania lwowskiego przekładów Szekspira. Składa się z dwu nierównych części, z których pierwsza p. t. „Szekspir w krytyce literackiéj" daje nam wykaz i ocenę sądów, jakie u nas o wielkim dramaturgu poczynając od wieku XVIII wypowiedziano, a druga p. t. „Spis przedstawień Szekspirowskich" zaznajamia nas z kolejami, jakie dzieła Szekspira przebywały na scenach naszych: krakowskiéj, warszawskiéj i lwowskiéj. Pracy swojéj dokonał autor starannie, wyprowadził na jaw wiele zdań, ukrytych dotychczas w różnych książkach i pismach, nakréślił wpływ Szekspira na niektórych dramatyków naszych, jedném słowem wzbogacił naprawdę zasób wiadomości naszych o tym przedmiocie. Usterek nie brak oczywiście; wytknę jedynie tę, która się metody tyczy. Zdania Golańskiego i Fr. Ksawerego Dmochowskiego przytacza autor dopiero jako objawy wieku XIX, nie wiedząc, czy nie pomnąc, że zarówno dzieło pierwszego o „Wymowie i poezyi", jak i utwór drugiego: „Sztuka rymotwórcza" były wydane po raz pierwszy w wieku XVIII i tam je właśnie uwzględnić należało, podobnie jak poglądy W. Bogusławskiego na Hamleta. Dziwi téż trochę, iż autor nie przywiódł ze sztuki rymotwórczéj wiersza: „Anglia sprawiedliwie Szekspirem się szczyci." W układzie pożądana byłaby trochę większa przejrzystość, a w języku — większa poprawność.

= **Abu Sajid Fadlullah ben Abulchajr i tegoż czterowiersze.** Przełożył z perskiego *Damian Rolicz-Lieder*. (Kraków. Nakładem tłomacza 1895, str. 47). Jak wnosić można z t. zw. w drukarstwie szmuc

tytułu: „Piśmiennictwo perskie,” książeczka obecna to początek wydawnictwa, mającego nas zaznajomić ze skarbami literatury, tak mało u nas znanéj. Wszystko, co rozszerza i pogłębia wiedzę naszą, zasługuje na jaknajszersze uznanie; więc i pracę p. Rolicz-Liedera witamy skwapliwiéj, im mniéj liczyć ona może na rozpowszechnienie wśród wielkiego ogółu czytelników. We wstępie podaje tłomacz wiadomości o życiu i charakterze Abu Sajida (z wieku X/XI), mówi o formie oryginalnéj jego czterowierszy i o swoim przekładzie. Utwory Abu Sajida, po różnych książkach i rękopismach rozrzucone, zebrał Herman d'Ethé i wraz z przekładem niemiecko-angielskim przedstawił Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Monachium, częścią r. 1875, częścią 1878. Co do swego przekładu utrzymuje tłomacz, że wszędzie zachował rzetelnie myśli autora, że je oddawał wyrazami pierwowzoru „z domieszką ozdób, przystających do nich zupełnie”, że zwroty lub wyrazy, na które autor widoczny nacisk położył, są u niego oddane również w sposób odpowiedni. Formy trudnéj, w któréj 1-y, 2-gi i 4-ty temi samemi wyrazami się kończą, nie zachował p. Rolicz-Lieder, gdyż musiałby się uciekać do naciągań niewłaściwych składni naszego języka. Starał się o poprawność mowy, ale ma on swoje własne, niezgodne z większością literacką poglądy na poprawność i używa form językowych niekiedy dziwnych np. u s t y zamiast u s t a. Czterowiersze Abu Sajida mają charakter przeważnie gnomiczny.

= *Dr Zofia Daszyńska.* **Nietzsche Zarathustra**. Studyum literackie. (Kraków, Nakład drukarni F. K. Pobudkiewicza, 1896, str. 133). Autorka należała u nas do pierwszych pisarzy, co z twórczością głośnego swemi paradoksami filozofa niemieckiego ogół zapoznawali. Studyum atoli obecne nie jest rozszerzeniem tylko jéj dawniejszego artykułu (drukowanego w „Głosie“ r. 1894), lecz jego pogłębieniem. Do pracy téj przygotowała się sumiennie; przeczytała nie tylko dzieła Nietzschego, ale i najnowsze, a zarazem najważniejsze o nich rozprawy, a nie poprzestając na streszczeniu i wykładzie teoryi, poddała je częściowéj przynajmniéj krytyce. Po wstępie, w którym wytknęła piśmiennictwu naszemu nie tylko niedostateczną, lecz i fałszywą w znacznéj części znajomość Nietzschego, opowiada koleje życia filozofa według książki przez siostrę jego, Förster-Nietzsche napisaną (Lipsk 1895), dopełniając ją wiadomościami zawartemi w pracach L. Steina i pani L. Andreas Salome. W drugim rozdziale rozpatruje p. D. wpływy, jakim ulegał umysł Nietzschego, uwydatniając mianowicie oddziaływanie nań poglądów Schopenhauera, Ryszarda Wagnera, Jakóba

Burckharda i Maksa Stirnera. W przedstawieniu teoryi filozofa przyjmuje nasza autorka podział na trzy okresy, wprowadzony przez panią Salome. W pierwszym Nietzsche jest uczniem i kontynuatorem Schopenhauera, w drugim hołduje filozofii pozytywnéj; w trzecim wreszcie, wyswobodziwszy się z pod wpływów obcych, jest istotnie sobą, a więc subiektywistą-mistykiem i poetą raczéj, niż uczonym. Nad okresem pozytywnym nie rozwodzi się p. D., ponieważ nie widzi w nim rzeczy oryginalnych, dojrzawszy zaś wielkiego podobieństwa między okresem pierwszym i trzecim, im głównie uwagę swoją poświęca, najszerzéj rozwijając naturalnie poglądy etyczne Nietzschego, które tak wielki wywołały hałas. Następnie roztrząsa krytycznie zapatrywania polityczno-społeczne filozofa, twierdząc, że Nietzsche nie jest bynajmniéj socyologiem, że więc nie należy przypisywać mu wszechstronności z tego jedynie powodu, iż o wszystkiém sądzić się odważa. Przeciwnie, zdaniem p. D., odwaga tego filozofa pochodzi „z arcymałego balastu naukowego w kierunku socyologicznym.” Wzmiankując zaś o niekonsekwencyach w poszczególnych myślach Nietzschego, o pogodzeniu ich ze sobą nie myśli. Przy omawianiu marzeń filozofa o przyszłéj, wyższéj rasie ludzkiéj („nadczłowiek”), wskazuje p. D. niebezpieczeństwa nowéj etyki, jakie widzieć się dają w twierdzeniach Nietzscheanistów, którzy sami sobie chcą być obowiązkiem i prawem.” W końcu roztacza autorka myśl, że Nietzsche utożsamia się z bohatérem najgłośniejszéj swéj książki, wieszczem-prorokiem, Zarathustrą, i dotyka pierwiastku mistyczno-poetycznego w jego dziełach. Rzecz cała pisana jest jasno, lubo nie wszędzie poprawnie; w kompozycyi więcéj spoistości nie zaszkodziłoby wcale.

OD KOMITETU BUDOWY

Pomnika Mickiewicza w Warszawie.

Wezwanie do składek.

Powołani do wzniesienia pomnika największemu z poetów polskich, a zdając sobie jasno sprawę z odpowiedzialności za należyte wykonanie tego dzieła, przystępujemy do pracy z tém większą otuchą, że czujemy się być wykonawcami woli społeczeństwa ofiarnego i solidarnego. Życzenia jego zrozumieć było naszém pierwszém zadaniem; wszystko, co daléj czynić mamy, będzie już tylko wybieraniem najprostszych dróg do osiągnięcia upragnionego celu.

Na teraz, gdy formalności, co do zbierania składek przez redakcye pism i kasę Komitetu zostały już załatwione; gdy nadto poczynione są kroki co do uzyskania placu pod pomnik i wyboru artysty, który ma dzieła dokonać, pozostaje rzecz najważniejsza do spełnienia: zebranie odpowiedniego funduszu.

Pisarzowi, który kochał „za miliony”, miliony pomnik wznieść winny, to też wierzymy, że ofiarność ogółu będzie nie tylko hojną, lecz i powszechną. Odwołując się teraz do niéj, dajemy tylko hasło, że czas już gromadzić fundusze, bo dzień 24 grudnia 1898 roku, w którym pomnik stanąć ma gotowy, jest już bliski.

Wierzymy również, że nikt nie będzie się powstrzymywał od przesyłania darów choćby najdrobniejszych, bo czuje to ogół, że na pomnik Mickiewicza złożyć się powinny i hojność bogatych i wdowie grosze maluczkich. Bogaci niech dają wiele, ubodzy co mogą.

Razem więc **w Imię Boże** bierzmy się do dzieła, pomnąc że tylko Naród, umiejący uczcić swych Wielkich, godzien jest miana Narodu.

Za przewodniczącego *A. Kłobukowski.*

Warszawa 24 maja 1879 r. Sekretarz *Z. Wasilewski*

SPROSTOWANIE.

W poprzednim zeszycie „Ateneum” opuszczono przez nieuwagę w artykule p. Tadeusza Piniego p. t. „Kilka słów w sprawie wpływu Shelley'a na Słowackiego” na str. 364 po słowach: „...od całéj rodziny” następujący ustęp:

„Tego rodzaju szczegóły, jako z faktem ściśle nie połączone, nie wiele ją obchodzą. O ile zaś w dziele Słowackiego gotowość Beatryczy zamordowania ojca z powodu zamierzonéj czy wykonanéj już na niéj zbrodni może być jasną i wytłómaczoną, o tyle nieuzasadnioném jest to, że brat jéj Bernardo godzi się z tym planem natychmiast i żąda tylko odłożenia ojcobójstwa na inną chwilę, wreszcie zaś po krótkiém wahaniu, bez żadnéj prawie walki wewnętrznéj, chwyta za sztylet, aby za jego pomocą odebrać życie temu, któremu swoje zawdzięczał. Shelley przedstawia jasno powody, dla których Giacomo godzi się—po długiéj walce — z myślą ojcobójstwa, u Słowackiego jedynym powodem mógłby być wzgląd na siostrę, a ten nie wystarcza dla wytłómaczenia tak szybkiéj zgody na krok tak straszny. Zdaniem mojém przyczyny tego należy szukać nie w jakoby mniéj rozwiniętym zmyśle psychologicznym naszego poety, bo często świetne jego dawał dowody, ale w téj ogólno-ludzkiéj właściwości duszy, która nam każe sądzić, że to, co dla nas jest jasném i zrozumiałém, jest niém również dla innych.”

NEKROLOGIA.

† **Godfryd Ossowski**, paleontolog, urodził się 8 listopada 1834 roku w Kazarynówce w gub. kijowskiéj. Ukończywszy gimnazyum w Żytomierzu, poświęcił się studyom archeologicznym. Pierwsze swe poszukiwania rozwinął na Wołyniu; wynikiem ich była praca napisana w języku rosyjskim p. t. „Rys geognostyczno-geologiczny Wołynia" (Żytomierz, 1867 r., z ogólną mapą geologiczną Wołynia). Rzecz znacznie powiększona, wyszła następnie w Paryżu 1880 r. po polsku i po francusku p. t. „Mapa geologiczna Wołynia, według badań z lat 1860—1874." W „Wiadomościach archeologicznych" warszawskich (1876, t. III) wydrukował rozprawę: „O niektórych zabytkach wieku kamiennego w powiecie owruckim i dubieńskim." Następnie zajął się badaniami podobnemi w innych stronach kraju i ogłosił: „O zabytkach przedhistorycznych Prus królewskich" (Toruń, 1878); „Mapa archeologiczna" (Paryż, 1880) i tekst objaśniający po polsku i po francusku (Kraków, 1881); „Cztery sprawozdania z badań geologiczno-antropologicznych w jaskiniach okolic Krakowa" (w „Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej, t. IV — VII. Kraków, 1880 — 1883); „Wiadomości o narzędziach kamiennych i kościach zwierzęcych, znajdujących się w grobach kamiennych skrzynkowych" (tamże, tom V, 1881 r.); „Zabytki przedhistoryczne ziem polskich". Serya I. „Prusy królewskie" (4 zeszyty, Kraków, 1879 — 1888); „Trzy sprawozdania z badań paleontologicznych w jaskiniach okolic Ojcowa" (1883 — 1887; po niemiecku w *„Mittheilungen der Anthropol. Gessellschaft in Wien"* (1884); „Jaskinia morzycka" (1885); „Jaskinia wierzchowska górna" (w „Pamiętniku fizyograficznym", Warszawa, 1886; toż po francusku, 1887); „O grobach krzemiennych znajdowanych na

ziemiach polskich" (1887); „*Ueber die Knochenschnitzereien aus den Mnikower Höhlen*" (1884); „Wielki kurhan ryżanowski" (Kraków, 1888); „Materyały do paleontologii kurhanów ukraińskich" (tamże, 1888, dwa tomy). Oprócz tych pomieścił ś. p. Ossowski wiele innych pomniejszych rozpraw w czasopismach i wydawnictwach specyalnych. Dokonał mnóstwa wykopalisk, wzbogacając niemi zbiory archeologiczne Akademii Umiejętności w Krakowie, któréj był członkiem. Zarzucano podrobienie pewnéj części wykopalisk, ale zarzut ten, zbadany przez fachowców, nie utrzymał się. Zrażony niesnaskami krakowskiemi, opuścił zajmowane w Akademii stanowisko, czynił wciąż nowe poszukiwania, wreszcie pojechał do Tomska, gdzie śmierć go zaskoczyła w maju r. b. Nauka archeologii i paleontologii, tak nielicznych mająca u nas uprawiaczy, poniosła w zmarłym stratę ogromną.

† **Julian Łętowski** (a w rzeczywistości: Władysław Książek), poeta i beletrysta, urodzony w Krakowie 1857 r., był samoukiem i uczęszczał na politechnikę w Wiedniu; już w r. 1873 zwrócił na siebie uwagę wierszem zamieszczonym w „Kłosach", a podpisanym imieniem: Julian. Zachęcony do pracy dalszéj, wziął się do niéj z zapałem i nadsyłał do czasopism wiele utworów poetyckich. Pięcioaktowym dramatem, odznaczonym na konkursie krakowskim w r. 1879-ym p. t. „Izrael na puszczy", który miał dość duże powodzenie na scenach polskich, rozsławił swe imię. Drugi dramat „Firdusi", jednoaktowy (Warsz., 1884) nie miał już rozgłosu. Napisane i grane, ale nie drukowane utwory dramatyczne ś. p. Łętowskiego, są: „Uroki" (1877), „Droga do piekła" (1879); w rękopiśmie zaś pozostawił parę innych: „My i one", „Rodzina Szastalskich", „Kambizes", „Scypio afrykański" (początek). W r. 1879 przeniósł się do Warszawy i został spółpracownikiem „Echa", a od r. 1882 „Słowa". Ponieważ poezyami niepodobna było zarobić na utrzymanie, musiał się zwrócić do pisania nowel, artykułów sprawozdawczych, recenzyi teatralnych i t. p. Jako nowelista wyrobił sobie imię głównie obrazkiem silnie odczutym z życia rzemieślniczego p. t. „Wawrzyńcowie" (drukowanym w „Kuryerze Warszawskim" 1886 r., przełożonym na francuski i niemiecki). Zbiory nowel wyszły następnie p. t. „Nowocześni bohatérowie" (Warsz., 1888), „Na bożym świecie", „Dobrana para". Wreszcie są i tomowe powieści: „Rogata dusza", „Stary mąż"; a w czasopismach mieści się dużo powiastek nieprzedrukowanych. Z poezyą wszakże nie zrywał; od czasu do czasu ukazywały się jego sonety, gazele i inne liryki w pismach codziennych i tygodniowych. Nawet podczas swojéj ciężkiéj, bolesnéj choroby (raka w twarzy) tworzyć nie przestawał;

ostatni jego poemacik, legenda arabska p. t. „Fata morgana“, napisana w kwietniu r. b., ma się ukazać w „Tygodniku ilustowanym“. Nie dożywszy lat 40, zmarł w Warszawie 12 maja.

† **Stanisław Witeliusz-Zieliński**, dziennikarz, syn Władysława Kornela, zamiłowany w archeologii i numizmatyce, zasilający pisma codzienne i tygodniowe informacyjnemi wiadomościami, zmarł w 37-m roku życia 6 maja w Otwocku, dokąd się udał po przebyciu zapalenia płuc. Z większych prac jego zasługuje na uwagę pomieszczona w „Wiśle“ r. 1890 p. t. „Lud basiowiecki (z okolic Snowa), jego pieśni, zwyczaje i wierzenia”.



Wydawca: *W. Spasowicz.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

OGŁOSZENIE.

Cesarskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Petersburgu urządza w m. listopadzie 1897 roku **Wystawę Afiszów artystycznych.** Wystawa ta będzie międzynarodowa i Jéj Cesarska Wysokość księżniczka *Eugenia*, córka Maksymiliana, *Oldenburska* przyjęła takową pod swoją Wysoką protekcyę.

Cesarskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, zawiadamiając o powyższém, prosiło Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém o przyczynienie się do powodzenia Wystawy przez zawiadomienie o niéj pp. Artystów w Królestwie Polskiém, nadmieniając, że wszelkie wydatki, przyjęte będą na rachunek Cesarskiego Towarzystwa, tak, że udział panów wystawców żadnego nie potrzebuje wydatku. Wszystkie afisze po ukończeniu Wystawy zwrócone zostaną artystom, jeżeli zakomunikują o tém żądanie.

Towarzystwo ma na celu przez urządzenie téj Wystawy wskazać publice zastosowanie sztuki w tego rodzaju przemyśle, co może być pożytecznem tak dla przemysłu, jako i dla sztuki.

Komitet Zachęty Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém podaje o powyższém do wiadomości pp. Artystów malarzy, w granicach Królestwa zamieszkałych.

GAZETA POLSKA

największy dziennik polski,

wychodzi w Warszawie,

przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

Gazeta Polska drukuje **artykuły** polityczne, **korespondencye** ze stolic europejskich i z miast krajowych, artykuły literackie, naukowe artystyczne, ekonomiczne; podaje przytém wszelkie **informacye** bieżące z zakresu ruchu handlowego, w tém **ceny zboża** na rynkach krajowych i zagranicznych, jakotéż **towarzyskiego, sportowego**. Obfitością i doborem zarówno **artykułów**, jak **informacyi** swoich stara się *Gazeta Polska* dorównać najlepszym dziennikom europejskim.

Felieton powieściowy *Gazety Polskiéj* wyróżniał się zawsze świeżością. W ostatnich czasach drukowała *Gazeta Polska* dwie wielkie powieści **Henryka Sienkiewicza**; naprzód „**RODZINĘ POŁANIECKICH**" potém „**QUO VADIS.**" Po tych dwóch znakomitych utworach, drukowała Gazeta nieznaną powieść **J. I. Kraszewskiego** p. t. „**NERA.**" Na rok bieżący zaopatrzona jest Redakcya *Gazety Polskiéj* w cały szereg utworów powieściowych młodszéj generacyi naszych pisarzy.

Cena „Gazety Polskiéj": w Warszawie z odnoszeniem do domu: Rocznie rs. 9.60. Półrocznie rs. 4.80. Kwartalnie rs. 2.40. Miesięcznie kop. 80.

Z przesyłką pocztową: Rocznie Rs. 12. Półrocznie rs. 6. Kwartalnie rs. 3.

Adres „Gazety Polskiéj": Warszawa, Warecka Nr. 14.

Zaleca się umieszczanie **ogłoszeń w „Gazecie Polskiéj"** ze względu na jéj poczytność.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

---

1. Dr. *Wiktor Hahn.* **Szymon Szymonowicz jako filolog.** Lwów, nakł. autora, 1897, 8-vo, str. 40.
2. **Rady dla rzemieślników** ku zachowaniu zdrowia. Warsz., nakł. księg. Wizbeka, 1897, str. 41.
3. **Pieniądze.** Zarys teoryi monetarnéj przez *St. A. Kempnera.* Warsz., nakł. redakcyi „Gazety Handlowéj", 1897, 8-vo, str. 91 (cena 60 kop.).
4. **O księdzu Boduenie,** opiekunie dzieci opuszczonych i nędzarzy. Napisał doktór *A. P.* Warsz., skład gł. w księgarni Wizbeka, 1896, str. 32 (cena kop. 6).
5. **W sieci pajęczéj.** Powieść *Klemensa Junoszy.* Warsz., skład gł. w księgarni Wizbeka, 1896, str. 110 (kop. 25).
6. **Upominek** dla matek i gospodyń. Napisała *Antoszka.* Warsz., skład gł. w księg. Wizbeka, 1896, str, 112 (kop. 25).
7. *Ursyn.* **Szesnaście obrazków.** Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1897, 8-vo, str. 331 (rs. 1 kop. 20).
8. *Anatol Krzyżanowski.* **W więzach.** Zbiór nowel. Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1897, 8-vo, str. 305 (rs. 1 kop. 35).
9. **Nasi wrogowie** i przyjaciele wśród ptaków. Wybrał *M. Brzeziński* (wyd. 2-gie). Warsz., skład gł. w księgarni M. A. Wizbeka, 1896, str. 135, z rysunkami (k. 25).
10. **O powietrzu** i zjawiskach, w niem zachodzących. Napisał *M. Brzeziński.* Warsz., skład gł. w księg. Wizbeka, 1896, str. 184, z rysunkami (kop. 35).
11. **O zaćmieniach** słońca i księżyca. Napisał *M. Brzeziński.* Warsz., skład gł. w księg. Wizbeka, 1897, str. 38 (kop. 10).
12. *Ludwik Natanson.* **Rady** dla rzemieślników ku zachowaniu zdrowia. Warsz., nakł. księg. Wizbeka, 1897, str. 41.
13. **Nauka rachunków** dla samouków. Napisał *Stefan Rożański.* Wyd. 3-cie. Warsz., skład głów. w księg. Wizbeka, 1897, str. 104 (kop. 20).
14. **Owady** i ich znaczenie w gospodarstwie. Napisał *M. Brzeziński.* Warsz., skład gł. w księg. Wizbeka, 1897, str. 99.
15. *Plato v. Reussnera.* **Amerykański przewodnik** dla podróżujących za ocean Atlantycki, z najpotrzebniejszemi rozmówkami angielskiemi. Wyd. 2-gie. Warsz., nakł. autora, 1897, str. 64 (cena 50 kop.).
16. **Czarniecka Góra,** stacya klimatyczna, leśno-górska. Warsz., 1895, str. 36.
17. **Wybór znaków** wodnych z XVI stulecia przez d-ra *Franc. Piekosińskiego.* Kraków, 1896, wielkie 4-to, zesz. 1, str. 6 i tablic 35.
18. *Władysław St. Reymont.* **Fermenty.** Powieść. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1897, 8-vo, t. I, str. 345; t. II, str. 329.
19. Dr. *Julian Ochorowicz.* **Fizyologia wyścigów** w ich stosunku do krajowéj hodowli koni. Warsz., nakł. autora, 1897, 8-vo, str. 320.
20. *Nikodem Krakowski.* **Wykład teoretyczny i praktyczny korespondencyi handlowéj.** Wyd. 3-cie. Kraków, nakł. G. Gebethnera i Sp., 1897, 8-vo, str. 358.
21. **Wiadomości statystyczne,** dotyczące dóbr obciążonych pożyczką Towarzystwa kredytowego ziemskiego. opracowane przez *Jana Roztworowskiego.* Warsz., 1896, str. 40, 34, 34, 34, 34, 34, 34, 34, 34, 34. 43 i 19 tabl. graficz.
22. **Cywilizacya starożytna** i jéj wpływ na rozwój pojęć o narodzie. Opracował *J. Snitko.* Poznań, 1897, 8-vo, str. 27.
23. **Archiwum** do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Tom IX. Kraków, nakł. Akad. Umiej., 1897, duże 8-vo, str. 401.
24. **Rycerstwo polskie** wieków średnich. Przez d-ra *Franciszka Piekosińskiego.* Tom II Kraków, nakł. Akademii Umiej., 1896, str. 467, z rysunkami w tekście.
25. **Sprawozdanie** z działalności warszawskich kolonii letnich dla dzieci za r. 1896-ty. Ułożył *Wiktoryn Kosmowski.* Warsz., 1897, 8-vo, str. 93.
26. *W. hr. Łoś.* **Parafianka.** Powieść współczesna. Warsz., nakł. Józefa Zawadzkiego, 1896, 8-vo, t. I, str. 271; t. II, 216.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznej lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczej.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.



Wydanie **KOBIETY** Jubileuszowe

MICKIEWICZA, SŁOWACKIEGO i KRASIŃSKIEGO

RYS LITERACKI

D-ra Piotra Chmielowskiego.

Cena rs. **4.** W oprawie ozdobnej rs. **5** kop. **50.**

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie, Nowy-Swiat Nr. 41.